

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

Nr 4 (245) • ROK XXI • KWIECIEŃ 2016

www.slaskgtl.pl

Listy
RÓŻEWICZA

Brawurowy „UBU KRÓL” w Operze Śląskiej





List intencyjny o współpracy w obszarze kultury podpisali w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu przedstawiciele władz obu regionów, Marszałek Województwa Opolskiego Andrzej Buła (na zdjęciu w środku) i członek Zarządu Województwa Śląskiego Henryk Mercik (na zdjęciu z prawej). Wspólne przedsięwzięcia kulturalne dają obu stronom szanse dalszego rozwijania twórczego potencjału mieszkańców obu województw. Jednym z elementów współpracy może być wspólna publikacja związana ze zbliżającymi się obchodami setnej rocznicy powstania śląskich, ale także szersze współdziałanie w kontekście polityki historycznej.

W Operze Śląskiej w Bytomiu po raz pierwszy wystawiona została opera Krzysztofa Pendereckiego – „Ubu Król”. W premierowym spektaklu (3 kwietnia) uczestniczył kompozytor. Twórcami spektaklu są: Waldemar Zawodniński (reżyseria i scenografia), Janina Niesobka (choreografia), Maria Balcerek (kostiumy), Jurek Dybał (kierownictwo muzyczne). Autorami libretta (opartego na sztuce Alfreda Jarry’ego „Ubu Król, czyli Polacy”) są Krzysztof Penderecki i Jerzy Jarocki. Partie tytułowe wykonali Anna Lubańska (*Matka Ubu*) i Paweł Wunder (*Ojciec Ubu*). W spektaklu wzięło udział 40 solistów, chór, balet, statyści oraz dwie orkiestry prowadzone przez dwóch dyrygentów. Premierę poprzedziło otwarcie wystawy (na zdjęciu) pt. „Opery Krzysztofa Pendereckiego” autorstwa Juliusza Multarzyńskiego.

Do lektury „Po premierze...” pióra Magdaleny Dziadek zapraszamy na s. 62-63.



Tradycyjnie z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru aktorzy z województw śląskiego i opolskiego zostali uhonorowani Złotymi Maskami. Tegoroczna uroczystość odbyła się w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki. Nagrody ludziom teatru wręczyli członek Zarządu Województwa Śląskiego Henryk Mercik oraz członek Zarządu Województwa Opolskiego Grzegorz Sawicki. Tytuł „Przedstawienie roku” w województwie opolskim uzyskał spektakl „Dziady”, wyreżyserowany przez Pawła Pasińskiego w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki, w województwie śląskim ten zaszczytny tytuł otrzymał spektakl „Sześć wcieleń Jana Piszczyka” Jerzego Stefana Stawińskiego w reżyserii Wojciecha Kościelniaka w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej. Najlepszym spektaklem dla młodych widzów uznano „Narysuj mi baranka” wg „Małego księcia” Antoine de Saint-Exupéry’ego w reżyserii Pietro Fenatiego w Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach.

Więcej o Złotych Maskach na s. 81-82

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

KATARZYNA KUROCZKA (BERETA)
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

MARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)

MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. Rozmowa z prof. dr hab. Andrzejem Kowalczykiem, rektorem-elektorem uniwersytetu Śląskiego UNIWERSYTET JUTRA
6. Katarzyna Ghuch-Juszkiewicz AUTORYTET? NIE MAMY CZASU NA ZASTANAWIANIE SIĘ NAD TAKIMI RZECZAMI
10. Jakub Loginow SŁOWACJA PO WYBORACH. ZGNILY KOMPROMIS W CIENIU NEOFASZYSTÓW
12. Maria Dębicz DWA LISTY DO WŁASTY
15. Henryk Szczepański TERCJAN OD ŚW. KAZIMIERZA
18. Anna Pobóg-Lenartowicz ŚWIĘTY WOJCIECH – APOSTOŁ ŚLĄSKA
22. Janusz Wójcik BENO BUDAR – POETA SERBOŁUŻYCZAN, ŚWIADEK TRAGEDII I PIEWCA NADZIEI SŁOWIAŃSKIEGO NARODU
26. Feliks Netz ZDANIA I UWAGI
33. Rozmowa ze Stanisławem Skrowaczewskim, światowej sławy dyrygentem i kompozytorem KATOWICKIE LATA MISTRZA
34. Stefan Zabierowski HENRYK SIENKIEWICZ I JOSEPH CONRAD W LATACH I WOJNY ŚWIATOWEJ
38. Jerzy Placzkiewicz NIE CHCIAŁA MIESZKAĆ W KATOWICACH – LILI LARYS!
44. Marek Lyszczyzna 35. URODZINY ŚLĄSKIEJ ORKIESTRY KAMERALNEJ
53. Elżbieta Pisarczyk EDWARD MAKOSZA – WIELKA POSTAĆ „MUZYCZNEJ” CZĘSTOCHOWY
60. Sabina Waszut OD MORCINKA DO NETZA. MISTRZOWIE WSPÓŁCZESNYCH LITERATÓW
64. Maria Szuka RODZINA – WSPÓLNOTĄ MIŁOSIERDZIA
66. Karol Rafał Bula MARZEC Z SZYMANÓWSKIM

FELIETONY

9. NOTATNIK SPÓŻNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański KULTURA DZISIAJ
37. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSzcZYZNA
Jan Miodek UDRZISTANY
46. KAMIEN DROGOCENNY
Jacek Kurek POD ZIMNĄ GWIAZDĄ PÓLNOCY
57. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek CHOPIN – NASZ WSPÓŁCZESNY. W NOSPR – POD ZNAKIEM MUZYKI LUDOWEJ. MUZYKA JUGOSŁOWIAŃSKA W NOSPR
61. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas TEN SĘDZIA I TA SĘDZIA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk DWIE STRONY ULICY

PLASTYKA

47. Witold Turant ŚWIATŁO Z INNEJ RZECZYWISTOŚCI
49. JÓZEF STOLORZ. MALARSTWO
50. ROMAN NYGA. MALARSTWO
51. Rozmowa z Romanem Nygą TO SAMO CO BYŁO, INO W NOWYM CZASIE
83. KOLEKCJA „ŚLĄSKA”: HENRYK BZDOK

OPERA

62. Magdalena Dziadek MOCNY WSTRZĄS

TEATR

65. Witold Kociński MISTRZOWSKI POJEDYNEK

KSIĄŻKI

70. Krzysztof Kuczyński KSIĄŻKA „ŚLĄSKA PEŁNA”
71. Ewa Bartos UWAGNE CZYTANIE
72. Katarzyna Kuropczka (Bereta) BYĆ U SIEBIE, TO BYĆ SOBĄ
73. Marek Rapnicki SZEPTEM
74. Grzegorz Sztolcer TO BYLI NASI DZIADKOWKIE
75. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Feliks Netz Z KSIĘGI SPEŁNIONYCH WRÓZB
24. Beno Budar WIERSZE. Przekład Janusz Ireneusz Wójcik
28. Radosław Kobierski TROP

EKOLOGIA

58. Jolanta Karmańska NASZA WODA

STAŁE RUBRYKI

67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
Wiesława Konopelska 12 ŚLĄSKICH SMOKÓW
68. OPOLE. 71. ROCZNICA WYZWOLENIA STALAGU 344 LAMSDORF
69. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Kinga Baranowska-Jaworek AKTYWNY SENIOR – AKTYWNA BIBLIOTEKA!
76. NOTATNIKI KULTURALNE. Redagują: Wiesława Konopelska, Jan Picheta, Joanna Kotkowska, Janusz Wójcik, Maria Szuka, Jacek Sikora.
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

Scena z II aktu opery „UBU KRÓL” Krzysztofa Pendereckiego. W roli Ojca Ubu Paweł Wunder. Premiera 3 kwietnia 2016r. w Operze Śląskiej.
Fot. Tomasz Griessgraber/Opera Śląska



Fot. Zbigniew Sawicz

Feliks Netz 1939 – 2015

Z księgi spełnionych wróżb

Ludzie mówili, że będzie deszcz,
i dobrze zrobili ci, co zaczęli zbijać pływające domy,
bo padało przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

Ludzie mówili, że ten, który idzie, mieni się Synem Bożym,
i żandarmi wyszli mu na spotkanie,
bo nie było jasne jak daleko może zajść.

Ludzie mówili, że Imperium Rzymskie rozpadnie się
lada dzień, i rozpadło się,
a przeliczono się tylko o kilka stuleci.

Ludzie mówili, że coś się zacznie.
I zaczęło się. I nawet starcy rwali koszule na sztandary,
a że ukręcono z nich powrozy, rzecz to już inna.

Ludzie mówili, że dobrze będzie we śnie,
I ci, co dali temu wiarę, śpią,
i jest im naprawdę dobrze.

Ludzie mówili, że będzie koniec świata.
I jest. Tylko nie rzuca się w oczy.

FELIKS NETZ – (1939-2015). Poeta, prozaik, felietonista, publicysta, krytyk filmowy, tłumacz. Debiutował zbiorem wierszy *Związek zgody* (1968), w tym samym roku wydał pierwszą powieść *Sto dni odpustu*. Twórca słuchowisk (m.in. *Mały traktat dla dorosłych* (1966), *Złota reneta* (1970), *Karta powołania* (1975), *Ballada o familoku* (1977), *Carobójcy* (1990), *Harmonia* (1992), *Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską*, *Zegarek* (2008), W minionych dwóch dekadach wydał m.in. *Urodzony w święto zmarłych* (1995, powieść), *Wielki zamęt* (1996), *Dysharmonia caelestis* (1994), *Trzy dni nieśmiertelności* (2014), *Poza kadrem* (2006), *Ćwiczenia z wygnania* (2009), *Krzyk sowy* (tom wierszy, 2014).

Znawca, komentator i tłumacz dzieł Sándora Márai'ego (*Żar*, *Księga ziół*, *Występ gościnny w Bolzano*, *Krew Świętego Januarego*, *Pierwsza miłość*, *Dziedzictwo Estery*, *Wyspa*, *Niebo i ziemia*). Wydał po raz pierwszy w języku polskim Mikołaja Gogola *Wybrane fragmenty korespondencji z przyjaciółmi*, w przygotowaniu nowy przekład *Eugeniusza Oniegina* Aleksandra Puszkina i obszerny wybór poezji Władysława Chodasiewicza *Łzy Racheli*. W latach 1995-2015 kierował Działem poezji i prozy, był także zastępcą redaktora naczelnego (1995-2014) miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”.
12 kwietnia 2016 roku mija pierwsza rocznica Jego śmierci.

Z profesorem **ANDRZEJEM KOWALCZYKIEM**,
rektorem-elektem, rozmawia **MARIA SZTUKA**



Uniwersytet jutra

15 marca Kolegium Elektorów Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach dokonało wyboru rektora śląskiej *Alma Mater* na kadencję 2016 – 2020. Od 1 września 2016 r. stanowisko to obejmie prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk.

– Przez dwie ostatnie kadencje był pan profesorem prorektorem do spraw ds. nauki i współpracy z gospodarką. To dwie dziedziny niezwykle istotne w funkcjonowaniu współczesnej uczelni. Można więc domniemywać, że kadencja 2016-2020 będzie kontynuacją dotychczasowej linii programowej i śląską *Alma Mater* nie wstrząśnie rewolucja.

– Daleki jestem od gwałtownych przewrotów. Uniwersytetowi potrzebna jest stabilizacja a dotychczasowy program rozwoju naszej uczelni, w które-

go realizacji uczestniczyłem jako prorektor przez ostatnich osiem lat jest kierunkiem właściwym i powinniśmy dalej nim podążać. Dlatego moim zadaniem jest kontynuacja i wzmacnianie tych działań, które z założenia były dalekosiężne. Należy je tylko wspierać i dostosowywać do zmieniającej się koniunktury. Stąd kilka modyfikacji, z pewnością muszą na przykład ulec zmianie systemy ocen naszych pracowników i to zarówno w grupie nauczycieli akademickich, jak i pozostałych, należy także doprecyzo-

wać i dostosować do wymogów czasu ścieżkę awansu zawodowego. To zrozumiałe, że w dzisiejszych realiach trzeba kłaść szczególny nacisk na wzmocnienie pozycji naukowej poszczególnych wydziałów, wspierając ich działania zarówno w kwestiach dotyczących innowacyjnych przedsięwzięć edukacyjnych, jak i pozyskiwania środków zewnętrznych na badania a także racjonalnego wykorzystania bazy dydaktyczno-badawczej i infrastruktury uczelni. To są jednak zmiany ewolucyjne. Kierunki kształcenia i dostosowywanie programów edukacyjnych są wynikiem stałej transformacji rynku pracy i zmieniającego się zapotrzebowania na specjalistów, czy określony typ badań naukowych. Każda więc uczelnia musi reagować na te potrzeby i dostosowywać się do wyzwań w szerokim aspekcie – od regionalnego po ogólnoświatowy.

– **Uniwersytet osadzony jest jednak przede wszystkim w realiach lokalnych i bardzo silnie oddziałuje na swój region, miejscowa społeczność także nie kryje swoich oczekiwań pod adresem uczelni.**

– To zrozumiiała korelacja. Jak głęboko jesteśmy osadzeni w realiach regionu najlepiej świadczy liczba oferowanych przez Uniwersytet Śląski specjalizacji kształcenia a jest ich ponad dwieście trzydzięści. Innowacyjne programy edukacyjne są efektem stałego monitoringu rynku, jego zapotrzebowania, licznych konsultacji i obserwacji zmian zachodzących we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Naszą obecność w regionie obrazują także liczne umowy o współpracy zawarte pomiędzy uczelnią a firmami, samorządami czy podmiotami gospodarczymi. Ich rola w przygotowywaniu programów kształcenia jest coraz znacząca, dowodzą tego chociażby liczne rady programowe, które powstają przy poszczególnych wydziałach. Wspierają nas one w wielu dziedzinach: współtworzenia programów studiów, ćwiczeń, staży, prac dyplomowych i doktorskich, opracowywaniu tematyki kursów, praktyk zawodowych, wspólnych seminariów itp. Ta współpraca ma także konkretny wymiar w postaci doposażenia uczelni w określony sprzęt badawczy i doświadczalny. To przykład zmian, które będą mocno akcentowane w przyszłości, ponieważ dążymy do wzmocnienia udziału przedsiębiorców i pracodawców w procesie dydaktycznym i zintensyfikowania współpracy z otoczeniem społecznym, samorządowym, gospodarczym i akademickim.

– **Po ośmioletnim doświadczeniu współpracy uczelni z gospodarką jak pan rektor ocenia jej poziom?**

– Daleko nam jeszcze do ideału, który zaspokajałby oczekiwania obu środowisk, akademickiego i biznesowego. W tej dziedzinie jest jeszcze dużo do zrobienia, zarówno po stronie uczelni, jak i podmiotów gospodarczych. Współpra-

ca z otoczeniem zależy nie tylko od atrakcyjności naszej oferty badawczej czy edukacyjnej ale także od zainteresowania naszych partnerów gospodarczych potencjałem uczelni.

– Czy taka swoista symbioza uczelni z gospodarką nie zawęży misji uniwersytetu?

– To oczywiście, że nie możemy sprowadzać uniwersytetu do poziomu szkoły zawodowej. Podstawowym zadaniem uczelni jest i pozostanie kształcenie elit intelektualnych, natomiast przygotowanie zawodowe powinny oferować studia podyplomowe czy specjalistyczne kursy ale ten kierunek funkcjonowania uczelni jest tylko jednym z wielu. Chciałbym, aby zarówno studenci jak i doktoranci korzystali w coraz to większym stopniu ze specjalistycznych praktyk, które mogą zaowocować między innymi zagwarantowaniem zatrudnienia po ukończeniu studiów. Na wielu kierunkach zasada ta bardzo dobrze się sprawdza, warto więc upowszechniać, unowocześniać i promować tego typu mechanizmy. Tę szansę trzeba maksymalnie wykorzystać, niezbędne jest jednak wypracowanie odpowiednich standardów motywujących.

– Ewolucja uniwersytetu od przysławnej „wieży z kości słoniowej”, miejsca intelektualnego odosobnienia to proces, który w ostatnich latach znacznie przyspieszył...

– Uniwersytet jutra, i nie mam tu na myśli czasu odległego, to uniwersytet społecznie odpowiedzialny. To znaczy taki, który rozumie potrzebę włączania się do pracy na rzecz otoczenia gospodarczego, biznesowego, samorządowego ... Tak szeroko rozumiane otoczenie musi jednak widzieć, doceniać i postrzegać wartość ośrodków akademickich, jako ważnych elementów rozwoju miasta, ogniw uczestniczących w kreowaniu przyszłości regionu, opracowywaniu strategii jego modernizacji.

– Absolwenci naszej uczelni wspórtworzą tę rzeczywistość, wielu z nich zajmuje wysokie stanowiska w instytucjach o znaczeniu decyzyjnym w regionie.

– Tak, prawda, jednak do ideału rozumienia roli uczelni w regionie potrzebna jest powszechna świadomość, która na szczęście rośnie, choć trzeba przyznać – powoli.

– Uniwersytet Śląski jest bardzo silnie zintegrowany z miastami, w których funkcjonuje. W Katowicach, Sosnowcu, Chorzowie, Cieszynie o UŚ mówi się – „nasz”.

– To efekt wieloletniej pracy ludzi, którzy z pasją organizują znakomite promujące naukę, uniwersytet i region imprezy. Uniwersytet Dzieci, Młodzieży, Trzeciego Wieku, klasy patronackie w liceach, to tylko niektóre przykłady świetnej współpracy z otoczeniem. „Osobliwości świata fizyki”, „Noc biologów”, „Święty Liczby Pi”, Festiwałe Nauki, debaty, konkursy sympozja... te imprezy już na stałe zadomowiły się w kalendarzu imprez regionalnych. Bę-

dziemy więc kontynuować tę działalność i w miarę możliwości uatrakcyjnić ich formuły. Ogromne zainteresowanie tymi spotkaniami dowodzi, że wysiłek włożony w ich organizację opłaca się, spaja uczelnię z lokalną społecznością, wyzwała mnóstwo kolejnych inicjatyw a co najważniejsze przyciąga młodych ludzi, czyli naszych potencjalnych studentów.

– Funkcja prorektora jest bardzo absorbująca, rektora będzie zapewne jeszcze bardziej, siłą rzeczy praca naukowa musi odejść na plan dalszy,

– Rzeczywiście funkcje administracyjne znacznie ograniczają prace badawcze. Z roku, na rok przybywa obowiązków, a ponieważ nie potrafię zadań, które powierzyła mi uczelnia traktować, jako zajęcie dodatkowe i staram się wykonywać je w pełni odpowiedzialnie, tak więc na prace badawcze czasu pozostaje coraz mniej. W pierwszej kadencji udawało mi się godzić te dwie dziedziny, ale pracy administracyjnej stale przybywa. W 2008 roku, kiedy obejmowałem funkcję prorektora, uczelnia aplikowała o fundusze na badania w sześciu konkursach, ogłaszanych przez nasze ministerstwo i jego agendy, a w 2015, tylko w skali roku, mieliśmy ich trzydzieści pięć. To oczywiście powód do zadowolenia, ale jednocześnie obrazuje zwiększenie obowiązków. Kiedyś prorektorzy przyjeżdżali na dyżury do rekturatu, teraz moje pobytu na wydziale sprowadzają się do kilkugodzinnych dyżurów, w czasie których odbywam swój wykład i seminaria oraz konsultacje ze współpracownikami. Oczywiście z pracy naukowej w swojej Katedrze Hydrogeologii i Geologii Inżynierskiej na pewno nie zrezygnuję, ale niektóre projekty badawcze będą musiały poczekać.

– Za dwa lata Uniwersytet Śląski będzie świętował jubileusz 50-lecia.

– Marzeniem byłoby, aby ten rok jubileuszowy zapisał się w historii uczelni kluczowymi inwestycjami. Potrzeby uniwersytetu są ogromne. Na nowe siedziby oczekują z niecierpliwością biologzy, chemicy, filolodzy... Chcielibyśmy nie tylko zmodernizować akademiki w Ligocie ale także oddać do użytku nowe, o wyższym standardzie w centrum Katowic, planujemy również budowę domu seniora dla emerytowanych pracowników. To bardzo rozległe plany, jednak uczelnia nie jest w stanie samodzielnie podjąć się tak kosztownych inwestycji, poszukujemy więc wsparcia.

– Budowa centrum akademickiego w śródmieściu powinno zmobilizować wszystkie uczelnie Katowic a także samorząd, to mogłaby być kolejna wspólna wizytówka metropolii.

– Liczymy na to, że tak właśnie ten projekt zostanie odebrany. Zadomowienie się studentów w Katowicach mogłoby także zaowocować ich pozostaniem w mieście po ukończeniu nauki a to już jest konkretna i wymierna korzyść dla metropolii. Ponadto integracja uczelni technicznych, humanistycznych,

artystycznych i medycznych stworzyłaby zapewne stymulujący klimat, wyzwalaający mnóstwo interesujących pomysłów i inicjatyw zmierzających w kierunku UniverCity.

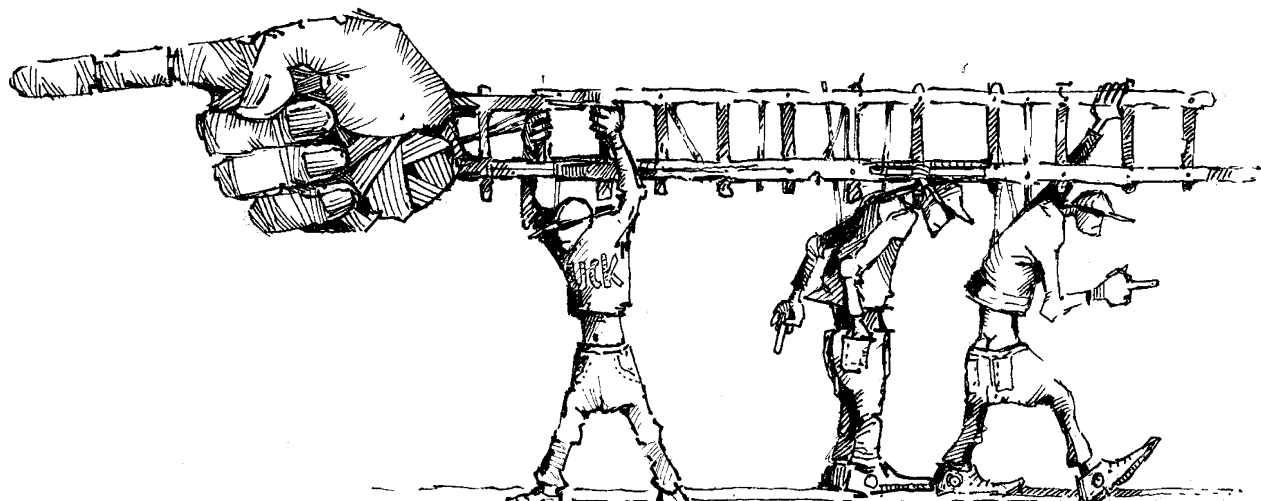
– Z Uniwersytetem Śląskim jest pan rektor związany od 1975 r., z pięcioletnią przerwą na pracę w charakterze wykładowcy na uniwersytecie w Algierii. Pochodzi pan z urokliwego Krasnosielca, pięknego zakątka Mazowsza, to daleko od Śląska...

– Zanim tu trafiłem próbowałem spozyczkować swój wyuczony zawód geologa najpierw w pracowni urbanistycznej urzędu wojewódzkiego w Olsztynie, jako asystent projektanta, a następnie w gdańskim oddziale krakowskiego Przedsiębiorstwa Geologicznego Budownictwa Wodnego „Hydrogeo” już w randze geologa. Okazało się jednak, że ani praca urzędnika w administracji państwowej, ani projektanta nie zaspakajały moich zawodowych ambicji, to nie był mój świat. Kiedy więc dowiedziałem się, że na Uniwersytecie Śląskim powstaje Wydział Nauk o Ziemi, zdecydowałem się niemal natychmiast.

– Po Mazowszu, Pojezierzu i Pomorzu – Śląsk. To była trudna odmiana?

– Przede wszystkim byłem wówczas młodym człowiekiem, cechowała mnie, jak każdego przyrodnika, ogromna ciekawość świata, był rok 1975, Śląsk tętnił życiem. Wprawdzie widok z okna nie był porywający, nasz wydział mieścił się wtedy w starym budynku szkolnym w Sosnowcu, ale nie to było najważniejsze. Nowo tworzona jednostka młodej uczelni to było potężne wyzwanie ale przede wszystkim perspektywa ogromnych możliwości rozwoju naukowego. Było to w dużej mierze zasługą prof. dr. hab. inż. Andrzeja Rózkowskiego. Człowieka niezwykle pracowitego i wszechstronnego, to on zaraził nas swoją pasją. Nie było jeszcze sprzętu badawczego, laboratoriów, ale my wiedziliśmy jak gromadzić materiały, jak prowadzić obserwacje. Tak więc z jednej strony były to dosyć trudne warunki, ale z drugiej – komfortowe, ponieważ otwierały przed nami wizję dyscypliny o charakterze eksperymentalnym. Rozległe spektrum badań a także praca nauczyciela akademickiego były skuteczną zachętą i kolosalną motywacją. Wiedziałem, że to jest moje miejsce. Nie była to decyzja pochopna, miałem przecież za sobą doświadczenie poprzednich miejsc pracy. Gdziekolwiek zmieniałem miejsce pobytu, począwszy od Warszawy, gdzie studiowałem, poprzez Olsztyn, Gdańsk, Sosnowiec, Katowice... nigdzie nie stawiałem się w roli „obcego”. Szczerze mówiąc nie było na to czasu. Praca zawsze pochłaniała mnie całkowicie. A widok za oknem? Spowszedniał. Wprawdzie mieszkam teraz w osiedlu pełnym zieleni, która zachęca do codziennych wycieczek rowerowych, ale ani przed czterdziestu laty, ani tym bardziej teraz, nie czułem i nie czuję się tu obco.

– Dziękuję za rozmowę.



Autorytet?

Nie mamy czasu na zastanawianie się nad takimi rzeczami

KATARZYNA GŁUCH-JUSZKIEWICZ

W wielopokoleniowych rodzinach „tatulek i mamulka zawsze mieli recht”. Szacunek i zrozumienie wydałyby się każde z następnymi pokoleń wyssie z mlekiem matki. Ale czy rzeczywiście tak się stało? Dlaczego dziś mówi się coraz głośniejszym głosem o tym, że młodzież nie ma autorytetów albo jeśli już – to są one... byle jakie?

Szacunek i zrozumienie

Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy przeczytałam, że w śląskim domu mięso i kiełbasa należały się w pierwszej kolejności głowie rodziny – czyli ojcu. Nie pamiętam, gdzie po raz pierwszy usłyszałam o obmywaniu nóg zmęczonym po szychcie na grubie albo w hucie. Wiem, że te informacje przyjął jako dziecko tak naturalnie, jak fakt, że zmieniają się pory roku a na świętego Szczepana trzeba połączyć

bazika „żeby gardło nie bolało”. Moja Mama tuż po urodzeniu się w 1946 roku w katowickiej dzielnicy Dąb, musiała czekać na swoją kolej w domowej hierarchii przy karmieniu, bo Dziadek wracał zmęczony z huty i trzeba było „nawarzyć mu żuru”. Dziś może brzmi to kuriozalnie, ale dla mojej Babci było to tak oczywiste, jak to, że później w latach 50. odkładała każdy grosz, by wesprzeć swoich rodziców na ojcowiznie w Kostuchnie, wstawała o 4 rano by napalić w piecu i podgrzać wodę na „wodzionka z czosnkiem”. Szacunek

i zrozumienie – takie motto z pewnością pomagało wtedy niejednej śląskiej żonie i matce, która musiała borykać się z szarą rzeczywistością. Umierał Stalin, dzieci w przedszkolu płakały, zbliżały się wydarzenia poznańskiego czerwca, coraz głośniejszym głosem mówiło się o młodym Karolu Wojtyśle. Na zachodzie kobiety odważnie mówiły o swoich prawach, działalność zaczynali politycy tzw. wielkiego formatu, literatura, muzyka, film ożywał po powojennej stagnacji. A na Śląsku... autorytety wciąż pozostawały te same. W wielopokoleniowych rodzi-

nach „tatulek i mamulka zawsze mieli recht”. Szacunek i zrozumienie wydawałoby się każde z następnych pokoleń wysie z mlekiem matki. Ale czy rzeczywiście tak się stało? Dlaczego dziś mówi się coraz głośnie o tym, że młodzież nie ma autorytetów albo jeśli już – to są one... byle jakie? Nie chce mi się w to wierzyć. Wciąż mam wielu znajomych, którzy żyją w rodzinach wielopokoleniowych i zarówno rodzice jak i dziadkowie – jeśli jeszcze żyją – są dla nich ważni. Ale czy najważniejsi?

O pomoc w rozwikłaniu tych zagadek poprosiłam **dr MARIĘ BUSZMAN-WITAŃSKĄ, wykładowcę Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach- wybraną w tym roku przez studentów uczelni najlepszym wykładowcą w kategorii praktyk, oraz MAŁGORZATĘ JANICKĄ, koordynatorkę wolontariatu Hospicjum Cordis w Katowicach, a także kilkoro młodych ludzi z katowickiego osiedla Tysiąclecia.**

Czy nie jest tak, że dostęp do nowoczesnych technologii i pęd życia codziennego spowodował, iż pokolenie współczesnych 20-latków, 15-latków czy wreszcie 10-latków ma już zupełnie inne spojrzenie na kwestię autorytetów? Owszem, internet dominuje życie naszych dzieci. Ale przez ten wieloletni wpływ historycznie zakorzenionej miłości do rodziny czy nawet do ojczyzny, tu na terenach Śląska jest chyba (!) inaczej? Spotkałam się nawet z opinią, iż tylko tu, w naszym regionie młodzież wśród autorytetów wymienia jeszcze... rodziców...?

– Myślę, że my, jako rodzice chcielibyśmy, aby tak było. A czy tak jest, to pewnie trzeba by sprawdzić szerokim badaniem na ten temat, które pokazałoby nasz region na tle innych w Polsce. Można także przejrzeć pod tym kątem diagnozę społeczną prof. Czaplńskiego. Jeśli nie oprzemy się na badaniach to będziemy bardziej mówić o tym, co jest obiegową opinią czy naszym życzeniem – podkreśla dr Maria Buszman – Witańska, która jako matka dwóch chłopców w wieku szkolnym i przedszkolnym, świetnie wie, co mówi.

Jak dowodzi etnolog Irena Bukowska-Floreńska w swojej znakomitej pozycji: *Rodzina na Górnym Śląsku, „w rodzinie dziecko nabywa pewne wzory zachowań, systemy wartości, normy, odrzuca lub przyjmuje pewne autorytety, jak również zwyczaje i obyczaje. W rodzinie kształtuje się szacunek dla historii ojczyzny prywatnej, regionu dla biografii indywidualnej i rodzinnej, lokalnych bohaterów, dla gwary, środowiska przyrodniczego,*

tradycji muzycznych.” Czy to dlatego do dziś rozplątuję się przy Elli Fitzgerald i Ray’u Charlesie, bo tego słuchał mój ojciec? A może dlatego wszystkim znajomym kupuję książki Remarqua, bo uważam je za najlepsze na świecie? Wzruszam się, gdy słyszę opowieści o Powstaniach Śląskich bo moi Wujowie je przeżyli?

Moje pokolenie lat 70. mimo że zaczęło się nieco buntować, pamięta jeszcze nie raz twardą rękę rodzica kojarzoną onegdaj z autorytetem. „Wszelkie nieposłuszeństwo, złe zachowanie, zniszczenie czegoś skutkowało początkowo słownym upomnieniem. Powszelchne były wówczas powiedzonka, jak: „kto nie słucha ojca i matki, niechaj słucha psiej kołatki” lub „jak nie pomoże godka, to pomoże kij” – cytuje Irena Bukowska-Floreńska. Ten kij w postaci długiej linijki to pamiętam nawet ze szkoły podstawowej w Zabrze, mój brat pamięta gorsze rzeczy, o czym dziś lepiej głośno nie wspominać...

A co pamiętają ludzie starsi? Ci, którzy dziś w tramwaju muszą stać, bo młodzież siedzi wygodnie ze słuchawkami na uszach i odpływa w inne światy? Kiedyś budzili respekt i powszechny szacunek. W czasie uroczystości rodzinnych należało im się honorowe miejsce przy stole, najlepsze dania, zwracano się do nich per „wy”, np.: jo Wos prosza, przyjdom do nos. Dejcie, pomoga Wom.

Później forma „godanio za dwoje” zmieniła się i przyjęła się forma: czy Mama może przyjść?, czy Tato mógłby zobaczyć? Moje dzieci do ostatniej z żyjących babć do dziś mówią: „czy mogłaby mi Babcia nalać herbaty?”, albo” „czy Babcia się dobrze czuje?” Opieka i pomoc osobom w podeszłym wieku zawsze w tym regionie była rzeczą naturalną. Dziś znam rodziny, w których do teściów mówi się po imieniu...

Youtuberzy, vlogerzy, bloggerzy, celebryci

A jeżeli dzieci z ostatnich klas podstawówek chętniej niż rodziców słuchają youtuberów w przeróżnych kwestiach – czy to mody, sposobu odżywiania się, czy np. fascynacji Japonią – możemy wysnuć tezę, że Banshee, Agnieszka Grzelak czy StU albo RE-ZI są dla nich autorytetami?

Dr Maria Buszman-Witańska: – Moim zdaniem tak było zawsze. W pewnym wieku już inne osoby są większym niż rodzice autorytetem. To są nauczyciele, rówieśnicy czy gwiazdy, a teraz celebryci czy youtuberzy. Nie zmieniają się mocno mechanizmy działania, etapy naszego dojrzewania, tyl-

ko kto inny staje się władcą zbiorowej wyobraźni, do tego dochodzą zmiany w zakresie kanałów komunikacji czy mainstreamowych mediów.

– Myślę, że mamy bardzo ciekawą młodzież. Wcale nie gorszą niż ta z lat 70. czy 80., tylko po prostu całkiem wolną – mówi **Małgorzata Janicka**, koordynator wolontariatu Hospicjum Cordis w Katowicach. *Człowiek wolny może sam szukać, dochodzić do prawdy. A drogi ludzkich poszukiwań są różne.*

– Pokoleniu 70’ było łatwiej. Idolem był John Lennon, Dzieci- Kwiaty, potem Led Zeppelin, albo Modern Talking, autorytetem Lech Wałęsa, nauczyciel plastyki albo JP2. Zmieniły się wartości dla młodzieży w porównaniu- z chociażby wspomnianymi latami siedemdziesiątymi?

Dr Maria Buszman-Witańska: – Zgadza się z tym, że zmieniają się idole, zmieniają priorytety i wartości, każde pokolenie przynosi swoje, coś dodaje i wzbogaca rzeczywistość. Ale nie zgodziłabym się z tezą, że pokoleniu lat 70. było łatwiej. To nam czyli temu pokoleniu się tak po prostu wydaje (śmiech), bo to nam było wtedy łatwiej. Każde pokolenie dostaje swój czas i to on jest jedyny, unikatowy, niewybieralny, jednorazowy. Nie mamy możliwości powtórki. Poza tym każde pokolenie uważa, że to jego czasy są najlepsze, najbarwniejsze i najbardziej przyjazne, bo własne. Moja Babcia, która dożyła prawie stu lat więc miała porównanie, tak uważała o latach dwudziestych i trzydziestych – czasach swojej młodości. Niby marzymy czasem, żeby przenieść się w czasie, ale raczej nie na stałe...

– To prawda – przytakuję. Za zapach babcinej sypialni wypucowanej terpentyną i smak sernika mojej mamy oddałabym 10 lat współczesnego życia. A moje dzieci? Co wyniosą z domu?

Małgorzata Janicka mówi wprost: – Młodzi potrzebują mimo wszystko drogowskazów, przewodników. A idoli z internetu i pierwszych stron kolorowych gazet? Raczej nie, jeśli tak jest, to znaczy, że ludzie obok, ci najbliżsi się nie sprawdzają. I wtedy młodzież odwraca się od prawdziwego życia, od tego wszystkiego z czym sobie nie potrafi poradzić, a co jest naprawdę ważne. Oczywiście, że często słyszę, że dzisiejsza młodzież jest gorsza. I wtedy jestem wściekła i jest mi wstyd za tych, którzy tak mówią... Bo oni wystawiają ocenę nam... ludziom po 40, 50... Smutne jest społeczeństwo, które młodym nie potrafi wskazywać właściwych dróg. Nawet jeśli błą-

dzą, to przecież prawo każdego człowieka. Ale to naszym zadaniem jest tak żyć aby młodych ciągnąć do góry a nie równać do dołu, do tego co byle jakie.

Zastanowiły mnie te słowa. Zwłaszcza po dyskusji na temat zasadności dalszego istnienia gimnazjów. Znam kilka naprawę dobrych szkół w regionie ze świetną kadrami. I kapitalną młodzieżą. Wystarczy chcieć. Po wideo Sylwestra Wardęgi, ukazującym psa – pająka straszącego ludzi, które stało się najpopularniejszym materiałem serwisu YouTube w roku 2014, youtuberzy stali się jednym z najgorętszych tematów i jednymi z ważniejszych osób, które wywierają wpływ na młodych ludzi w Internecie. Co gorsza, niektórzy dorośli nie mają pojęcia o ich istnieniu, nie znają ksywek, nie widzieli żadnego kawałka twórczości filmowej zamieszczonej w sieci. A powinni. Bo to świat, w którym „cześć, cwelu”, albo „elo, ziom” zastępuje powitanie... My oglądamy w domu youtuberów wspólnie. Wiem co to jest JAPANAzjadam, kim jest słodki Gudetama, dlaczego chłopcy chcą mieć fryzurę jak STU. Słuchamy razem Coldplay, jeździmy na koncerty, śledzimy charytatywną działalność Dżemu. I rozmawiamy. Córka mojej przyjaciółki w wieku 10 lat, Hania Życzkowska, była już wolontariuszką Hospicjum Cordis. Już wie, jakie to trudne, chociaż paradoksalnie łatwiejsze dla dziecka niż dla dorosłego. Bo dziecko szczerze i prosto przyjmuje chorobę innych. Mówi o niej bez skrępowania. Moja pierworodna teraz wymyśliła, że będzie się uczyć języka migowego, aby innym dzieciom opowiadać migając... muzykę. Młodzież z zaprzyjaźnionego gimnazjum i liceum krzywi się na podjęty temat: „Autorytet? Wiadomo? Matka, ojciec, brat. No, może jeszcze Wałęsa, Jan Paweł Drugi, Małysz, Bartoszewski. Religa. Owsiak. Ale teraz sam już nie wiem kogo słuchać. Siebie czy polityków. Nie mamy czasu na zastanawianie się nad takimi rzeczami – wyjaśnia Łukasz. I inne głosy młodzieży:

„...Mnie strasznie zastanawia, jak takie... (słowo niecenzuralne) może być aż tak popularne. Sam jestem nastolatkiem, ale nie mogę zrozumieć tego fenomenu. Interesują mnie gry, muszę czasami obejrzeć odcinek jakiegoś YouTubera, czy gra załóżmy jest warta zakupu i pasuje mi jej temat, ale cała ta „śmietanka” to nic innego jak darcie mordy, robienie „beki” i wiele, wiele innych tylko dla wyświetleń – coś jak Onet. No ale co się dziwić, jak średnia wieku tych widzów to 6 podstawówki (Gimnazjum też ogląda, spokoj-

nie) Może już jestem stary, ale chyba 17 lat to dosyć niedużo...” – **GEEK**

„...Youtuberzy mówią o rzeczach, o których osoby w takim wieku nie powinny słyszeć, vlogi często mają wiele podtekstów, a sami youtuberzy przeklinają – a chyba wiadome, że głupawe filmiki z przekleństwami nie są zbyt dobre dla dzieci. Sprawą drugorzędną jest to, że młodsze dzieci nie pojmują ironii i wiele rzeczy mogą wziąć na poważnie” – **MELASA**

„...Owszem, ma to negatywny wpływ. Wpiew jest zafascynowanie osobowością ważniejszą, później kopiowanie jej. Rozumiesz o co mi chodzi? Toksyczne dzieci Youtuba (znam takich, nawet już nie są dziećmi, a nastolatkami.) zaczynają mówić jak Rezi/Isamu/Nitro/Jakiśinnógówniak, zaczynają kopiować jego styl, wartości, życie i w ogóle osobowość. Uważam więc, że takie toksyczne powielanie kogoś bardzo negatywnie wpływa na rozwój dziecka. Dobrze, że nie będą miały nigdy dzieci, ale moi starzy są OK mam w nich oparcie, kumasż? heheh” – **YOLO**

Czy młodzież jest empatyczna? Patrząc na WOŚP i pomoc wolontariacką chociażby w Hospicjum Cordis wydaje się, że tak. Ale może ja tak bardzo chcę widzieć dobrą młodzież, bo sama mam dorastające dzieci?

Dr Maria Buszman-Witańska: – Zdecydowanie uważam, że młodzież jest empatyczna. Pracuję na co dzień ze studentami, ale także mam zajęcia w ramach projektów Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach skierowanych dla dzieci i młodzieży. Mogę potwierdzić, że to mądrzy, refleksyjni, wartościowi, zaangażowani społecznie, szalenie pracowici (chodzi tu o pracę zawodową i naukę) i sympatyczni ludzie. Dla mnie przyjemnością i darem jest obcowanie z nimi, staram się dużo od siebie przekazać ale także wiele uczę się od nich. Oczywiście, że tak jak zawsze jednostki są inne, ale kiedy patrzeć całościowo to obraz młodego pokolenia, który wyłania się z takiej obserwacji, jest zdecydowanie bardzo pozytywny i budujący.

Małgorzata Janicka z Hospicjum Cordis: – Aby młody człowiek miał ideały, wielkie autorytety to trzeba zwyczajnie pokazywać mu drogę do nich przez miłość do świata, sztuki, historii, przyrody, muzyki... wtedy każdy odnajdzie coś dla siebie. Czy nam było łatwiej – zastanawia się... – Może, nie wiem... nie chciałabym aby młode pokolenie musiało żyć w jakimkolwiek systemie totalitarnym. Wolę żeby czytali o naszym życiu z mądrych książek – o Janie Pawle II, o Matce Teresie o kim kto chce... i tam odnajdywali wzorce i idoli.

Alicja lat 11: – Moim autorytetem jest Jerzy Owsiak. WOŚP. To wielka rzecz. Mój brat ma dzięki niemu zdrowe serce. I zdrowe uszy. Duża sprawa. Na lodówce nakleiliśmy orkiestrowe serce, czuję do niego szacunek. Niech sobie mówią inni o nim co chcą, ale najpierw niech pokażą co sami zrobili dla innych. Jak rodzice się zgodzą, chcę za rok być wolontariuszem i zrobić coś dla innych.

Jerzy Owsiak w jednym z wywiadów: – Nie sprawuję rządu dusz i nie czuję się autorytetem. Sytuacja, w której jestem wymieniany przed panem Władysławem Bartoszewskim, jest dla mnie krępująca. Staram się nie mówić ludziom jak mają żyć i nie wypowiadam się na wszystkie tematy.

Pamiętam, po śmierci wspomnianego profesora Bartoszewskiego pojawił się taki cytat. Do dziś żałuję, że wyrzuciłam gazetę z tym tekstem. „Wiek XX to wiek dobra i zła, ale i heroicznych wartości”. A XXI? Nie wiem.

Pozwolę sobie zakończyć cytatem z książki, która stała się dla mnie lata temu swoistym przewodnikiem, a osoba je wypowiadająca jest dla mnie jednym z autorytetów.

„Edukacja jest czymś więcej niż przekazywaniem wiedzy i umiejętności, pozwalających osiągać konkretne cele. Polega też na otwieraniu oczu dziecka na potrzeby i prawa innych. Musimy pokazać mu, że jego działania mają wymiar powszechny. Musimy też znaleźć sposób na rozwijanie jego naturalnej zdolności empatii, by poczuło się odpowiedzialne wobec innych i, tym samym, motywowane do działania. W rzeczy samej, gdybyśmy mieli wybierać między wiedzą a prawością, ta druga jest z pewnością bardziej wartościowa. Dobre serce, owoc cnoty, stanowi samo w sobie, wielkie dobrodziejstwo dla ludzkości. Sama wiedza – nie.” **Dalajlama – Etyka na nowe tysiąclecie.**

Katarzyna Gluch-Juskiewicz – autorka jest dziennikarzem Polskiego Radia Katowice. Pracuje nad tym, aby stać się autorytetem dla swoich dzieci oraz studentów UŚ.



Notatnik spóźnionego przybysza

MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Kultura dzisiaj

Słowo o Marku Tulliuszu

Pierwsze refleksje nad kulturą towarzyszyły już antycznym filozofom, a za prekursora tych rozważań uznaje się nieocenionego Marka Tulliusza Cyncerona. To właśnie on zmienił sens tego terminu i miał uprawy ziemi (*cultura agri*), jał mówić o uprawie ludzkiej duszy (*cultura animi*). System kultury Starego Kontynentu rościł sobie – z poczuciem wyższości – przez kilka stuleci prawo do symbolicznej, i nie tylko, dominacji nad światem. Sprzyjał temu czas zamorskich wypraw i europejskiej kolonizacji. Idea europocentryzmu obowiązywała aż do czasów Oświecenia, kiedy drogę otworowały sobie koncepcje relatywizmu kulturowego. Głosiły one, że świat zaludniają liczne kultury, z których żadna nie powinna rościć sobie prawa do globalnej supremacji. Przełom XIX i XX wieku utrwalił pogląd w postrzeganiu wielości kultur, ich zróżnicowania a także równości.

Trudny powrót na europejskie tony

W system świata wielobarwnego kulturowo niemal 27 lat temu została ponownie włączona Polska, która stanęła w obliczu konieczności przewartościowania utrwalanej, szczególnie w okresie realnego socjalizmu, wizji dwóch wrogich światów przedzielonych żelazną kurtyną. To ważna reminiscencja w kontekście współczesnych postaw niektórych rodaków wobec problemu uchodźców i imigrantów, którzy coraz liczniej przybywają na europejski kontynent. Deklarowana przez nich niechęć wobec przybyszów z odrębnych kręgów kultu-

rowych wynika w znacznej mierze właśnie z indoktrynacji lat minionych. Różnorodność kulturowa nie była bowiem codziennością Polaków po II wojnie światowej jak miało to miejsce w państwach Europy Zachodniej. Stąd tak istotny dylemat, a także lęki, które towarzyszą Polakom stojącym przed perspektywą włączenia kulturowej różnorodności w codzienne życie.

Odwaga mniejszości?

Współczesna Polska charakteryzuje się jednak dostrzegalnym zróżnicowaniem kulturowym, szczególnie w niektórych regionach Polski, takich choćby jak Górny Śląsk czy Podlasie. Można zauważyć powolny wzrost liczby odważnych przedstawicieli rozmaitych kręgów kulturowych, chociaż wciąż Rzeczpospolita charakteryzuje się niskim udziałem deklaracji mniejszości narodowych i etnicznych wśród mieszkańców. Zapoczątkowanej w roku 1989 liberalizacji życia społecznego i politycznego kraju towarzyszy coraz wyraźniejsze włączanie się przedstawicieli mniejszości narodowych i etnicznych w sfery życia publicznego. A to zwiększa szanse przetrwania i rozwoju własnej, często endemicznej, kultury. Zamykanie się w lokalnych światach prowadzi bowiem do marginalizacji i zaniku kulturowej odmienności. Równocześnie warunkiem udziału przedstawicieli mniejszości w życiu publicznym jest ich akceptacja przez dominującą grupę narodowościową, gdyż tylko wówczas tworzy się pożądaný stan obywatelskiej równowagi.

Między tolerancją a dyskryminacją

Istnieniu grup mniejszościowych towarzyszą dwie ścierające się postawy Polaków: postawa tolerancji oraz przeciwna jej postawa niechęci i dyskryminacji. Nie jest to zjawisko wyłącznie polskie, ale ta dwoistość rzeczy jest szczególnie widoczna w konfrontacji z falą uchodźców – przede wszystkim muzułmanów – którzy raczej wcześniej niż później będą szukali dla siebie miejsca także w RP. Jest to problem o tyle trudny, że ok. 36 milionów mieszkańców Polski deklaruje wyznanie rzymskokatolickie. Tym bardziej dziwi, że tak wielu obywatelom trudno jest zaakceptować w sąsiedztwie wyznawców odmiennych religii i tradycji kulturowych, zwłaszcza jednak islamu.

Dwuznaczne świętowanie

Polska transformacja sprzyja procesowi przenikania do kraju różnych, obcych dotychczas, wzorów kulturowych, które obywatele w mniejszym bądź większym stopniu akceptują, lub też odrzucają. Przyjmowane elementy odmiennych kultur w pewnym stopniu wzbogacają rodzimy system. Przykładem jest celebrowanie zapożyczonych, i różnie przy tym ocenianych, świąt takich choćby, jak Walentynki czy Halloween. Otwartość

na odmienne kultury wzbogaca możliwość wyboru Polaków wobec filmów, sztuk teatralnych, książek, muzyki czy, w bardziej pragmatycznym podejściu, kuchni i trendów w modzie. Polacy mają także wybór stylu życia, który koresponduje z ich oczekiwaniami i spodziewanymi rezultatami – życie prywatne, mobilność zawodowa, konsumpcja. Rodaków nie dziwi już widoczny z daleka symbol McDonalda czy KFC, a także wielu innych symboli globalnego ujednoczenia świata.

Przyzwolenie i opór

Polacy w poważnym stopniu akceptują wydarzenia będące manifestacją odmiennych od rodzimej kultur etnicznych czy narodowych. Festiwal Kultury Romskiej czy Żydowskiej są doskonałym przykładem, a liczne w nich uczestnictwo potwierdza atrakcyjność imprez i przyzwolenie na obecność w społeczeństwie. Nie należy jednak przyjmować *a priori*, że każda odmienność kulturowa jest dzisiaj przez Polaków akceptowana. Sprzeciw mieszkańców stolicy, i nie tylko, wobec budowy Centrum Kultury Muzułmańskiej na warszawskiej Ochocie jest przykładem postawy odrzucenia i niegodzenia na wprowadzanie elementów odmiennych kultur w pejzaż kraju. Pomimo tego, Polacy coraz częściej są świadkami wkomponowywania symboli rozmaitych kultur w kształtujący się obraz współczesnej Rzeczpospolitej.

Kulinaría, buty i samochody

Trudno nie zauważyć zwiększającej się ilości etnicznych restauracji, oferujących Polakom kuchnie świata, chociaż równie często i ohotnie powracają oni do rodzimych kulinariów. Dzisiaj bowiem, w każdym niemal zakątku świata, a więc także i w RP, możemy skorzystać z sieci znanych światowych restauracji, skorzystać z ulubionego hotelu czy kupić buty, ubrania, samochód znanej światowej marki. Produkty różnych kultur są dostępne niemal wszędzie, a równocześnie nadają koloryt ulicom światowych, europejskich i polskich miast. W transformacyjnym kraju dobrą przestrzenią dla tego procesu są największe miasta, chociaż nie tylko, gdzie najliczniej zgromadzili się nowi, najczęściej czasowi imigranci wnoszący wszystkie wymienione odmienności do polskiej codzienności. Taka właśnie jest współczesna kultura rodzima, która pozostaje dynamiczna, gdyż wymaga tego współczesny system światowy którego Rzeczpospolita jest elementem. Polacy wciąż pozostają wierni przede wszystkim kulturze narodowej, ale na szczęście nie odwracają się także od innych kultur, z którymi coraz częściej obcuja w życiu codziennym.

Felieton został napisany z dr hab. Anną Śliz, profesorem Uniwersytetu Opolskiego

Słowacja po wyborach



Plakat nacjonalistów z SNS, z lewej nowy lider

Zgniły kompromis w cieniu neofaszystów

JAKUB ŁOGINOW

Jeszcze jesienią 2015 roku wydawało się, że będą to najnudniejsze wybory w historii niepodległej Słowacji, ze znanym z góry zwycięzcą i banalnie przewidywalnym wynikiem. To, że po raz czwarty z rzędu wygra Smer Roberta Ficy, było dla wszystkich oczywiste – pytanie brzmiało jedynie, czy nadal będzie miał bezwzględną większość miejsc w parlamencie.

Liberalnych komentatorów niepokoiły wysokie notowania nacjonalistów z SNS (Słowackiej Partii Narodowej), którzy niedawno powstałi jak Feniks z popiołów i z poparciem 6-10 procent szykowali się do powrotu do parlamentu, z którego wypadli przed czterema laty. A ponieważ popularność Smeru nieco spadła poniżej niedawnych czterdziestu kilku procent, bratysławska kawiarnia huczała od plotek, kto będzie koalicjantem socjalistów w przyszłym rządzie Ficy. Czy tak jak w latach 2006-2010 będzie nim nacjonalistyczna SNS, co mogłoby oznaczać powrót do głośnych w tych latach słowacko-węgierskich konfliktów? A może Fico wybierze, tak jak deklarował, którąś z mniej kontrowersyjnych partii – chadeckie KDĤ, konserwatywno-centrową Siet' Radosława Prochazki lub słowacko-węgierską partię Most-Híd Beli Bugara?

Gospodarka kwitnie, opozycja w rozsypce

Gdzieś tam w tle majaczyły wizje: a co jeśli sondaże się mylą, wyborcy znów się

zmobilizują przeciwko Ficy, zaskoczą wszystkich i tak jak w 2002 czy 2010 roku wybiorą centroprawicę? Co jeśli poparcie dla balansujących na granicy progu partii, takich jak liberalna SaS Richarda Sulika, w dzień głosowania gwałtownie wzrośnie, ugrupowania te wejdą jakimś cudem do Rady Narodowej (tak jak SaS i Most w 2010 roku) i w efekcie powstanie wymarzony przez przeciwników Ficy „zlepieniec”? Czyli koalicja czterech-pięciu centroprawicowych partii, analogiczna do tej, która w latach 1998-2006 tworzyła reformatorski rząd Mikuláša Dzurindy, a w latach 2010-2012 – Ivety Radicovej.

W taki rozwój wydarzeń niemal nikt na serio nie wierzył, chociaż wielu miało na to nieskrywaną nadzieję. Wszystko wskazywało jednak na to, że Fico sukces ma zapewniony. Na korzyść jego gabinetu przemawiały rewelacyjne wyniki gospodarcze: mniej więcej w 2013-2014 roku kraj w końcu wyszedł ze spowolnienia spowodowanego globalnym kryzysem i powrócił na ścieżkę szybkiego wzrostu PKB, który sięga obecnie 3,5% rocznie. Od ponad dwóch lat

słowacka gospodarka kwitnie, bezrobocie spadło do poziomu nienotowanego od dekady, wyraźnie wzrastają wynagrodzenia, a na słowackiej ziemi pojawiają się prestiżowe zagraniczne inwestycje – czego przykładem jest choćby fabryka Jaguara koło Nitry. Poprawę koniunktury odczuwają też mniej zamożni, a to za sprawą często krytykowanych przez opozycję szczodrych „pakietów socjalnych” rządu Ficy. Wśród nich – dotacje na tworzenie miejsc pracy w depresyjnych regionach, bezpłatne pociągi dla studentów i emerytów, obniżenie VAT na podstawowe produkty spożywcze z 20 do 10%, dopłaty do wypoczynku dla dzieci czy dodatki do emerytur. Ekonomisci załamują ręce („przyjdą gorsze czasy i budżet tego nie wytrzyma”), opozycja nazywa to wszystko populizmem, ale tradycyjni wyborcy Smeru się cieszą – po latach zaciskania pasa rząd w końcu coś im dał.

Fico rozpułtał demony, które go pożarły

W pewnym momencie Robert Fico jednak zdecydowanie przesadził. Gdy zaczął się kryzys migracyjny, zaczął ostro atakować uchodźców i zadeklarował, że Słowacja zdecydowanie nie zgadza się na ich przyjęcie – bo to obca kultura, zagrożenie terrorystyczne itp. Pod koniec 2015 roku Smer zmienił swe hasło wyborcze z socjalnego („Robime pre ľudí”) na antyimigranckie („Chranime Slovensko”) i postawił na konfrontację z Europą: Bratysława jako jedyna zaskarżyła decyzję UE w sprawie podziału uchodźców między kraje członkowskie. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że w odróżnieniu od sąsiednich Węgier i Austrii, Słowacji ten problem przynajmniej na razie nie dotyczy. Imigranci omijają Słowację szerokim łukiem, a obowiązkowa kwota uchodźców, do przyjęcia której UE zobowiązała Słowację, była śmiesznie mała – jedynie 802 osoby.

Zdaniem komentatorów, rozpętlając antyimigrancką histerię Fico rozbudził w społeczeństwie demony, które w efekcie zaszkodziły jemu samemu i doprowadziły na polityczny Olimp ekstremistów. Premier zaczął bowiem mówić o imigrantach językiem, który wcześniej był kojarzony raczej ze skrajną prawicą. Socjaldemokratyczny lider tym samym uwiarygodnił swoim autorytetem skrajnie ksenofobiczne poglądy, które według socjologów podziela 15-20% Słowaków, ale do tej pory były one uznawane za wstydlive, nie na miejscu w oficjalnym dyskursie. A skoro już nawet premier mówi otwarcie o tym, że każdy obcy to potencjalne zagrożenie dla Słowacji i trzeba tę Słowację przed obcymi chronić, to po co głosować na Smer, skoro można oddać głos na bardziej radykalne ruchy, które o tych sprawach mówiły od zawsze – pomyśleli radykalniej nastawieni wyborcy. I oddali głos nie tylko na oswojonych już narodowców z SNS, ale też na neofaszystowską Ludową Partię Naszą Słowacja (LSNS) Mariana Kotleby, której wejście do parlamentu nie śniło się większości Słowaków w najgorszych koszmarach.

Wyborcze trzęsienie ziemi

Popoworczy zaskoczenie było tym większe, że na Słowacji na dwa tygodnie przed wyborami obowiązuje moratorium na publikowanie sondaży wyborczych (do tego dochodzi też tradycyjna cisza wyborcza na 48 godzin przed głosowaniem). W efekcie Słowacy oglądający 5 marca wieczór wyborczy



Plakat opozycyjnej OLANO. Fico jako złodziej.

ostąpieli: wstępne wyniki badań exit poll (oraz podobne do nich ostateczne wyniki wyborów) totalnie różniły się od tego, na co wskazywały ostatnio opublikowane sondaże (czyli te z połowy lutego).

Po pierwsze, rządzący obecnie samodzielnie Smer zamiast oczekiwanych 34-40% otrzymał zaledwie 28%. W przeliczeniu na mandaty daje to jedynie 49 miejsc w 150-osobowym jednoizbowym parlamencie, podczas gdy do tej pory miał 83 posłów, czyli ponad połowę.

Drugim zaskoczeniem jest wynik „Sieci” Radoslava Prochazki. Ten charyzmatyczny polityk w 2014 roku omal nie został prezydentem – zajął trzecie miejsce z wynikiem 21%, tylko o jeden punkt procentowy mniej, niż Andrej Kiska. Gdyby wszedł do drugiej tury, miałby podobne do Kiski szanse na pokonanie w niej Roberta Ficy i być może dziś przyjmowalibyśmy go z honorami, gdy odwiedzałby on nasz region z oficjalną wizytą, jako głowa sąsiedniego państwa. Młodego, nie skompromitowanego aferami Prochazkę okrzyknięto wówczas „nową nadzieją słowackiej opozycji” i wykreowano na jej przyszłego lidera. A trzeba przyznać, że podzielona do granic możliwości, uwikłana w afery korupcyjne centroprawica, jak kania dżdżu potrzebuje nowych liderów i autorytetów. W 2014 roku Prochazkę okrzyknięto nawet „przyszłym premierem”, a on sam postanowił wykorzystać kapitał zaufania i stworzył #Siet’: nową partię – nie partię, która miała bazować na entuzjastycznie młodych aktywistów i stworzyć nową jakość słowackiej polityki, a dwa lata później przebojem wejść do parlamentu, pokonując lewicowy Smer. Wyszło inaczej: zamiast pewnego drugiego miejsca i wyniku 12-15%, partia ta ledwo prześlizgnęła się przez próg wyborczy, uzyskując 5,6% i zaledwie 10 mandatów, z czego trzech już opuściło Siet’ tuż po wyborach, zanim zdążono zaprzysiąc nowy parlament.

Drugie miejsce z wynikiem 12% niespodziewanie zajęło natomiast ugrupowanie, które miało do parlamentu nie wejść: przewyborcze sondaże dawały mu 3-4%, w porywach osiągała ono 5%. Chodzi o liberalną i nieco eurosceptyczną, choć ideowo proeuropejską partię Sloboda a Solidarita (SaS) Richarda Sulika. Jej lider w przeszłości był jednym ze współautorów słynnej reformy podatkowej, o której głośno było również w Polsce – chodzi o słowacki podatek liniowy z wysoką (równoważność 7 tysięcy złotych) kwotą wolną. Liberalna SaS

po raz pierwszy weszła do parlamentu w 2010 roku, po czym przez rok współtworzyła rząd Ivety Radicovovej – i przyczyniła się do jego upadku. Sulik kategorycznie nie zgadzał się na ratyfikację unijnego planu pomocowego dla Grecji, który oznaczałby m.in., że bogatszym Grekom pomagac będą również biedniejsi członkowie strefy euro, w tym właśnie Słowacja. Odmowa ratyfikacji groziła skandalem, na który premier Radicovova nie mogła sobie pozwolić – mała Słowacja tym samym zablokowałaby misternie tworzone plan, nad którym swój patronat objęła Angela Merkel i inni europejscy liderzy. Ostatecznie pakiet został zatwierdzony dzięki porozumieniu premier Radicovovej z Robertem Ficą – jego opozycyjny wówczas Smer zaproponował swe głosy w zamian za skrócenie kadencji parlamentu. Dla Ficy okazało się to strzałem w dziesiątkę, gdyż w przyspieszonych wyborach w marcu 2012 Smer uzyskał rekordowe 42%, co zapewniło mu cztery lata samodzielnych rządów.

Czas ekstremistów

O ile słaby wynik Smeru i Sieci oraz dobry rezultat SaS można nazwać zaskoczeniem, to wyborczy sukces neofaszystowskiej LSNS Mariana Kotleby był dla Słowaków autentycznym szokiem. Podobnie zresztą jak również nieoczekiwane wejście do parlamentu nowej antysystemowej partii Sme Rodina („Jesteśmy Rodziną”) Borisa Kollara. Nazwa partii jest efektem dobrego poczucia humoru jej założyciela, który jest ojcem dziesięciorga dzieci z nieślubnych związków. Polityk jest kojarzony ze związkami z bratysławską mafią (on sam dementuje te informacje), a jego partia nie ma żadnego programu poza jednym przesłaniem: wszyscy politycy to złodzieje, a my politykami nie jesteśmy. Neofaszyści Mariana Kotleby uzyskali 8% i mają 14 mandatów, natomiast Sme Rodina – 6,6% i 11 posłów.

O ile Sme Rodina jest typowym politycznym projektem na jedną kadencję, traktowanym w kategorii nieszkodliwego politycznego folkloru, to z LSNS sprawa jest poważniejsza. W porównaniu z kotlebowcami, nacjonalistami z SNS, którymi do niedawna straszono liberalnych wyborców oraz sąsiadów Słowacji, wydają się być zupełnie nieszkodliwą, zwyczajną konserwatywną partią, która po prostu w wyrachowania gra nacjonalistyczną nutą. W niedalekiej przeszłości było inaczej – na czele SNS stał skan-

dalizujący polityk-oligarcha Jan Slota, którego nie bez powodu nazywano „słowackim Żyrinowskim”. Slota słynął z nadużywania alkoholu, wulgarnych wypowiedzi, obrażania mniejszości oraz otwartym pogrożkom w stylu „wyślemy czołgi na Budapeszt”. Nowy lider SNS Andrej Danko (wybrany niedawno na marszałka nowego parlamentu) jest zupełnym przeciwieństwem poprzednika – kulturalny, elokwentny, umiarkowany w wypowiedziach. I chociaż politolodowie ostrzegają, że to tylko fasada, a członkowie i sympatycy SNS nadal mają nacjonalistyczne i ksenofobiczne poglądy (wielu z nich np. wysuwa pretensje terytorialne wobec Polski), to w obecnej sytuacji udział SNS w rządzie nikogo już nie oburza.

Co innego Kotleba. Polityk od kilku lat mówiąc pracą buduje pozycję swoją i swojego antydemokratycznego ruchu, a jego hasłami są wyjście z UE i NATO, obalenie demokracji i wprowadzenie ustroju nawiązującego do tego z lat faszystowskiego Państwa Słowackiego Józefa Tiso (1939-45). „Nigdy nie żyło się tak dobrze, jak za Tisy” – twierdzi Kotleba, prowadząc „pracę edukacyjną” z młodzieżą (to właśnie młodzi wyborcy najczęściej głosowali na neofaszyistów). W 2013 roku Marian Kotleba został wybrany w bezpośrednich wyborach na żupana (marszałka) Kraju Bańskobystrzyckiego, gdzie wśród oponentów zyskał przydomek „mały Hitler”. Współpracę z kotlebowcami zdecydowanie wykluczyły wszystkie siły polityczne obecne w parlamencie, włącznie z narodowcami.

Trudna koalicja na czas słowackiej prezydencji

Podczas pisania tych słów trwają rozmowy koalicyjne, mające za cel wyłonienie przyszłego rządu. Nie jest to łatwe, zwłaszcza że politycy mówią o powyborczym paccie. Misję stworzenia rządu otrzymał urzędujący premier Robert Fico, który próbuje utworzyć koalicję Smer – Most – SNS – Siet’. Na ironię losu zakrawa już to, że w nowej koalicji ma się znaleźć partia mniejszości węgierskiej Most-Hid oraz... narodowcy z SNS, dla których przez lata głównym wrogiem była właśnie mniejszość węgierska. Tym niemniej, taka współpraca byłaby niezbędna również w alternatywnym rządzie Richarda Sulika, który tworzyłoby SaS, OLANO-Nova, Most i SNS z poparciem antysystemowców Borisa Kollara. Prezydent Kiska zapowiedział powierzenie właśnie Sulikowi misji stworzenia rządu w wariancie B, gdyby trzeci rząd Roberta Ficy nie uzyskał jednak wotum zaufania.

Zaraz po wyborach odezwały się głosy, że tak czy inaczej żaden z tych gabinetów (Ficy czy Sulika) nie przetrwa długo, a sprawa skończy się kolejnymi wyborami. Problem w tym, że pierwsze powyborcze sondaże pokazują, iż na nowych wyborach najbardziej zyskaliby ekstremiści. Słowackie media biją na alarm – w popularnych dziennikach „Sme”, „Pravda” i „Dzennik N” oraz w tygodniku „Tyždeň” ukazują się artykuły, przypominające, jak do władzy w Niemczech swego czasu, w podobnych okolicznościach, dochodził Adolf Hitler. Dziś się klócimy o stołki, a oby za kilka lat się nie okazało, że Smer wraz z opozycją muszą utworzyć szeroką koalicję „wszyscy przeciwko Kotlebie” – przestrzegają publicyści bez względu na to, czy sympatyzują z Smerem czy z centroprawicą.



Vlasta Dvorackova i Tadeusz Różewicz na wieczorze autorskim w Pradze 21 marca 1991 roku

Dwa listy do Vlasty

MARIA DĘBICZ

Zaczęli do siebie pisać w 1949 roku. Zaprzyjaźnili się jesienią w 1957 po tym, jak razem odwiedzili grób matki Różewicza na cmentarzu w Gliwicach. W bibliotece Vlasty zachował się tomik poezji *Niepokój* z dedykacją: „Pani Vlastie Dvořáčkové z podziękowaniem za odwiedziny w moim domu – Tadeusz Różewicz 20.10.57 r.”

Na „ty” przeszli korespondencyjnie z inicjatywy poety. „Piszmy do siebie na „Ty”, bo ta odmiana Pani, Pana, Panu rozbija zupełnie zdanie” [27 IX 1960]. Na pierwsze po śmierci matki Święta w 1957 wyjechał do Pragi. „Zbyt ciężko patrzeć na puste miejsce” – napisał do Vlasty. Zamieszkał w hotelu Flora na Vinohradach, blisko domu Vlasty. Długie puste korytarze z ciągiem białych drzwi do pokoi, zamglone lustro. Woda kapiąca z kranu. Cisza. Zasłonięte firankami okna w domach, gdzie krzżeli się ludzie przygo-

towujący wieszczkę wigilijną. Wigilię spędził z rodziną Vlasty.

W opublikowanym w 1960 roku tomiku poezji *Rozmowa z księciem* zamieścił małe prozy poetyckie pt. *Wigilia w obcym mieście*. Dwa lata wcześniej w czeskim wydawnictwie SNKLUHU [potem Odeon] ukazując się wybór wierszy *Uprostřed života, 1958 [W środku życia]* w tłumaczeniu Vlasty. To pierwsza zagraniczna antologia poezji Różewicza. Już wcześniej Vlasta publikowała przekłady wierszy w czasopismach literackich,

jak Kvetan, Svetova literatura, Literární noviny. Przeglądam książki Różewicza w przekładach Vlasty. Poezja, proza, dramaty. Od skromnych tomików, po okazałe, jak *Mezi apokalipsu a...*, albumowe wydanie Paseki z 2004 roku. W twardej oprawie, z kolorową obwolutą, z fotografiami na stronie tytułowej i wewnątrz tomu.

Dziesięć lat wcześniej w renomowanej oficynie Melantrich ma się ukazać wybór wierszy z lat 90. Okładka i materiały promocyjne wydrukowane

i przesłane do księgarń. Poeta nie zgadza się na tytuł *Jak svelto pavučinou* [*Jak światło pajęczyny*]. Proponuje: *Plaskorzeźba, Twarz, Przeświecenia*. To tytuły wierszy. Vlasta wciąga mnie do „spisku”. Przedkładam poecie argumenty, wzmacnione uwagami Vlasty: „w tytule brzmi echo innych wierszy, nawet główny motyw *Kartoteki*. I wiersz z *Twarzy* trzeciej: *Śmierć / plasnika przez życie/jak światło/ przez pajęczynę/wiszącą w drzwiach/otwartego pokoju/*. I poeta się zgadza. Przyjeżdża do Pragi. Odwiedza wydawcę, w Instytucie Polskim ma spotkanie autorskie. Jest maj 1995 roku. Jak zwykle szuka przyjaciół ze swego pokolenia. Stawiają się starzy znajomi, tłumacze Jaroslav Simonides i Erich Sojka. To będzie ich ostatnie spotkanie. Simonides umiera w 1996, Sojka w 1997.

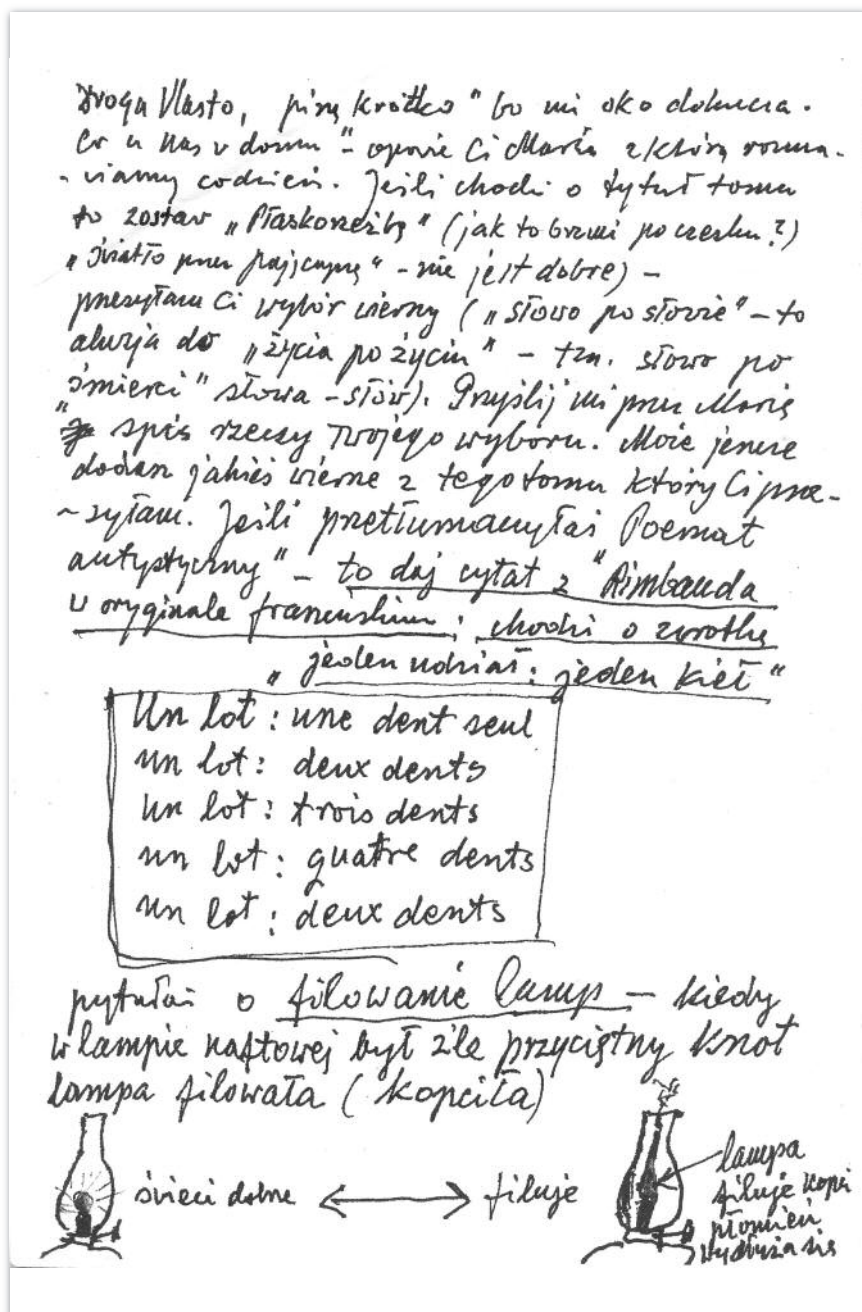
Na wieczorze autorskim towarzyszy mu Vlasta i młody flecista. Muzyka. Słucha i zamyśla się. „Szukam nowej formy wieczoru autorskiego, kiedy czytelnicy nie zadają pytań, sami szukają odpowiedzi, a autor wycisza swoją rolę, wycofuje się, chce prawie zachować anonimowość”.

W liście do Vlasty, trzydzieści lat wcześniej, pisał, że ma naturę trawy... nie dębu ani róży. Trwa „pod śniegiem, pod niepewnościami...”. Jakby objaśniał swój wiersz *Trawa*.

Tłumacze może się zwierzyć, jak przyjaciółce. Od poezji się nie odrywa, choć czasami tego pragnie. Coraz więcej i częściej podróżuje, choć nie lubi pakować walizki i opuszczać domu, „warsztatu”. Ale „siedzenie w domu to jest życie zredukowane”. I zatrząskuje zamki.

I.

Droga Vlasto,
Jestem od tygodnia w domu. Czy będę coś pisał o podróży niemieckiej? Widzę wszystko źle, niewyraźnie. Chyba nie będę pisał. Nie czuję się zdolny do sądzenia, oceniania. Wiem coraz mniej. I jeszcze raz Ci powtarzam, ja wiem dobrze, czego nie zrobiłem, czego nie napisałem. I noszę to w sobie. Podróż kształcą. To jedno jest oczywiste. Wróciłem do domu i znów usiadłem na stosie swoich notatek, na śmietniku. Wspomniałaś w ostatnim liście o „Opowiadaniu dydaktycznym”. Przyślę Ci kiedyś komentarz do tego poematu – są tam dialogi z umarłymi, którzy przegrali, są impresje na temat sztuki współczesnej, kawałki reportażu itd. itp. Zegnę się ciągle z „poezją”, powoli



Kserokopia pierwszej strony przytoczonego wyżej listu

przestaję pisać wiersze – chciałbym oderwać się na kilka lat od poezji, to jest moje pragnienie

ale ciągnę
za sobą
te papierowe flaki
nie myślałem
że tak trudno
oderwać się
od tego

wiem, że piszę do Ciebie w tym celu, żeby szukać „pociechy”. Chcę sam sobie wytłumaczyć pewne rzeczy. Nie pewne rzeczy – ale samo życie. Ciągłe jestem w pierwszej klasie i zadaję głupie pytania. Stoję z otwartymi ustami, zawsze zaskoczony, zdumiony. Może piszę niejasno? Ale mam

do tego jakieś prawo. Jestem „poetą”. Takie stany męczą mnie, jestem realistą, nie lubię „stanów poetyckich” – lubię rzeczy w świetle, realne, wyraźnie zarysowane. Przez tyle lat wydobywam rzeczy z mgły, ciemności; płaci się za to. Człowiek sam zostaje w dole. Ślepy. Następny list napiszę „normalny”. Postaram się. Miałem przez chwilę wątpliwości, czy Ci te „mgły” wysyłać. Ale niech idą. Ostatecznie to też moje. Dziękuję Ci za opiekę nad Wiesławą i za przesłaną książkę *Mezi chodzi*.

Bądź zdrowa
Tadeusz
14 XI 1962

Podróż niemiecka w październiku 1962 to był wyjazd do Hamburga, Kolonii i Monachium. Odwiedzał muzea i galerie oraz rozmawiał o planowanej premierze



Kartka z pierwszej włoskiej podróży, która trwała trzy miesiące, 1960

Świadków [odbyła się w 1963]. 2. Wiesława, żona Tadeusza Różewicza, była wtedy pierwszy raz w Pradze. Vlasta powiedziała potem: – Taką żonę jak Wiesława, powinni mieć wszyscy poeci. 3. *Mezi chodí* – tomik poezji Vlasty ukazał się w wydawnictwie Mlada Fronta, 1962.

II.

Droga Vlasto,
Piszę „krótko”, bo mi oko dokucza. Co u nas w domu – opowie Ci Maria, z którą rozmawiamy co dzień. Jeśli chodzi o tytuł tomu to zostaw *Plasko-rzeźbę* (jak to brzmi po czesku?) „Światło przez pajęczynę” nie jest dobre. Przesyłam Ci wybór wierszy¹ („słowo po słowie” – to aluzja do „życia po życiu” – tzn. słowo po „śmierci” słowa – słów). Przyślij mi przez Marię spis treści Twojego wyboru. Może jeszcze dodasz jakieś wiersze z te-

go tomu który Ci przesyłam. Jeśli przetłumaczysz *Poemat autystyczny*² – to daj cytaty z Rimbauda w oryginale francuskim: chodzi o zwrotkę „jeden udział: jeden kiel” Un lot: une dent seul / un lot: deux dents / un lot: trois dent / un lot: quatre dents / un lot: deux dents

Pytałaś o filowanie lamp – kiedy w lampie naftowej był źle przycięty knot lampa filowała (kopciała)...

[...] Czy zrobiłaś już notatki z naszych wędrowek po śladach Kafki (myślę o tym wystraszonego staruszku który nam opowiadał o K., zasłonił przed tym okna – pamiętasz?).

Całujemy Cię serdecznie
i Wiesława i ja – Tadeusz
9 XI 1994 Wrocław

1. Różewicz wysłał tom wierszy *Słowo po słowie* [Wydawnictwo Dolnośląskie 1994]. 2. Pracowałam w teatrze i miałam kontakty z pisarzami i tłumaczami. 3. Wiersz *Poemat autystyczny* Vlasta nie włączyła do tomu *Jak svelto pavučinou*. Wiersz *W świetle lamp filujących* – tak.

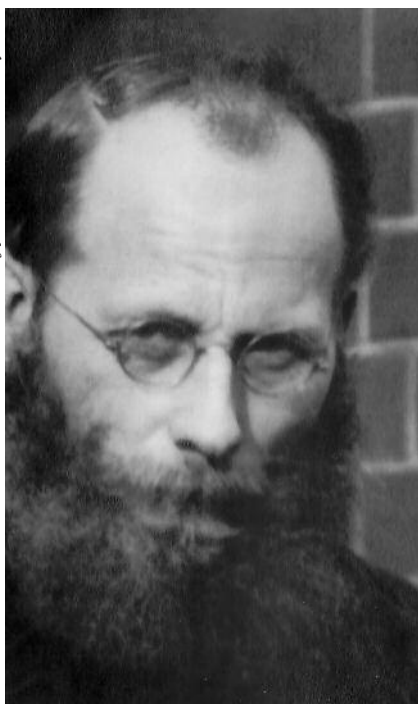
Śladami Kafki Różewicz chodził od 1949 roku. Wtedy po raz pierwszy był w Pradze i w ogóle za granicą. Szukał osób i miejsc. Córka Ottli, ukochanej siostry Kafki, była dobrą znajomą Vlasty. Poznał staruszka, „panią W. O.”, która przez noc przetłumaczyła mu opowiadanie *Jama*. Zobaczył Strahovskí kamieniołom, biuro Kafki, dom, w którym pisarz mieszkał. Żeby napisać *Pułapkę*, ostatni utwór, inspirowany osobą i dziełem Kafki, musiał „zapomnieć setki przeczytanych stron”. Oddalić się od swego bohatera. Nie wytrwał w postanowieniu. Napisał poemat *przerwana rozmowa* o ostatnich dniach Kafki w sanatorium Kierling pod Wiedniem. „Zrozumiałem daremność rozwiązania „tajemnicy” Kafki”. Kiedy dowiedział się, że w Pradze postawiono pisarzowi pomnik i obejrzał go na pocztówce, napisał w 2005 roku wiersz – protest pt. *Tego się Kafce nie robi*. Ale Vlasta nie chciała wiersza przetłumaczyć.

III.

W 2011 roku, kiedy Vlasta Dvořáčková otrzymała w Krakowie Nagrodę Transatlantyk, już się nie zobaczyli. Różewicz przesłał list, odczytany podczas uroczystości. Przypomniawszy odwiedzin Vlasty w Gliwicach. I, co jej, tłumacze swoich utworów, zawdzięcza.

Teraz, kiedy Tadeusza Różewicza nie ma już wśród nas, Vlasta Dvořáčková wyjęła ze swojej biblioteki książkę *Matka odchodzi*. – *Dotąd jej nie przetłumaczyłam. Chciałabym, aby ukazała się po czesku jesienią*. To będzie symboliczne zamknięcie naszej przyjaźni po prawie 60. latach. ■

Vlasta Dvořáčková, ur. 21 II 1924. Poetka, tłumaczka, redaktorka. Wydała osiem tomów poezji. Tłumaczy z angielskiego, niemieckiego i przede wszystkim z polskiego [Miłosz, Szymborska, Różewicz, Herbert]. Redaktorka w wydawnictwach literatury pięknej i w radiu. Bibliografia przekładów, przygotowana w związku z Nagrodą Transatlantyk, zawiera kilkadziesiąt nazwisk polskich pisarzy z wszystkich epok literackich. Ostatnio opublikowała: tom poezji Anny Świrszczyńskiej, *Poezję polskiego baroku i antologię własnej poezji* pt. *Kdo v slunci chodí* [Kto w słońcu chodzi].



Florian Klose

Florian Klose to jeden z założycieli „Eleusis” – pierwszej na Śląsku tajnej robotniczej organizacji zorganizowanej na podobieństwo loży masonskiej. Jej konspiratorzy nazywali siebie eleusianami albo Elsami – od skrótu „LS” – inicjałów greckiego: „laon soteres” – w swobodnym tłumaczeniu oznaczającego: „wybawcy zniewolonych”. Za cel główny stawiali sobie odrodzenie narodowe Polaków i Polek. Ich oficjalnie funkcjonującą przybudówką a właściwie parawanem było „Wyzwolenie” – organizacja zapisana w pruskim rejestrze stowarzyszeń. Na terenie Zabrze propagowała idee abstynencji. Wypróbowani jej adepci trafiali do „Eleusis” i tam byli zaprzysięgani jako bracia i siostry. Sojusznikiem „Eleusis” było zawiązane w Zaborzu Kółko Filaretów kierowane przez Stanisława Piechę.

Przyjazną dłoń kierowali w stronę rodaków zagrożonych alkoholizmem, niktynizmem, prostytutką i hazardem – na krawędzi tamtych stuleci, największymi plagami społecznymi wilhelmińskiego cesarstwa. Atmosfera elsowskich zebrań przypominała uroczystości ku czci mitologicznej Demeter. Pragnęli moralnej i narodowej odnowy polskiej obyczajowości. Kojarzyli to z Eleuzyniami starożytnych Greków i wiosennym odrodzeniem przyrody. Byli mieszkańcami Zabrze i Zaborza – kolebki i głównego ośrodka tego stowarzyszenia na pruskim Śląsku. Drugie, już wkrótce zawiązali w Gliwicach a kolejne w Rybniku.

Jak wileńscy filareci

Ich duchowym przywódcą i mistrzem pozostawał przebywający w Szwajcarii, nieco ekscentryczny, krakowski intelektualista prof. Wincenty Lutosławski, na początku XX wieku wykładowca filozofii na uniwersytetach w Lozannie

TYSIĘCZNIK ELSOWSKIEGO PUŁKU

Tercjan od św. Kazimierza

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Pan Florian był mężczyzną słusznego wzrostu. Ludzie czuli przed nim respekt. Uwagę przykuwały jego szare oczy i przenikliwe spojrzenie. Budziły sympatię i zaufanie. Nosił brodę i sumiaste, sarmackie wąsy. Życzliwie uśmiechnięty, tak wobec uczniów jak i pedagogów Państwowego Gimnazjum Klasycznego imienia Św. Kazimierza w Katowicach, był po ojcowsku opiekuńczy. Niczym dowódca pałacowej awangardy, już od progu witał żaków, profesorów i gości. Do legendy przeszedł jako ważna figura – jedna z ikon tej szkoły. Po śmierci zastąpili go kolejno dwaj synowie, wyglądem i sposobem bycia, do ojca podobni jak dwie krople wody. Klosów pamiętają wszyscy gimnazjaliści z przedwojennego „Mickiewicza” ale prawie nikt nie zna ich sekretów.

i Genewie a wcześniej na wielu innych uniwersytetach europejskich. Prócz rozważań nad istotą bytu fascynowała go metafizyka i joga.

„W Morges miałem jedno przeżycie, które zdecydowało w znacznej mierze o dalszej mojej działalności. Przed Bożym Narodzeniem 1901 roku przybyła do mnie delegacja od górników śląskich (...), z prośbą, abym pisał dla robotników. Był to skutek wydania I tomu „Wykładów Jagiellońskich” (...)” – wspominał uczony.

Posłańcami śląskich robotników byli Joachim Sołtys, redaktor bytomskiego tygodnika „Światło” oraz wydawanej w Zabrzu „Gazety Polskiej” i Jan Wycisk, z zawodu szewc z warsztatem na starej zabrzańskiej cegielni. 24 grudnia 1901 roku wraz z innymi delegatami z wszystkich dzielnic Polski uczestniczyli w uroczystym seminarium zorganizowanym przez profesora w salach Muzeum Narodowego Polskiego na zamku w Rapperswilu. Słuchali jego wykładu na temat „Eleuterii” – towarzyszywa do walki z alkoholizmem wzorowanego na doświadczeniach angielskiego Zakonu Dobrych Templariuszy i Armii Zbawienia, z którymi zetknął się podczas pobytu w Londynie.

W rok później prof. Lutosławski rozpoczął potajemne spotkania z zabrzańskimi robotnikami. Odbywały się w prywatnych mieszkaniach J. Wyciska, J. Wiechuły i Morciszka w Zaborzu lub na zapleczu zabrzańskiej księgarni J. Sołtysa. Były lekcje romantycznych ideałów dawnych filaretów.

„[...] późną nocą miewałem wykłady, wspominał profesor – objaśniałem zmęczonym całodzienną pracą górnikom pisma Mickiewicza, Słowackiego i Krańskiego. Odpowiadałem na ich pytania, zachęcałem, by do mnie pisali [...]”

22 stycznia 1903 r., dla uczczenia 40. rocznicy powstania styczniowego, podczas inauguracyjnego zebrania adeptów „szko-

ły wychowania narodowego” zaprzysięgał pierwszych eleusianów, którzy dla uspienia czujności pruskich prokuratorów, anonsowali się jako „Gutentempler Loge”, czyli „Loża Dobrych Templariuszy”.

Kształcąc wolę i charakter, poznając tradycje, pogłębiając świadomość narodową, umacniali więzi z Polską Macierzą. Niczym mistrzowie jogi byli stanowczymi abstynentami od napojów alkoholowych, nikotyny, wybujałej niekontrolowanej seksualności i gier hazardowych. Ich ideał przypominał olimpijskiego Zeusa Eleuteriosa zwanego Wyzwolicielem. Za wzór do naśladowania uznali człowieka myślącego – chrobrego, szlachetnego, stale dążącego do doskonałości. Główną cechą jego charakteru była wstrzemięliwość pojmowana jako umiar i umiejętność wyboru złotego środka. Taki styl życia zapewniał moralne i narodowe odrodzenie młodego pokolenia rodaków na Śląsku. Propagowali go na łamach „Iskry” – organu Ludowych Kół Samokształcenia, redagowanego przez Joachima Sołtysa – ojca założyciela elsowskiej organizacji.

Florian, wówczas cieśla górniczy kopalni „Concordia” zaprzyjaźnił się z nim w 1900 r. W trzy lata później wspólnie z Jankiem Wyciskiem, wtedy kolegą z górniczej szycy, Heleną Wiktoria Sołtysiną, żoną Joachima i Edkiem Rybarzem, stypendystą zabrzańskiego Związku Wzajemnej Pomocy Robotników zawiązali pierwszą komórkę samokształceniowego koła braterskiego skupiającą tamtejszych Polaków pragnących potajemnie poznać dzieje ojczyznej historii i literatury.

Amicus librorum

Miał lat 41 i wieloletnie doświadczenie w pracy na niwie narodowej. Ruchliwy i przedsiębiorczy wciąż miał prezencję

dwudziestolatka. Od wczesnej młodości pręnumerował i kolportował gazety polskie. Popularyzacja polskiego piśmiennictwa i czytelnictwa była jego pasją.

Od 18 lat był żonaty z Genowefą z domu Kwasigroch, troskliwą opiekunką domowego ogniska, kochającą matką ośmiorga dzieci a przy tym wierną towarzyszką pracy konspiracyjnej. Wśród zabrzańskich Polek wspólnie kolportowali „Przodownicę”, gazetę kobiecą redagowaną w Krakowie przez Marię Siedlecką. W 1902 r. liczna grupa Zabrzańskich Polek z Korfantym na czele uczestniczyła w krakowskich uroczystościach jubileuszu twórczości Marii Konopnickiej. Rokrocznie organizowali wycieczki do podwawelskiego grodu – skarba narodowych pamiątek.

Dla Zabrzań, wspomnienia tamtych wyjazdów przez długie lata były inspiracją do snucia niekończącej się opowieści o królewskim grodzie nad Wisłą; wyjątkowo barwnej dla każdego, kto nie mógł tego zobaczyć osobiście.

Stamtąd Florian nielegalnie i półlegalnie przewoził polską literaturę i czasopiśma. Potem jako „książkowy”, kolportował je i sprzedawał wśród Polaków w Zabrzu i okolicy. Na szczególnie niebezpieczeństwo w postaci wysokiej grzywny lub kary więzienia narażał się rozpowszechnianiem materiałów patriotycznych, przez oficjalną cenzurę i policję pruską uznawanych za propagandowe i podburzające przeciw cesarskiemu reżimowi.

Budzieli polskiego ducha

Miała go na oku miejscowa policja. W liście do redakcji „Głosu Śląskiego” zawiadomiali, że w czasie przeprowadzonej u niego rewizji żandarmerii szczególną uwagę zwracali na obrazy. „Nie wiem, czy im się podobały – pisał Klose – bo mam trzy obrazy Tadeusza Kościuszki, Bitwę pod Racławicami i Przysięgę Kościuszki na Rynku Krakowskim”. Podobnie wyglądało mieszkanie jego kolegi Wyciska. Ściany największego pokoju ozdobił godłem Polski, portretami polskich królów i bohaterów narodowych a nad wejściem umieścił hasło: „Krzyż o wolność polskiego ludu”. Wciąż ocierał się o niebezpieczeństwo i był o krok od wpadki.

Wysoko cenił sobie funkcję skarbnika i kwestara za Skarb Narodowy w Rapperswilu. Miał legitymację z lakową pieczęcią i podpisami. Strzegł jej jak oka w głowie. Zbierał składki i podatek narodowy. Późnym wieczorem, przed Bożym Narodzeniem 1904 roku wraz z kilkoma kolegami został zatrzymany przez pruskich policjantów. Aby zrewidować podejrzanych konwojowali ich do komisariatu. Florian miał przy sobie rapperswilską legitymację. Zanim dotarli na miejsce, zdążył ją zjeść... Razem z lakowymi pieczęciami!

Wchodząc na salę rozpraw pruskiego sądu w Gliwicach powiedział po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chry-

stus!” Za co sędziowie, na dobry początek wymierzili mu 50 marek grzywny a dopiero potem przystąpili do przesłuchania Klosego, jak zwykle oskarżonego o wywrotowe knowania przeciw wielkiemu cesarstwu Wilhelma II.

Miał zasługi w organizacji wyjazdu licznej gromady Zabrzań na uroczystości grunwaldzkie do Krakowa świętującego odświeżenie pomnika 500. rocznicy zwycięstwa nad Krzyżakami. Wincenty Ogrodziński przypomina, że dla uczczenia wspaniałego jubileuszu „3 druhów zabrskich powiozło taczkami ziemię na kopiec grunwaldzki aż do Niepołomic”. Na granicy policja pruska zrewidowała powracających. Nie uszło im to bezkarnie. Zapłacili grzywny od 5 do 50 marek. Dostali wypowiedzenia z pracy, a jeszcze inni znaleźli się na czarnej liście. Wielu żandarmerii aresztowali za posiadanie polskich orzełków. Zarekwirowali książki, broszury patriotyczne, śpiewniki i pamiątki, a nawet pocztówki z widokami Krakowa.

Tysięcznik elsowskiego pułku

Jedyną szkołą, jaką Florian ukończył była wiejska ludowa w rodzinnej Wieszowie (około 10 km od Zabra). Dalszą edukację zawdzięczał samokształceniu. Uczył się korzystając z porad dydaktycznych prof. Lutosławskiego. Pozostawał z nim w częstych kontaktach, podobnie jak z Marią Konopnicką, Kornelem Makuszyńskim i red. Siedlecką. Byli dumni ze swego elewa cieszącego się coraz większym autorytetem, a po aresztowaniu J. Sołtysa zdobywającego pozycję lidera zabrzańskich elsów.

Propagował idee trzeźwości. Zachęcał do pracy i ofiarności społecznej. Był urodzonym oratorem obdarzonym charyzmą. Podczas wieców i zebrań „Wyzwolenia” wzbudzał aplauz słuchaczy, przekonywał do zaangażowania na rzecz sprawy polskiej.

Wśród uczestników abstynenckich wieców nie brakowało szpicli. Na skutek donosu Elsowie zostali zdekonspirowani. W listopadzie 1905 r. Klose i dwudziestu pięciu jego kamratów stanęło przed sądem. Byli wśród nich: Jan Wycisk, Jan Przybyła, Franciszek Żelazny, Edward Rybarz, Karol Pander, Wiktor Oleś, Teodor Fojcik i inni. Broniło ich czterech polskich adwokatów: Kazimierz Czapla, Zygmunt Seyda, Marian Różański i Klemens Wnukowski.

Skazani na grzywny i areszty, odwołali się do Sądu Rzeszy w Lipsku. Ich apelacja została oddalona a w uzasadnieniu pruscy sędziowie wykpiłi się wyświechtanym, kłamliwym sloganem pruskiej propagandy: „...tego rodzaju sprzeciwiająca się interesom państwa działalność jest szczególnie szkodliwa i karygodna na Górnym Śląsku, który jest ziemią niemiecką i który nigdy nie należał do dawniejszego Królestwa Polskiego...”.

Relacje z procesu zamieszczała polskojęzyczna prasa z katowickim „Górnoślążakiem” na czele.

Floriana na 3 miesiące osadzono w więzieniu. Nie złamała go pryca i kraty karczeru. Wyszedł bardziej zdeterminowany i przekonany do słuszności swoich ideałów. Już po kilku miesiącach udało się odbudować i zwielokrotnić szereg tajnego związku „Eleusis”. Liczba konspiratorów przekroczyła 1000. Zgodnie z tradycją powstania kościuszkowskiego Floriana Klose druhowie awansowali do stopnia „tysięcznika” – jako dowódca 10 rot był równy pułkownikowi. W sprzysiężeniu z tą szarżą służył do czasów Polski Odrodzonej. Jego zaufanymi sztabowcami byli: Józef Gołąbek, Roman Więcek, Stanisław Piecha oraz Jan Pyka.

Teraz na konspiracyjny kryjówkę obrali sobie dom Jana i Franciszki Wiechulów w Zaborzu. Spotykali się tam wieczorami lub nocą. Słuchali wykładów, dyskutowali, czytali polską literaturę, prezentowali swoje referaty – wyniki samokształceniowych studiów. Korzystali z konsultacji programowych i dydaktycznych pedagogów dojeżdżających z Krakowa.

Ich nauczycielami i naukowymi przewodnikami byli: prof. Stanisław Pięgoń, Kornel Makuszyński, Tadeusz Strumiłło, Stefan Sacha, Helena Dulowska, Roma Wodzieczkówna i inni.

Podczas nocnych wykładów Kornela Makuszyńskiego, policja zorganizowała obławę. W ostatniej chwili udało się wyprowadzić wykładowcę i ukryć w mieszkaniu rodziców Janka Przybyły. Dwóch innych prelegentów z Krakowa policjanci w szturmowych pikielhaubach, ciupasem dostarczyli na posterunek graniczny z Austro-Węgrami. Z właściwym sobie poczuciem humoru stresującą przygodę wspominał autor „Szatana z siódmej klasy”.

Pruska żandarmeria i dyrektorzy kopalni „Concordia” należącej do Donner-smarcków nie dawali za wygraną. Górnik Klose został wyrzucony z pracy. Miał jednak szczęście i przyjaciół. Wśród nich znalazła się Maria Konopnicka, organizatorka krakowskiego Komitetu Pomocy uwięzionym śląskim braciom. We Lwowie o Eleusianów, na łamach prasy, podczas zebrań i wykładów upominała się Helena Sołtysina, po aresztowaniu męża w Cytadeli warszawskiej, jako banitka przebywająca w Galicji.

Wkrótce dostał pracę. Znow stemplował przodki i chodniki teraz w leżącej po sąsiedzku kopalni Biskupice.

Na czele robotników

Od maja 1889 r., po klęsce historycznego strajku kilkunastu tysięcy górników był energicznym działaczem „Towarzystwa Wzajemnej Pomocy dla Robotników Górnośląskich”, które w 1909 r. połączyło się z podobnymi polskimi organizacjami z Zagłębia Ruhry i Wielkopolski tworząc organizację, która jako stowarzyszenie Polaków w Niemczech przyjęła nazwę Zjednoczenie Zawodowe Polskie – ZZP. Jej pierwszym prezesem aż do 1913 r. był Wojciech Sosiński. Za-



Prof. Wincenty Lutosławski (pośrodku), obok Genowefa i Florian Kłosowie

stąpił go Józef Rymer, po latach pierwszy wojewoda na odrodzonym Śląsku. W 1913 r. liczebność ZZZP szacowano na ponad 75 tysięcy. Od 1919 jej członkowie stanowili podstawowy trzon szeregów powstańczych.

W 1910. Florian Kłose założył oddział ZZZP w Zabrzu i przez 12 lat był jego prezesem. Był współzałożycielem Polskiego Banku Ludowego i tamtejszych swoich „Konsumów” „Unitas”.

Podczas kampanii wyborczej do Reichstagu w 1912 r. organizował polski elektorat i brał udział w agitacji na rzecz kandydatów narodowych. To właśnie wtedy jako jedyny poseł z okręgu katowicko-zabrskiego w ławach berlińskiego parlamentu Rzeszy zasiadł Wojciech Sosiński, rodowity Polak, lider ZZZP i jeden z przyjaciół Floriana Kłose, wspólnie z którym wiosną 1913 r. organizowali górniczy strajk we wszystkich kopalniach górnośląskich. Walczyli o ośmiogodzinny dzień pracy, podwyżkę płac i 14 dni urlopu. Musieli skapitulować, gdy na kopalniane podwórza, w asyście pruskiej żandarmerii wkroczyły regularne oddziały wojska, posłuszne zleceniom magnatów węgla i stali.

Kłeska butnej Rzeszy

Po wybuchu pierwszej wojny światowej, na przekór szykanom pruskiej administracji paraliżującym działalność Polaków, od września 1915 r. Kłose pracował w Śląskim Komitecie Wykonawczym Niesienia Pomocy Głodującej Ludności Królestwa Polskiego. Należał do czołowych przedstawicieli oddziału zabrzańskiego. Założycielem i przewodniczącym tej organizacji zainicjowanej przez kra-

kowskiego biskupa Adama Sapiechę był legendarny kapłan ks. Aleksander Skowroński a jednym z liderów Józef Rymer.

W latach 1917- 1922, gdy był radnym gminy Zabrze, kierując się odruchem serca, spontanicznie zapewnił opiekę jeńcom rosyjskim, przymusowo pracującym w okolicznych kopalniach i hutach. Zredagował skargę, podpisaną przez nich i wniesioną do władz wojskowych. Za ten humanitarny gest, Prusacy postawili Kłosego przed sądem wojennym. Od kuli lub stryczka za konszachty z wrogiem wybaWił go zbieg okoliczności i doskonała mowa obrończa adwokata. Skończyło się karą grzywny i konfiskatą dodatkowych kart żywnościowych.

Po upadku II Rzeszy, nadal kierował zabrzańskim ZZZP. Był czynny w Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). W grudniu 1918 r. jako deputowany z powiatu Zabrzejskiego wspólnie z adwokatem Stanisławem Kobylńskim i kilkunastoma innymi mandatariuszami Rady Ludowej uczestniczył w obradach Polskiego Sejmiku Dzielnicowego w Poznaniu.

Walczył w kolejnych powstaniach śląskich. Jako mąż zaufania polskiego Komitetu Plebiscytowego na Zabrzu, przemawiał na wiecach polskich.

Wygnaniec z Zabrza

Latem 1922 r. gdy Zabrze znalazło się po niemieckiej stronie rozgraniczzonego Śląska – Florian Kłose wraz z liczną rodziną przeprowadził się do Katowic. Kilka tygodni wcześniej obchodził diametrowe urodziny. Pracę i mieszkanie otrzymał w katowickim Gimnazjum im. Św. Kazimierza przy ulicy Mickiewicza 13. Pierwszym jego dyrektorem był

ks. Koźlik, tajny komisarz akademickiego Kółka Braterskiego „Zet”, dobry znajomy z dawnych lat, jeszcze na wilhelmskim Śląsku opiekujący się polską młodzieżą gimnazjalną.

Kłose wciąż był szefem abstynenckiego „Wyzwolenia”, liderem Związku Obrony Kresów Zachodnich i kilku innych organizacji a przede wszystkim prezesem Zabrzańskiego Koła Związku Powstańców Śląskich na Uchodźctwie. Sztandar organizacji miał honorowe miejsce w jego służbowym mieszkaniu na parterze katowickiego gimnazjum.

Pożegnanie pułkownika

Zmarł na zapalenie płuc – 9 marca 1926 roku. **Kondukt pogrzebowy wyruszył sprzed szkolnej bramy przy ulicy Mickiewicza.** Zamienił się w wielką manifestację patriotyczną. W drodze na cmentarz przy ulicy Francuskiej za trumną zmarłego kroczyły tłumy z przedstawicielami władz wojewódzkich i administracji apostołskiej, związków zawodowych i niepodległościowych. Uroczystość celebrował ks. Anastazy Murza z parafii Mariackiej. Nad grobem pochylały się sztandary kilkunastu stowarzyszeń. Żałobne pieśni śpiewały chóry z Zabrza i Katowic a wtórowały im orkiestry górnicze. Mogiłę przykryły wiązanki kwiatów wśród których wyróżniał się piękny wieniec od Marii Siedleckiej z Krakowa.

P.S. Inspiracją do napisania szkicu są wspomnienia i pamiętki ocalone przez prawnuczkę Floriana Kłose, p. Aleksandrę Mol. Za ich udostępnienie autor składa serdeczne podziękowania!



Wiek X to okres intensywnego rozwoju chrześcijaństwa na terenach Europy zachodniej. Dużą rolę w tym procesie odegrały klasztory, zwłaszcza benedyktyńskie, skupione wokół kongregacji w Cluny. Nie bez powodu jest to też czas recepcji chrześcijaństwa przez kraje „nowej Europy”, czy – jak ją swego czasu określił prof. Jerzy Kłoczowski – „młodszej Europy”, w skład której wchodziła także Polska. Kierunki i etapy rozwoju nowej religii na terenie ziem polskich są ciągle przedmiotem dyskusji. Z punktu widzenia historyka, nasza wiedza o tym procesie w stosunku do obchodów Milenium Chrztu Polski (w 1966 r.) niewiele się zmieniła. Wynika to z braku źródeł pisanych, które by wspominały o tym wydarzeniu. Trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że szanse na odkrycie czy odnalezienie nowych źródeł, jakiejś „metryki chrztu Mieszka”, są znikome, jeśli wręcz nie niemożliwe. Z tego też powodu nie mamy dowodów na żadne poważniejsze akcje chrystianizacyjne na terenie Polski przed połową wieku X. W sukurs może nam przyjść tylko archeologia, a właściwie rozwój techniki, która ta nauka wykorzystuje.

Święty Wojciech – Apostoł Śląska

ANNA POBÓG-LENARTOWICZ

Wszystkie te uwagi odnoszą się także do ziem śląskich. W literaturze możemy się spotkać z opiniami, że dzielnica ta, ze względu na sąsiedztwo z Morawami i Czechami zetknęła się z nową religią o wiele wcześniej niż pozostałe ziemie polskie. Argumentem na to w opinii jest wzmianka zamieszczona w „Legendzie panońskiej”, czyli „Żywocie św. Metodego” o potężnym księciu siedzącym na Wiśle, który „urągał chrześcijanom” i któremu wysłannicy Metodego mieli postawić alternatywę: albo obrzuci się dobrowolnie na swojej ziemi, albo zmuszą go do tego na ziemi cudzej. Relacja ta kończy się słowami: *I tak też się stało*, ale – jak można się domyśleć – nie wiemy, czy chodzi o to, że książę przestał „urągać chrześcijanom” czy, że przyjął chrzest, a jeśli tak – to dobrowolnie czy przymuszony? Ten fragment dał asumpt do twierdzenia, że nie tylko państwo Wiślan, ale również Śląsk znalazł się pod zwierzchnictwem Państwa Wielkomorawskiego, za pośrednictwem którego przyszli na te ziemie pierwsi misjonarze. Z powyższym wnioskowaniem można się zgodzić lub nie, badania archeologiczne – jak do tej pory – nie potwierdzają obecności Wielkich Moraw na Śląsku (nawet tym, który dziś zwiemy Górnym). Nie ulega natomiast wątpliwości, że w połowie X wieku ziemie śląskie znalazły się pod władzą czeskich Przemysławów. W tej sytuacji pojawienie się misjonarzy, zwłaszcza zakonników, na Śląsku wydaje się bardzo prawdopodobne, choć pamiętać trzeba, że aż do 973 Czechy pozbawione były własnej diecezji, a ich interesy reprezentowane były przez Kościół niemiecki (diecezję

w Ratybonie podległą arcybiskupstwu w Moguncji). Prof. Marek Derwich (z Uniwersytetu Wrocławskiego) wysunął swego czasu hipotezę, że to właśnie Śląsk, ze względu na swoje wcześniejsze kontakty z chrześcijaństwem, mógł pełnić rolę stacji misyjnej do chrystianizacji pozostałych ziem polskich. Historyk ten wskazuje tu na Wrocław, jako na miejsce funkcjonowania żeńskiej wspólnoty benedyktyńskiej, powiązanej z konwentem św. Jerzego na praskim Hradzie, skupionej przy kaplicy grodowej na wrocławskim Ostrowie Tumskim.

Mówiąc o II połowie X wieku, nie sposób pominąć osoby biskupa praskiego Wojciecha Sławnikowica. Dyskusja na temat jego obecności na Śląsku szczególnie rozmiar osiągnęła w 1997 r., przy okazji obchodów tysiąclecia jego śmierci. Kult św. Wojciecha obecny był na Górnym Śląsku przez wieki. Szczególnie żywe jego formy widoczne były w takich miejscowościach górnośląskich, jak Opole, Bytom, Mikołów, Radzionków, Miedźna, Jelowa, Żelazna i wielu innych. Trudno w sposób jednoznaczny rozstrzygnąć tę dyskusję na rzecz zwolenników bądź przeciwników obecności przyszłego świętego na naszym terenie. Przeciwno niej przemawia brak potwierdzonych wzmianek źródłowych, za – powszechnienie znana gorliwość Wojciecha w wypełnianiu swych obowiązków jako biskupa Pragi. Trudno też sobie wyobrazić, aby nie pojawił się na Śląsku po zajęciu tej dzielnicy przez Mieszka I w połowie lat osiemdziesiątych X stulecia. Należało bowiem uregulować kwestie funkcjono-

wania Kościoła na tym terenie, tym bardziej w sytuacji, gdy zwierzchność kościelna była różna od przynależności państwowej. Wyniki badań archeologicznych, przeprowadzonych w ostatnim okresie przychodzą w pewnym stopniu w sukurs miejscowym tradycjom. Dotyczy to chociażby Opola, w którym – według średniowiecznej kroniki dominikanów opolskich – Wojciech miał przebywać „około roku 984”. Dzięki archeologom wiemy już, że zajęcie Śląska przez Mieszka I odbyło się w roku 985, a więc zwrot użyty we wspomnianej kronice nadaje opolskiej legendzie znamiona prawdopodobieństwa. Przyjrzyjmy się na moment temu źródłu. Po raz pierwszy powołał się na nie Franz Idzikowski w swej monografii Opola z 1863 roku. Wówczas kronika ta, wraz z innymi dokumentami dominikanów opolskich znajdowała się w Archiwum Prowincjonalnym we Wrocławiu. Niestety, po II wojnie światowej wszelki ślad po nich zaginął. Udało mi się ją ostatnio odtworzyć na podstawie innych źródeł zachowanych w Oddziale Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Wrocławskiego oraz w archiwach czeskich i rzymskich. Warto przywołać interesujący tu nas fragment (w moim swobodnym tłumaczeniu):

Około roku 984 za czasów cesarza Ottona II, Wojciech, niegdyś biskup Pragi, opuściwszy zdradzieckich Czechów, został Apostołem licznych narodów. Węgrów na prawdziwą wiarę katolicką nawrócił i w niej ich utwierdził, Sarmatów, także Słowian i wiele innych w niej utwierdził, dobrze pokierowany przybył na Śląsk, by i tu błędy ich nabyte zwal-



Gotycka XV-wieczna kropielnica w katedrze w Opolu

czać i dzięki Bożej pomocy poprzez głoszenie Słowa Bożego światło wiary do nich zaprowadził, stąd też nazwany został Apostołem Śląska.

Nie pora tu na szczegółową analizę tego przekazu. Kwestią sporną jest chociażby obecność Wojciecha na Węgrzech – brak bowiem na to jednoznacznych dowodów źródłowych. Z drugiej jednak strony – patrząc na kult Wojciecha, jaki rozwinął się później w tym kraju – nie można tego wykluczyć. Rzuca się brak w tym wykazie chrystianizowanych ludów Polaków, chyba, że odnajdziemy ich w grupie „wielu innych Słowian” (bo przecież nie Sarmatów). Z naszego punktu widzenia najważniejsze jest nazwanie Wojciecha Apostołem Śląska. Nie znajdziemy takiego określenia w żadnym innym źródle „Wojciechowym”, ba, nigdzie nie mamy nawet potwierdzenia, że w ogóle był na Śląsku. Istotne jest też wyodrębnienie Śląska jako niezależnego terytorium (Węgry – Słowianie – Śląsk). Tu dotykamy jakże ważnego zagadnienia dotyczącego czasu powstania legendy i samej kroniki. W świetle obecnego stanu wiedzy na ten temat należy stwierdzić, że kronika jest tworem piętnasto-

wiecznym. Powstała w klasztorze dominikanów w Opolu, ale przypuszczalnie z inspiracji księcia opolskiego i biskupa wielu diecezji Jana Kropidły. Biskup Jan, jako książę opolski stacjonował na Zamku Górnym tuż obok klasztoru ojców dominikanów. W ich kościele kazał się zresztą pochować, jako jedyny z Piastów opolskich. Pełnił szereg godności kościelnych, był między innymi biskupem poznańskim i nominatem na arcybiskupstwo gnieźnieńskie. Kult św. Wojciecha rozwijający się głównie w Wielkopolsce nie był mu obcy. Mam tu na myśli nie tylko Gniezno, ale także chociażby Trzemeszno, w którym funkcjonowała podobna do opolskiej tradycja o pobycie Wojciecha, z tą wszakże różnicą, że zakonnicy trzemeszeńscy szczylicili się posiadaniem relikwii świętego (nie wiemy, czy autentycznych). Za sprawą księcia – biskupa Kropidły doszło do interesującego połączenia dwóch zjawisk społeczno-kulturowych: kultu świętego Wojciecha i poczucia śląskiej tożsamości. Pamiętać bowiem trzeba, że Śląsk za czasów biskupa Kropidły już od prawie stu lat znajdował się w granicach państwa czeskiego. Połączeniu tych dwóch zjawisk z pewno-

ścią sprzyjało wezwanie Kościoła dominikańskiego – właśnie św. Wojciecha. Inna sprawa, że wezwanie to, po raz pierwszy wspomniane w 1295 r., z biegiem kolejnych lat, ustąpiło pierwszeństwa Najświętszej Marii Pannie, św. Jerzemu, św. Annie, czy św. Dominikowi. Dopiero od momentu spisania kroniki, opolscy dominikanie zaczęli starania o uczynienie z biskupa Pragi patrona miasta, co im się zresztą wkrótce udało.

Źródło to pokazuje też sposoby prowadzenia chrystianizacji przez Wojciecha, typowe dla niego samego, jak i dla epoki, w której żył. Prowadził swoją misję na tzw. Górcie, niewielkim wzniesieniu do dziś funkcjonującym w centrum Opolu. Tego typu „górci”, jako miejsca akcji ewangelizacyjnej spotykamy w tradycji wielu miast polskich (choćby w Gdańsku, także przy udziale Wojciecha). Umożliwiały one dobrą słyszalność i widoczność misjonarzy, wokół nich mogła się też zebrać spora grupa osób, nie stwarzając zagrożenia dla funkcjonującego nieopodal grodu. Innym atrybutem ewangelizacyjnej misji Wojciecha była studnia. W przypadku Opolu, cudowne źródło wytrysnęło wówczas, gdy świętemu zabrakło wody do udzielenia chrztu wielu nawróconym. Powstała w tym miejscu studnia funkcjonowała w mieście aż do czasów I wojny światowej. Wojciechowce studnie powstawały w tym czasie w wielu miejscach w Europie, zwłaszcza tam, gdzie żywy był kult biskupa Pragi. Najśłynniejszą jest studnia z kościoła św. Wojciecha (obecnie św. Bartłomieja) na Wyspie Tyberiadzkiej w Rzymie. Trzecim trwałym efektem obecności Wojciecha w Opolu (i nie tylko) jest postawienie kościółka (kaplicy) ku czci NMP. W tego typu przekazach trudno doszukiwać się znamion irracjonalności, wydaje się, że w taki sposób odbywać się większość akcji chrystianizacyjnych w tym okresie. Tradycja opolska ma jeszcze jeden ciekawy element, jakim jest mianowicie odcisk stóp świętego, powstały na kamieniu w efekcie żarliwie głoszonych kazań. Kamień ten, przez wieki znajdujący się w katedrze wrocławskiej, obecnie zdeponowany jest w Muzeum Archidiecezjalnym we Wrocławiu. Podobna legenda związana z odciskiem stóp funkcjonowała też w Trzemesznie, nie można więc wykluczyć jej wielkopolskiego rodowodu. Łącznikiem tradycji mógł być w tym przypadku wspomniany biskup Jan Kropidło lub poznańscy dominikanie znajdujący się w jego otoczeniu.

Nieprzypadkowo wspominam tu o dominikanach, bowiem odegrali oni niepoślednią rolę w rozwoju Kościoła na Śląsku. Oczywiście, jako zakon, którego początki sięgają drugiej dekady XIII wieku, nie miał on wpływu na postępy chrystianizacji na ziemiach polskich w pierwszym okresie ewangelizacji. Z drugiej jednak strony, wiemy,

jak dużą rolę odegrali dominikanie w chrystianizacji Litwy i Rusi w XIV i XV wieku. Śląsk w XIII stuleciu mógł poszczycić się największą liczbą fundacji dominikańskich w Polsce. Tylko za sprawą księcia Władysława I Opolskiego powstały wspólnoty braci kaznodziejów w Raciborzu, Cieszynie i Oświęcimie. Nie dziwi więc, że to właśnie z (Górnym) Śląskiem związani są wybitni dominikanie tego okresu.

Mam tu na myśli zwłaszcza Wincentego z Kielczy i Peregryna z Opola. Pierwszy z nich pochodził z niewielkiej miejscowości Kielcza koło Strzelca Opolskich.

Do niedawna przypuszczano, że pochodził z Kielc, bo jakoś nie chciano dać wiary, że tak wybitna postać mogła urodzić się w jakiejś śląskiej wsi. Wincenty, związany z rodem Odrowążów (być może nawet rodzinnie) kształcił się w krakowskiej szkole katedralnej pod okiem Mistrza Wincentego Kadłubka. Potem swoją karierę rozpoczął u boku kolejnego biskupa krakowskiego, jednego z wybitniejszych intelektualistów tego czasu w Polsce, Iwona Odrowąży, wielkiego propagatora zakonu św. Dominika. Po wstąpieniu do klasztoru dominikanów, Wincenty powrócił na Śląsk, gdzie został przeorem tworzącej się wspólnoty ojców kaznodziejów w Raciborzu. Pozostawił po sobie wiele niezwykłych dzieł, z których na pierwsze miejsce wysuwają się oba „Żywoty św. Stanisława” (tzw. mniejszy i większy), kreujące – jak to określił swego czasu Gerard Labuda – nową wizję historii Polski. To one dały ideologiczną podstawę do zjednoczenia państwa polskiego. Na potrzeby uroczystości kanonizacyjnych św. Stanisława, które miały miejsce w Krakowie 8 maja 1253 r. Wincenty z Kielczy skomponował i napisał specjalną sekwencję ku czci świętego, z których najbardziej znany jest hymn *Gaude Mater Polonia*. Według wspomnianego tu już G. Labudy, Wincenty z Kielczy był autorem zaginionej kroniki dominikańskiej, w której znalazło się pierwsze zdanie zapisane w języku polskim – chodzi tu o słynne słowa, wypowiedziane tuż przed śmiercią przez Henryka Pobożnego na polach legnickich: *Gorze nam się stało!* Wincentemu przypisuje się także autorstwo nowego Rocznika kapitulnego krakowskiego.

Drugim, niemniej znanym dominikaninem, wywodzącym się z (Górnego) Śląska był Peregryn z Opola, autor popularnych kazań (*de tempore et de sanctis*), które do dziś możemy znaleźć w bibliotekach niemal całej Europy. Tworzył je u schyłku XIII wieku w klasztorze w Raciborzu. Był także przeorem klasztoru dominikanów w Raciborzu oraz dwukrotnie prowincjałem polskiej prowincji dominikanów. Był też pierwszym inkwizytorem mianowanym dla ziem polskich.

Widzimy więc, że chrześcijaństwo na Śląsku ma swoją długą metrykę, możliwie, że dłuższą niż ziemie środkowej, północ-



Studnia św. Wojciecha na dziedzińcu Collegium Maius Uniwersytetu Opolskiego

nej i północno-wschodniej Polski. Z powodu braku źródeł pisanych, nie możemy, niestety, prześledzić etapów chrystianizacji tych ziem. Późniejsza, aczkolwiek sięgająca jeszcze czasów średniowiecza, tradycja, wskazuje na św. Wojciecha jako na faktycznego Apostoła Śląska. Trzeba tu wyraźnie stwierdzić, że bez względu na to, czy Wojciech rzeczywiście był na Śląsku, ważna jest jego obecność przez następne stulecia, poprzez kult, który w wielu miejscowościach śląskich był i jest obecny do dnia dzisiejszego. Mówiąc o dziejach Śląska nie można pominąć też roli Kościoła na tych terenach, zwłaszcza od momentu utworzenia diecezji wrocławskiej w 1000 roku (na zjeździe gnieźnieńskim). Ziemia ta, tylko w wiekach średnich wydała wielu znaczących „ludzi Kościoła”, w tym takich świętych, jak Jadwiga, Jacek, Czesław, Bronisława, czy wybitnych twórców, jak

wspomniani powyżej Wincenty z Kielczy i Peregryn z Opola. I jest to dziedzictwo, do którego zwłaszcza dzisiaj, przy okazji jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski, powinniśmy się odwoływać.

Anna Pobóg- Lenartowicz – absolwentka historii Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 1990 r. związana z Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Opolu/ Uniwersytetem Opolskim. Autorka bądź redaktorka 22 książek oraz ponad 200 artykułów naukowych i popularnonaukowych. Specjalizuje się w badaniach nad dziejami Kościoła (w tym zwłaszcza zakonów: kanoników regularnych, dominikanów, cystersów), historią Śląska (zwłaszcza księstwa opolsko-raciborskiego) i piśmiennictwem średniowiecznym.



Beno Budar czyta wiersze w ogrodzie Jurija Brězana (Święto Poezji Łużyckiej, Horny Hajnk, VIII 2008).

Beno Budar – poeta Serbołużyczan, świadek tragedii i piewca nadziei słowiańskiego narodu

JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIK

Beno Budar – pisarz serbołużycki, poeta, redaktor, tłumacz, przyjaciel Polski i Polaków, szczególnie ceniony i popularny na Łużycach obchodził jubileusz 70-lecia urodzin.

Przyszedł na świat 19 marca 1946 r. w miejscowości Kulow (niem. Wittichenau, powiat Hoyerswerda, Saksonia).

Po ukończeniu slawistyki na uniwersytecie w Lipsku oraz studiach w Rostowie nad Donem, rozpoczął pracę w 1969 r. jako lektor w Wydawnictwie Domowina w Budziszynie. Jednocześnie pod koniec lat 80. kon-

tynuował studia w Instytucie Literatury w Lipsku. Redagował łużyckie czasopismo dla dzieci „Płomjo” (Płomyk), od 1990 r. był jego redaktorem naczelnym. Należy do Związku Artystów Serbołużyckich, prowadzi również koło literackie w Różancie, (niem. Rosenthal) – miejscowości pielgrzymkowej związanej z kultem maryjnym, zwanej często łużycką Częstochową. Debiutował tomem poetyckim „Mikus a Dajkus” w 1978 r., w dorobku twórczym autora znajduje się ponad dwadzieścia pozycji książkowych (poezja, proza, sztuki teatralne, a także scenariusze filmów dokumentalnych i słuchowisk radiowych).

Znaczącą część twórczości literackiej serbołużyckiego pisarza stanowią utwory dla dzieci i młodzieży. Jego wiersze i opowiadania opublikowano w licznych antologiach i czasopiśmie literackich: niemieckich, polskich, czeskich, słowackich, serbskich, ukraińskich i rosyjskich. Poeta jest również autorem tekstów wielu piosenek i szlagierów serbołużyckich z repertuaru Měrćina Weclicha, znanego łużyckiego kompozytora, aranżera i wokalisty. Beno Budar przekładał prozę, poezję, sztuki teatralne z języków słowiańskich (także z polskiego) i niemieckiego na język górnołużycki, m.in. utwory Tołstoja, Jesienina, Ajmatowa.

W 2013 r. otrzymał prestiżową nagrodę artystyczną Myto Čišinskeho, przyznawaną w Saksonii czołowym przedstawicielom kultury serbołużyckiej dla upamiętnienia wybitnego poety, pisarza i dramaturga tworzącego w języku górnołużyckim, teoretyka literatury i kultury serbołużyckiej – Jakuba Barta-Čišinskiego (1856-1909). Beno Budar mieszka w niewielkiej miejscowości Horny Hajnk koło Różantu (powiat Budziszyn), a jego dom znajduje się nieopodal domu Jurija Brězana (1916-2006), jednego z najważniejszych pisarzy łużyckich XX wieku, którego utwory publikowano w przekładach na 25 języków. Budar stworzył prywatną izbę pamięci literatury serbołużyckiej, gdzie zgromadził m. in. książki, fotografie, płyty fonograficzne, obrazy, listy, dokumentujące życie literackie Serbołużyczan, stanowiących fenomen kulturowy współczesnej Europy. Opoką tego niewielkiego i zarazem wyjątkowego narodu słowiańskiego, który przetrwał wieki bez własnej państwowości są twórcy kultury, podtrzymujący tożsamość narodową i tworzący jej współczesne oblicze: atrakcyjne, przyciągające zainteresowanie międzynarodowych kręgów naukowych

i środowisk twórczych m. in. z Polski, Czech, Rosji, Słowacji, Ukrainy, Serbii. Beno Budar od czterech dekad daje świadectwo losów swojego narodu, sięgając w lirycie i prozie do rozległych inspiracji i tematów, poczynawszy od meandrów łużyckiego średniowiecza, poprzez tragiczne wydarzenia II wojny światowej, kończąc na współczesnych przemianach społeczno-politycznych, zagrażających zachowaniu tożsamości narodowej Serbołużyczan. Wydarzeniem na rynku wydawniczym było ukazanie się książki Beno Budara „Tež ja mějach zbožo” (2005), zawierającej wspomnienia czterdziestu Łużyczan, zmuszonych do służby w Wehrmachcie, tematykę tę kontynuował w kolejnej publikacji „Und immer diese Angst” (2014), przywołującej wspomnienia serbołużyckich kobiet z czasów II wojny światowej.

Poeta w wierszu „Pijana Śmierć” przywołał wydarzenia związane ze śmiercią Jana Skali – serbołużyckiego działacza narodowego, poety i publicysty upominającego się o prawa mniejszości narodowych, który zginął w styczniu 1945 r. we wsi Diedzice koło Namysłowa. Autor tego utworu staje się narratorem tragicznych wydarzeń, niczym przodownik chóru w antycznej greckiej tragedii, w której ludzie zostają uwikłani w sytuacje bez wyjścia, gdzie nieodwracalne wyroki losu stają się ich przeznaczeniem. Wiersz Budara jest protestem przeciw przemocy i okrucieństwu wojny; pijany żołnierz sprawca śmierci Jana Skali staje się tylko ślepy

rzędziem zbrodni, za którą tak naprawdę odpowiedzialni są totalitarni siewcy zła, system hitlerowski, stalinowski, wszyscy dyktatorzy, zaślepieni fanatycy, ideolodzy okrutnych wojen, na których giną zwykli ludzie. Przesłanie „Pijanej Śmierci”, pomimo że nawiązuje do traumy II wojny światowej wciąż jest aktualne w niespokojnym współczesnym świecie pogrążonym w konfliktach wojennych i przemocy.

Beno Budar w swojej twórczości stale daje świadectwo umiłowania Łużyc i ojczystego języka, odwołując się do dziedzictwa swoich wielkich poprzedników (Zejler – Kosyk – Cišin-ski), ale także przejawia głęboką troskę o przyszłość Serbołużyczan, którym w wierszach: „Nasz skrawek ziemi” i „Do przyszłości wołający” zadaje trudne pytania dotyczące ich biernych postaw wobec zagrożeń tożsamości narodowej. Poeta nie jest skupiony tylko na przestrzeni tożsamościowej i regionalnej, m.in. w wierszach „Rzeka czasu” i „Koniec ziemi” sięga do tematyki uniwersalnej związanej z egzystencją współczesnego człowieka, poruszając problemy przemijania, środowiska naturalnego, utraty podstawowych wartości naszego kręgu kulturowego, dlatego twórczość poety z Hornego Hajnku choć osadzona mocno w łużyckim mikrokosmosie, ma wymiar uniwersalny, europejski i z takiej perspektywy możemy dokonać jej pełnego oglądu. Warto podkreślić, że Beno Budar jest ambasadorem Serbołużyczan, uczestnicząc w wielu międzynarodowych festiwalach arty-

stycznych, konferencjach popularno-naukowych, m.in. w Brzegu, Opolu, Warszawie, Krakowie, Poznaniu, gdzie walory artystyczne jego utworów i piękno języka górnołużyckiego wzbudzają żywe zainteresowanie słuchaczy i krytyki literackiej.

Długoletnie więzi przyjaźni łączą Poetę z polskimi twórcami, uczestnikami Międzynarodowego Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu, dlatego w ich imieniu oraz własnym, składam Jubilatowi najserdeczniejsze życzenia jeszcze wielu lat spełnionych w służbie małego narodu, który jak mała słowiańska wyspa otoczona falami germańskiego oceanu wciąż trwa na przestrzeni dziejów, dzięki tym, którzy tak jak Beno Budar strzegą górnołużyckiej mowy i dają schronienie Mohikanom współczesnej Europy w mateczniku ojczystej kultury.

Ad multos annos drogi Beno!

BENO BUDAR

DO PRZYSZŁOŚCI WOŁAJĄCY

Serbołużyczanie,
cóż to my czynimy,
że tak oto giniemy
spokojnie, bez miecza,
zupełnie cicho, od wnętrza,
z goryczą i z uśmiechem,
bez poczucia wstydu
albo tylko ze zwykłej głupoty –
„Wszak nas jeszcze dosyć jest!”
Za murami, za pięknymi płotami
wielu bujnych wiosek,
wśród bawiących się dzieci
jeszcze słyhać ginącą mowę.

O Serbołużyczanie,
a cóż to my czynimy
po przejściu huraganu dziejów
że czynimy tak niewiele
dla szczęścia przyszłości naszej?

Przekład z górnołużyckiego:
Janusz Ireneusz Wójcik

Foto: Benedikt Dyrlich



B. Budar i J. Wójcik przed grobem Jakuba Barta-Cišińskiego przy kościele w Wotrowie – Łużyce (Święto Poezji Łużyckiej, VI 2006).

NASZ SKRAWEK ZIEMI *

Nie jesteście zahartowani
jak Eskimosi.
Nie jesteście pięknie hebanowi
jak Afrykanie.
Nie mamy światowego języka
jak Anglicy.
Nie jesteście bogaci w ropę
jak Kuwejtczyzy.
Nie mamy wielkich gór
jak Austriacy...

A jednak mamy skrawek pięknej ziemi
a w niej swoje korzenie.

Tu ojcowizna nasza,
opoka i schronienie,
tu rośnie nasz chleb,
tu mogiła dziadków.

Tu mamy nasz język prastary
a w nim pieśni nasze,
pobożne i radosne.
Tu nasi przodkowie,
na nas spoglądają...
Jesteśmy rodziną tak niewielką
że przez tysiąclecie
nie byliśmy przyczyną
ani jednej wojny!

Czyśmy tak całkiem bez grzechu...
kiedy woda wysycha
z naszego źródła?

** Serbołużyczanie – najmniejszy słowiański naród,
zamieszkujący na Górnych i Dolnych Łużycach
w granicach Saksonii i Brandenburgii, pierwsze źródła
pisane o nich pochodzą z VII wieku*

KONIEC ZIEMI

Zawiść – nienawiść – wojna
w małym i wielkim
o ziemię o wodę
o chleb o wiarę
bijatyka na ziemi wszędzie
narody przeciw narodom
ludzie przeciw ludziom

na końcu i tak wszystko spali
słońce brzemienne
od lawy i popiołów
co żywe martwe będzie
a przecież pokój jest wszędzie
dopóki się nie rozpocznie
w ulotnym oblędzie
wszystko od nowa
gdzieś i kiedyś....

RZKA CZASU W SWOIM POŻĄDANIU

Rzeka czasu w swoim pożądaniu
zabiera wszystko ze sobą,
topi narody, królów i ziemie wszelakie.
A jeśli coś jeszcze ocaleje,
w dźwiękach, wierszach, sentencjach,
to i tak rzeka czasu to pożre
w swoich żądzach, przeznaczeniach.

MOST POKOJU *

Nie daje żadnego pokoju
każdego roku zaś
znowu przeraża nas
kiedy skacze zeń człowiek
strapiony na duszy
by zaznać ukojenia
na dole przepaści
pod Mostem Pokoju

** Most Pokoju w Budziszynie – największy most kamienny w Saksonii, przyciąga wielu samobójców z różnych stron Niemiec.*

PIJANA ŚMIERĆ

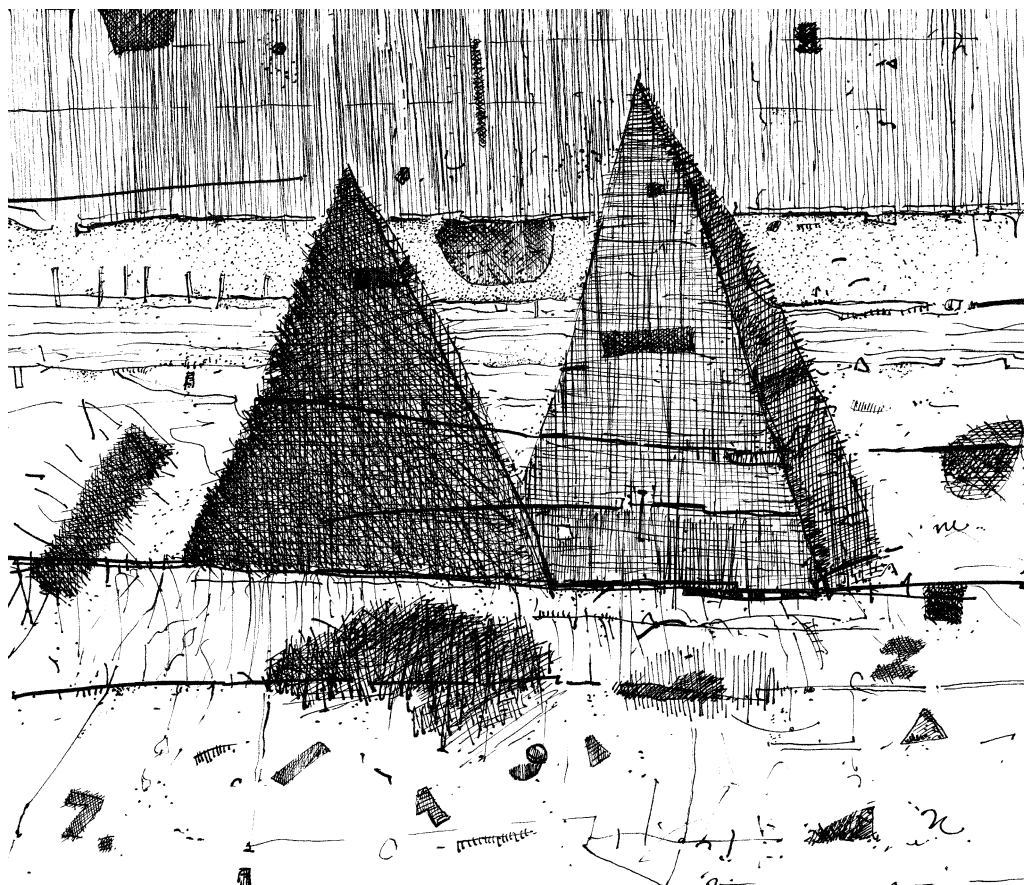
(wspomnienie śmierci Jana Skali 22.01.1945 r.)

Namysłów. Zaciekle walki o kolejowy dworzec.
Żołnierze Wehrmachtu uciekają na zachód.
Wieś Dziedzice opuścili gospodarze,
pozostało tutaj tylko kilku Polaków
i Jan Skala ze swoją rodziną.
Cieszą się z nadejścia wyzwolicieli
ale wśród nich tańczy pijana Śmierć.
Nikt kostuchy nie rozpoznaje
w mundurze Czerwonoarmisty,
kiedy wpada nagle do izby,
wymachując maszynowym pistoletem.
Strzela serią do kuchennej szafy,
krzyczy, wrzeszczy, wyszczerzając kły:
*„Wszyscy won! Przed drzwiami!
Teraz rozstrzelam faszystów!”*
Jan Skala z żoną i dwiema córkami,
stoją przed domem:
jedna z nich trzyma na rękach
wnuczka Piotrusia.
Drżą. Śmierć jest już bardzo blisko,
nadchodzi upiorna chwila.

Wewnętrzny głos
podpowiada Poecie
wychodzącemu z szeregu:
– to nie jest Śmierć w mundur ubrana,
to jest tylko okaleczony człowiek,
pijany z zemsty i z nienawiści.
Dlatego po rosyjsku
przemawia do jego sumienia,
powoli, ostrożnie, ściszym głosem,
opanowując nerwy jakby rozbrajał bojowy granat.

Czerwonoarmista zapłakał,
pod jego czaszką przelatują błyskawice,
strzela dookoła, wściekły, szalony,
kule lecą na oślep i jedna z nich trafia do celu.

Pijana Śmierć zataczając się odchodzi bez słowa.
Rozlega się płacz. Na zamarzniętej ziemi
Jan Skala – wydaje ostatnie tchnienie.



Rys. Adam Dutkiewicz

W pliku „Moje dokumenty” zachowałem...

Foto: Jan Młociński



Felix Netz (1942-2015) w swoim gabinecie

Zdania i uwagi

FELIKS NETZ

W pliku „Moje dokumenty” zachowałem krótki list, jaki w marcu 1999 roku wysłałem do naczelnego redaktora spółdzielni wydawniczej CZYTELNIK, pana Henryka Chłystowskiego, zaczynający się od słów:

Jest taki pisarz węgierski, który nazywa się Sándor Márai. Jego powieść pt. A gyertyák csonkig égnek (co znaczy: „Świecie palą się do ogarka”) odniosła wielki sukces we Włoszech: 300 000 egzemplarzy sprzedanych w ciągu kilku tygodni! Wydawnictwo ADELPHI zapowiada inne dzieła węgierskiego pisarza. We Włoszech (powtarzam za prasą węgierską) mówi się o wielkim odkryciu, o zwycięstwie po śmierci, o klejnocie literackim tej rangi co Musil i Roth!

Przetłumaczyłem tę powieść, świadom, że nawet najgorętsze zachwyty włoskich recenzentów, już nie mówiąc o moim entuzjazmie dla tej książki, nie zastąpią Panu bezpośredniego kontaktu z tekstem.

Jeszcze kilka zdań w tym duchu... Na co liczyłem? Trzy wydawnictwa, do których zwracałem się z podobnym apelem, nie zainteresowały się powieścią węgierskiego autora. „Kto dzisiaj kupi

Węgra?” – odpowiedział jeden z wydawców, co znaczyło tylko to: „Dajże mi pan święty spokój!” Trzy lata podobnych doświadczeń. W gruncie rzeczy, ja nawet rozumiałem tych panów – rok był 1997 i dwa następne. Księgarnie zarzucone kolorowymi tomami z Zachodu, z Amery-

Jestem pewien, że Márai i Herling Grudziński mieliby sobie wiele do powiedzenia, o upiorach rewolucji, o Europie, która utraciła styl, czyli duszę, o tzw. pożytecznych idiotach, ale i Conradzie, którego Márai niezmiernie cenił, znajdując w nim owo wysokie napięcie etyczne, które jest przecież znakiem szczególnym autora *Wyznań patrycjusza*. Los ich nie zetknął.

ki. A ja wyskakuję, niczym Filip z Kopenii, z literaturą węgierską... A przecie znalazłem te pełne gorczy słowa Sándora Máraiego zapisane w tomie *Ami a naplóból kimaradt* (Niewłażone do Dziennika):

„Los literatury węgierskiej jest tragiczny. Świat coś tam słyszał o kilku eksportowych pisarzach; zna też jedno, czy dwa nazwiska klasyków – Petőfięgo, Jókaięgo, ale tylko nazwiska, nie ich dzie-

ła! – a o pokoleniu Aranya, następnie o pokoleniu Nyugatu – głuche milczenie w światowej literaturze. Owego losu nie można tłumaczyć jedynie zagadkowością naszego języka. Po norwesku mówią trzy miliony ludzi, a cały świat zna nazwiska Knuta Hamsuna i Henryka Ibsena; flamandzki też nie jest językiem światowym, a przecież Verhaeren jest poetą całego kulturalnego świata; i nie można wszystkiego tłumaczyć tym, iż nie mamy tłumaczy. Czasem trafiali się tłumacze, którzy tłumaczyli na niemiecki, francuski, angielski znaczące dzieła naszych nowożytnych pisarzy, a jednak literatura węgierska nie „wydarzyła się” w świecie. Myślę, że językowa samotność, brak odpowiedniej rangi tłumaczy, wszystko to nie tłumaczy owego tragicznego fatum. Jest natomiast wielce prawdopodobne, że literatura węgierska jakoś tam, w czymś „nie kontaktuje z literaturą światową”. Wychowano nas na modłę zachodnią, zachodni duch był najszlachetniejszą inspiracją dla naszych talentów, ale dzieło, ale ta cudowna, bogata węgierska literatura pozostała samotna nie tylko w języku, także w głębi swojego ducha, nie zaiskrzyła w zetknięciu ze światem. Dlaczego? I tu wyczuwam coś naprawdę fatalistycznego, ta samotność nieomal podnieca, jak wszelkie fatum.”

Tym razem zaiskrzyło! Poważny głos rekomendujący książkę nieznanego świata, ale co tam światu! – przecież i Węgrom, poza, naturalnie, wąskim gronem badaczy literatury – przyszedł z Neapolu. Dziwne, zaiste, bywają losy książek i ludzi... Gustaw Herling Grudziński zabrał głos w sprawie węgierskiego pisarza z miasta, w którym dobrych parę lat przemieszkał, a właściwie przeżył Sándor Márai. Polski pisarz, młodszy o pokolenie, był w jakiś sposób podobny do owego Węgra, który Polski raczej nie znał, aczkolwiek pewne polonice są w jego dziele obecne, lecz podobieństwa dotyczą postawy obu wielkich emigrantów, baczących, mądrych, wiele wiedzących obserwato-

z żoną zamieszkał m.in. w Neapolu, na Posillipo, blisko mnie, ale na rok przed moim osiedleniem się w Neapolu, a po latach wybrał Salerno, koło Dragonei, też przed moim dragonejskim panowaniem”. Jakby kapryśny los nie chciał spotkania tych dwóch wygnanców: Polaka i Węgra. Węgier odwiedził Benedetto Crocego na rok przed śmiercią „księcia niezłomnego”, odbył z włoskim filozofem długą, zasadniczą rozmowę (w języku francuskim, zanotował Márai), Gustaw Herling Grudziński uczynił go bohaterem słynnego opowiadania, a jego córkę, Lidie, pojął za żonę. Ten związek był nie mniej trwały od związku małżeńskiego Máraiego z Lolą Matzner! Jestem pewien, że Márai i Herling Grudziński mieliby sobie wiele do powiedzenia, o upiorach rewolucji, o Europie, która utraciła styl, czyli duszę, o tzw. pożytecznych idiotach, ale i Conradzie, którego Márai niezmiernie cenił, znajdując w nim owo wysokie napięcie etyczne, które jest przecież znakiem szczególnym autora *Wyznań patrycjusza*. Los ich nie zetknął. Nie zetknął także Máraiego, choć mógł, z Janem Lechoniem, Kazimierzem Wierzyńskim i Józefem Wittlinem, z którymi pewnie mijał się w korytarzu prowadzącym do studia Radia Wolna Europa w Nowym Jorku. Audycja w języku węgierskim następowała bezpośrednio po audycji w języku polskim. Sándor Márai zasiadał przed mikrofonem, do którego przed kwadransem mówili trzej polscy poeci, zielone sukno, na którym ów wysoki, lecz już nieco przygarbiony Węgier, położył kartki z cotygodniowym felietonem-komentarzem, jeszcze było ciepło od dotyku rąk trzech Polaków, z których dwóch: Wittlin i Wierzyński, spędzili dzieciństwo i młodość oraz zdążyli być poddanyami tego samego cesarza, bo żyli w tym samym imperium, rozległym, rozciągającym się od Triestu do Szepietówki. Ale i z Lechoniem niejedno go łączy! Są takie zdania i uwagi w dziennikach Máraiego, które – zastąpiwszy Węgry Rákosięgo Polską Bierutą – można by znaleźć w *Dzienniku* Jana Lechonia: „Węgier (czytaj: Polski) już nie ma. Jest tylko sowiecka kolonia. Nie ma też literatury węgierskiej (czytaj: polskiej). Są tylko rękopisy, tu i tam, w szufladach, w kraju i zagranicą. Nie ma także węgierskiego (czytaj: polskiego) czytelnika. Nie ma już nic.”

Jestem pewien, że kilka zdań autora „Innego świata” pomogło nieznanemu Węgrowi spotkać się z polskim czytelnikiem. „*Powieść* (Zar – FN) *jest rzeczywiście fascynująca, doradzam ją gorąco wydawcom polskim, jeżeli już wychodzą powoli z zacczadzenia pornograficzno-kryminalnego. Znakomity istotnie pisarz i tragiczna postać. Rożarzone węgle (ja bym jeszcze dodał w popiele, skoro popiół jest w powieści ważniejszy od dogasających już węgli) są niezrównanym użyciem formy monolo-*

gu, popisem wirtuozerii narracyjnej” Trzebaż więcej? I to po tej jednej, liczącej 110 stron powieści? A jednak jest jeszcze kilka słów: „*Kiedy dobiorą się do niego na serio wydawcy (góry rękopisów!) stanie się pośmiertnie sławny.*”

Autor *Księcia Niezłomnego* zapowiedział „nadejście ery Máraiego”!

Czy to proroctwo się spełniło? Sądzę, że spełnia się przez całą minioną dekadę. Krytycy nie kryli obaw, że ta jedna powieść może być dziełem wyjątkowym w dorobku węgierskiego autora. Co w niej urzekało? Intensywność, z jaką Márai wywoływał z ciemności świat Austro-Węgier, opowiadając językiem oszczędnym, lecz precyzyjnym historię męskiej przyjaźni (nie bez podtekstu homoerotycznego) złamaną przez pojawienie się kobiety, która zdewastowała życie przyjaciół nic szczególnego nie robiąc; po prostu będąc tam, gdzie oni. W tle tej cienkiej powieści, wypowiedzianej nieomal jednym tchem, obecna jest nostalgia za światem, w którym każdy człowiek znał swoje miejsce, i każdy czuł, że respektując ten ład, staje się jego beneficjentem. Nie ma w tej powieści grozy

komentu o polskim stanie mieszczańskim. Márai opowiedział z czułością, ale i z dystansem, dbając o szczegół, ale i o to, by rzecz unosiła się parę centymetrów nad ziemią. Zofia Chądzyńska, wyrafinowany kiper nowatorskiej prozy, nie kryła zachwytu: właśnie *Wyznania patrycjusza* uznała za najlepszą książkę, jaką przeczytała w ostatniej dekadzie! Zapamiętałem te słowa, wypowiedziane w bodaj ostatnim już wywiadzie wybitnej tłumaczki dzieł Julio Cortazara, pomyślałem: ta opinia jest nie do przecenienia. W tym czasie ukazał się zbiór „mądrościowych” miniatur Máraiego pt. *Księga ziół* (znam takich, którzy twierdzą, że gdyby poznali tę książkę wcześniej, byłiby dziś lepszymi ludźmi; sam do nich należę), złożyłem w CZYTELNIKU przekład powieści *Występ gościnnie w Bolzano*, i w napięciu śledziłem losy dzieła Máraiego w Polsce. Pytany przez węgierskich przyjaciół, wciąż nie miałem dla nich jednoznacznej odpowiedzi. Przyszła do mnie w dzień sylwestrowy roku 2004. W *Gazecie Świątecznej*, podpisana przez Adama Zagajewskiego. Obszerny tekst (rezultat lektury

...bo europejskość, tożsamość europejska, podziw dla jej kultury i wzgarda dla jej rozlicznych ograniczeń – to jest klucz do dzieła Sándora Máraiego.

toczącej się w Europie morderczej wojny, lecz wydaje się, że powstała z bezsilnego sprzeciwu wobec dziejącego się zła i okrucieństwa. Czterdziestoletni pisarz zatęsknił za światem, przeciwko któremu się zbuntował blisko ćwierć wieku temu, czemu dał świadectwo w powieści *Zbuntowani*.

Ta powieść jest już dostępną po polsku, a za nią pojawiają się dalsze pozycje cyklu *Dzieło Garenów*, o którym da się powiedzieć, że są węgierskimi *Buddenbrokami*, ale napisanymi przez patrycjusza, który na co dzień nie rozstawał się z dziełem Marcellego Prousta *W Poszukiwaniu straconego czasu*. Jednak Żar – co, jako tłumacz tej książki śledziłem szczególnie uważnie – nie zdobył polskiego czytelnika tak, jak stało się to we Włoszech i w Niemczech, wstępnym bojem. Krytycy byli ostrożni: dobre to, ale – usłyszałem z jednych ust – to już bardzo passé.

Dwie książki, całkowicie różne od Żaru, przekonały najbardziej nawet nieprzekonanych: autobiografia nazwana przez autora ze względów prawnych *powieścią* (przed wojną Márai przegrał proces o naruszenie dóbr osobistych i zapłacił bardzo wysoką karę), pt. *Wyznania patrycjusza* (w oryginale jest po prostu *mieszczanin*) oraz *Dziennik* (dobry wybór z pięciu tomów). Powieść autobiograficzna wypełniła istotną lukę w naszej literaturze: okazało się, że nie mamy tej rangi artystycznego do-

Dziennika) opatrzony był jednoznaczny tytułem: *Nowy klasyk!* Wybitny polski poeta napisał:

„*Była to dla mnie jedna z najważniejszych książek roku. Z pewnością trzeba będzie zapamiętać to nazwisko.*”

Ta piękna książka jest wyznaniem, historią Europy Środkowej i historią wielkiej miłości, wreszcie opisem umierania. A jednak jest to wielka książka o życiu – spełniającym się w myśleniu, twórczości, w miłości i podróżach.”

Było tam jeszcze o przywileju bycia Europejczykiem. To zdanie poruszyło mnie najmocniej: bo europejskość, tożsamość europejska, podziw dla jej kultury i wzgarda dla jej rozlicznych ograniczeń – to jest klucz do dzieła Sándora Máraiego.

W zimowy przedwieczerek wyszedłem, jak co dzień, z psem do lasu. Przez rzadkie ogołocone drzewa rysowały się kopalniane szyby. Byłem u siebie, a równocześnie w rodzinnym mieście Máraiego, które dla niego miało jedną tylko nazwę: Kassa, i w Budapeszcie, na ulicy Mikó, i na Posillipo wśród najuboższych spośród ubogich, i wreszcie w san Diego, skąd moja siostra przysłała mi fotografię domu, w którym Sándor Márai dożywał ostatnich starych lat z Lolą, i gdzie w kilka miesięcy po jej śmierci, odebrał sobie życie. Pomyślałem wtedy: udało się! Márai jest w Polsce.

ROBERT

Opowiadanie

RADOSŁAW KOBIERSKI

Czy mówi coś panu nazwisko Lustyg?

Może zadał to pytanie zbyt głośno, źle obliczył poziom degradacji słuchu starego sprzedawcy albo wartość hałasu miasta, które budziło się za jego plecami. Mężczyzna nie wyglądał na takiego, który jest w stanie poświęcić wygodę, komfort oglądania TV LED w przestronnym pokoju i wykroić z metrażu własnego mieszkania pomieszczenie na sklep, byle tylko poczuć się jeszcze użytecznym. Społecznie aktywnym, co jest ważne w małych wspólnotach. Nie miał tyle sił, żeby o to walczyć. To nie był jego biznes. To w ogóle nie był jego biznes. Pewnie zatrudnił go jego własny zięć albo synowa, żeby jego emerytura nie wyglądała jak pokuta za 30 lat pracy.

Do sklepu prawie nie zaglądało światło i wewnątrz panował wilgotny chłód. Przestraszył go. Człowiek zareagował gwałtownie, jakby Maks zarwał mu sen albo zaskoczył na jakiejś precyzyjnej operacji, która wymaga absolutnego skupienia, i cofnął się ze swoim taboretom pod regał. „Stary samiec prędzej opuści swoje terytorium, niż zaryzykuje bezpośredni kontakt”, nie wiedzieć czemu pomyślał Maks, brzmiało to zupełnie jak fragment misyjnego filmu nadawanego w weekend o wczesnej porze. Oczy za przekrzywionymi okularami nie miały żadnego wyrazu. Nic do powiedzenia. Zupełnie jak asortyment zalegający na półkach „tysiaca i jeden drobiazgow”. Ktoś po prostu zrobił sobie objazd po hurtowniach i zebrał wszystko, co przypadkiem wpadło mu pod rękę. Trochę emalii i plastikowego badziewia dla dzieci, części zamienne dla rowerów i chemię rolniczą, nieskomplikowane agd i pasmanterię, wkłady do zniczy i szkło. Nie odpowiedział na pytanie. Słyszysz się tylko te pytania, w których znajduje się moc, żeby na nie odpowiedzieć.

W powietrzu czuł ozon. Niedaleko musiał spaść deszcz. Samochody wjeżdżały na rynek na półmokrych oponach, ślad urywał się nagle, gdzieś w połowie ulicy i dymił. Autobus zasłaniał wiatę i tablicę ogłoszeń – nawarstwiony palimpsest, chaotyczny reportaż z życia gminy. Reklamy Dachpollu (blacha profilowana), firm odszkodowawczych, plakaty cyrku Luna, przedawnione historie kupna i sprzedaży (kupię seicento, sprzedam słomę, prosiaka oddam w dobre ręce itd.). Nikt nie wsiadał ani nie wysiadał. Kierowca wsparty łokciami o kierownicę patrzył przed siebie. Być może na ten ciemniejszy ślad na jezdni, który wysychał, parował, unosił się gdzieś w górę do jakiegoś nieba znaków, tropów, poszlak. Albo dalej: na zakratowaną, ciemną witrynę sklepu monopolowego, który mógłby być jakimś wybawieniem od tego dnia. Od kolejnego kolejnego kursu w tym samym kierunku.

Nie spodziewał się dalszego ciągu. Nic takiego, jak dalszy ciąg nie istnieje, pomyślał Maks. Tej luki, którą w pewnym momencie człowiek odkrywa, przeważnie wcale jej się nie spodziewając, nie da się niczym zapełnić. Powinien zrobić zdjęcie. Najlepiej z góry. Lubił górne kadry. Uchwycić ten moment, kiedy coś się kończy i nic nowego nie zaczyna. Albo odwrotnie: początek, a potem długa przerwa, długi nieskończony deficyt. Znalazł kiedyś coś podobnego w Rzymie, w jednej z tych ciasnych ale luksusowych galerii w Quartiere Ebraico. Trafiał tam zresztą przypadkiem, robił krótki materiał o Roma Termini, i chciał się później powłóczyć po mieście bez przewodnika. Zdjęcie wykonano zimą przed bazyliką Santa Maria in Ara Coeli. Podobno. Tak usłyszał od równie luksusowej właścicielki galerii. Praca była anonimowa, nie przedstawiała nic charakterystycznego, nic rzymskiego, więc dziewczyna z Quartiere Ebraico musiała posiadać nadzwyczajną wiedzę. A może po prostu świetnie orientowała się w topografii miasta. Fotografia przedstawiała schody. Górny kadr. Cienka warstwa śniegu leżąca na schodach przypominała przetarty pergamin. Wszędzie ślady butów. Wszelkie rozmiary, wielość form, od całkiem finezyjnych po proste schemat: płaskie i nieokreślone plamy podeszw i obcasów. Wszystkie te ludzkie tropy w pewnym momencie urywają się. Jakby istniała jakaś niepodważalna granica, której nie da się przekroczyć. Kupił to anonimowe zdjęcie za 50 euro i powiesił w swoim warszawskim mieszkaniu na Pradze. W kuchni, bo po-

kój, którego okna wychodziły na podwórze, był za ciemny. Pomyślał, że to dobry początek, i warto pomyśleć o całym cyklu, swoistego rodzaju dokumencie podróży i przypadków (jako szczególnych form konieczności), ale ciągle brakowało czasu, czas zawsze rozpięty był między lotniczym terminalem, reportażem pisanym w pośpiechu i hotelem zarezerwowanym na jedną noc. Poza tym mało kto zajmował się dokumentowaniem nieciągłości w taki sposób, żeby Maksa to wystarczająco zafrapowało.

Do sklepu wchodziła kobieta z wielką reklamówką Bossa. Miała zamiar wejść, ale Maks ciągle stał w przejściu. Odsunął się i zszedł o jeden stopień niżej. Nie wiedział, jak zacząć. Od czego zacząć. Dlatego ciągle tkwił w jednym miejscu. Od samego rana do miasta zjeżdżały białe vany na bułgarskich rejestracjach. Vany i transyty. Białe. Ten sam biznes, ten sam kraj i kolor. I ten sam towar: ciuch z tureckiej bawełny replikowany w nieskończoność. Temat, który leży, jak mówią ludzie z branży, na ulicy. Gotowy do podniesienia. Gdyby nie imigrancki kryzys, Maks mógłby zrobić fotostory o turystyce zarobkowej. Bliski i Daleki Wschód. Turcja i np. Bangladesz. Przydałby się mocny lead i kilka czarno-białych zdjęć wykonanych szerokokątnym obiektywem z filtrem połówkowym. Dla podkreślenia dramaturgii.

Kobieta odstawiła torbę i oparła się o regał. Wyglądała, jakby wracała z nabożeństwa. Czarna spódnica, biała koszula, imitacja koralu „wpuszczona” pod kołnierzyk, ciasny żakiet. Była blada i miała ewidentnego zęza. Lewa żenica uważnie lustrowała Maksa, prawa filowała na sprzedawcę. Oto co znaczy mieć nad wszystkim kontrolę, pomyślał nie bez ironii i cienia gorzkiej satysfakcji.

– Dzisiaj chciałam pobrać dwieście złotych, to mi wydał w samych dwudziestkach – żaliła się.

– A co? To wszystko na sprzedaż? – sprzedawca zmienił temat i wskazał torbę Bossa. Okazało się, że jednak potrafi mówić. Artykułował twardo i mechanicznie, jakby miał niedopasowaną protezę.

– Wnukom wiozę. Skąd tu znowu tyle wody? Mąż mnie zazwyczaj odbiera na krzyżówce. Ale dzisiaj nie chcę patrzeć na to miejsce.

– Śladów już nie ma, wszystko wymyli pod ciśnieniem.

– Słyszałam, że hamulce nie zadziałały. To był stary rower.

– Albo się zamyśliła. To podobno Mazurowa. Zostawiła czwórkę dzieci, najstarsze nie skończyło dziesięciu lat. No niech pani sama powie.

– Jak mieli ją rozpoznać, skoro twarzy nie było?

– Twarzy nie było, poznali po rowerze.

*

Nigdzie nie ruszał się bez map Michelin. Lubił ich dokładność i precyzję. Brat Édouarda, Andre najpierw zaprojektował rozbierną oponę z dętką, dwie dekady później wykorzystał swoje doświadczenie kartograficzne i w 1910 roku stworzył wzór, pierwszą mapę Francji, na której każdy typ dróg zaznaczony był odpowiednim kolorem, wprowadzono również informacje o odległościach między większymi miastami. Patent ze składaniem mapy w harmonijkę również należał do Michelin. Maks rozumiał, że w czasach bezwzględnej przepływu informacji i natychmiastowych aktualizacji GPS, korzystanie z map było swoistego rodzaju atawizmem. Ale w ten sposób chyba rozwinął u siebie zmysł przestrzeni. Zazwyczaj wystarczało mu jedno spojrzenie na mapę, żeby ją zapamiętać; nigdy nie skręcał za wcześniej ani za późno. I nigdy nie wylądował w polu rzepaku, w którym – wedle programu obsługiwanego przez sterylne głosy Hołowczycy – wiodła krótsza droga do celu.

Jaka szkoda, myślał Maks, że nikt nie wpadł na pomysł, żeby stworzyć rodzaj mapy czasu, na której znalazłyby się nieistniejące drogi i przesunięte szlaki, brody i mosty, zgładzone aglomeracje i wysiedlone wsie; do tej niepragmatycznej

kartografii zaś dołączone byłyby plany wymazanych śródmieść, przejętych domów i sklepów, fabryk i warsztatów. Wszystko wyrysowane na kalce technicznej, którą przykładałoby się do mapy podstawowej. O tych samych wymiarach. Dla porównania. Dla możliwości wyboru. Dla podróżujących wstecz i w głąb.

Dzień przed podróżą odpalił Google i zobaczył miasto z góry. Miało owalny kształt, przypominało pętlę gotową do zaciśnięcia. Klasyczny układ: rynek i prostopadłe ulice dzieliły obszar na osiem kwartałów. W zarysie murów miejskich niemal kwadrat. Reszta zabudowań odchodzących promieniście formuje jednak owal. W przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów nie widać niczego podobnego. Wszędzie klasyczne rzędówki albo jakieś nieforemne i rozproszone struktury. Zapamiętała nazwy ulic: Klasztorna, Nadrzeczna, Kacza, Ogrodowa. Były efektem przesunięcia i nadpisania. Gdyby przyłożyć „antymapę”, okazałoby się, że tylko ulica Kacza zachowała swoją nazwę i pozostała na swoim miejscu. To był nieunikniony i nieskończony proces. W kraju takim jak ten formowanie nigdy się nie zakończyło. Są na tym globie miejsca geologicznie aktywne. Ale jest również sejsmika historyczna. Etna, Wezuwiusz, Grimsvton, Hekla razem wzięte nie wyrządziły takich szkód, jak niewygasły wulkan w sercu Europy.

Dostał propozycję od Serge’a. Z Le Monde. Pierwszy raz, od kiedy w lipcu Fengolio objął dziennik. Serge zadzwonił wieczorem, akurat Maks kończył się pakować. W Paryżu kolegium zdecydowało o zamieszczeniu kilku krótkich reportaży z marszów antyimigranckich w Europie. Ondrej zobowiązał się zrobić relację z Bratysławy, Maks miał przygotować relację z Polski.

– Maks, strasznie mi przykro, że twój ostatni materiał wyleciał. Sam wiesz, co się u nas działo. Teraz masz kolejną szansę. Twoja relacja pójdzie w bloku ze zdjęciami Ondreja. Obok główny tekst Lucie o katastrofie Syryjczyków na Morzu Egejskim. O Asmie i jej dwumiesięcznym synku. Chcę mieć taki kontrpunkt. Masz dwa dni. Nawet nie pytam, czy zdążysz.

– Nie uważasz, że to kontrpunkt zbyt dosłowny?

– Maks, ja cię nie pytam o zdanie. W Calais mamy narastający problem, którego nikt nie chce i nie umie rozwiązać. To kwestia czasu, kiedy zaczną się rozruchy. I protesty z drugiej strony. Żeby tylko protesty!

– U nas nie ma imigrantów, Serge. To nie ta sama sytuacja.

– Właśnie o to mi chodzi, że nie ma. Co z twoją matką, Maks?

– Chciałem wziąć urlop.

– Nie teraz.

Otworzył walizkę i spakował obiektywy. Szerokokątną Sigmę i dwa Tamrony. Zamówił margaritę i zdjął ze stojaka butelkę Malborough Sauvignon Blanc. Nie zamierzał jej wcale otwierać. To był mechaniczny gest, ale w pełni kontrolowany. Tak miało to wyglądać. Nie cierpiał, kiedy nagle coś wchodziło między niego a materializującą się perspektywę. Wypełnił kieliszek mineralną i stanął w oknie. Ulica Stalowa przemówiła białym i zimnym światłem galerii i kolejną rozróbą pod lombardem. Zdawało mu się, że słyszy gwałtowne bicie serca ulicy. Niegdyś wytopione przez hutę. Krzyk nagrzanych tanim towarem mężczyzn, wypukły i szybkościerny, wrzenie Alei Solidarności, wędrówkę wody w górę i w dół, zgiełk bazarów Pachulskiego i Domańskiego. Bazarów, które nie istnieją.

Pytanie Serge’a było pytaniem, którego nie zadał sobie, odkąd przywiózł matkę z Bielan do jej mieszkania w Piasecznie. Co z twoją matką, Maks? No właśnie, co? Najpierw ją zawiózł, bo znów zaczęła mówić o Bogu. Kiedy matka zaczęła mówić o Bogu, zazwyczaj oznaczało to, że odstawiła olanzapinę. Kiedy przestawała brać leki, otwierała okno w tym swoim ciasnym WAM-owskim mieszkaniu i rzucała się w dół na równo przycięty trawnik. Wybrał numer na wyswietlaczu, odebrała od razu. Wyobraził sobie, że siedzi na ta-

borecie w kuchni, w szlafroku, który jej kupił dwadzieścia lat temu w PDT w Lubieniu Kujawskim, w zmywaku piętrzy się stos talerzy i półmisek z zaschniętą warstwą kaszki bobovita, radio jest włączone na cały regulator, a ona katatonicznie wpatruje się w telefon. Czeką na ten znajomy, wysoki dźwięk połączony z niedyskretną wibracją, które zbudzą ją ze śmiertelnego snu.

– Jak żyjesz?

– Zapytaj, kiedy żyję.

– No dobrze, to kiedy żyjesz?

– W tej właśnie chwili. Przyjeżdż.

Spakował walizkę do bagażnika, zaczekał na kuriera, potem zadzwonił do Jurka, dziennikarza z Bydgoszczy, żeby mu zrobił materiał z marszu i wysłał na google drive'a. Sam zamierzał jechać do Kielc. Wymiana uprzejmości. Wszystko świetnie działało, dopóki zachowana była równowaga. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio zrobił coś dla Jerzego. Skoro jednak Jerzy zgodził się bez wahania, może wcale nie tak dawno?

W obecnej sytuacji Piaseczno było po drodze. Maks nie tyle pomyślał o matce, ile o starym zdjęciu, które zapomniał zabrać poprzednim razem. Od kilku dekad leżało w pudle i czekało na moment, kiedy matka zechce uporządkować swoją pamięć. Wbił się w Targową na wysokości Dworca Wileńskiego, potem w Grochowską. Włączył radio i sięgnął do kartonu z pizzą. Była już sucha i zimna. Jakby wgrzyzał się w karton. *Po śmierci matki pokazywano jeszcze przez stulecie jej cień w jaskini – olbrzymi, straszliwy cień.* Gdzie to było? – zastanawiał się, przeżuwając ciasto z serem i słuchając komentarza do „analizy konsumpcji” Angusa Deatona. Jakaś kobieta twierdziła, że Mordor przeniósł się już dwa lata temu z Domaniewskiej na Wolę. „Teraz Wola staje się wielkim openspejsem”, dokończyła.

Zastał matkę na przybijaniu gwoździ do drzwi szafy. Oczywiście miała na sobie ten słomkowy szlafrok. Odświeżony blond aż po siwe odrosty. W mieszkaniu było czysto. Zero kurzu. Zero syfu po tajskim instant żarciu. Jakby przeszła razem z lokalem, w którym mieszka dializę połączoną z plazmaferezą.

– Wyciągnęłam z pawlacza rzeczy na zimę. Chyba znalazłam ten szary golf, którego szukałeś – trochę go przestraszyła z tym młotkiem i gwoździami w rękach. Przypominała teraz zestaw Geta Stankiewicza pod tytułem „Zrób to sam”.

*

Chciał poczuć to miejsce. Wyczuć je. Zaparkował samochód pod apteką. Skwer, nie licząc menela z siatką, był całkiem pusty. W intensywnym, nieforemnie cienie klinem wbijało się białe światło, przypominało żelazo wyjęte z pieca. Zrobił obchód, dwukrotnie obszedł rynek i przylegające doń ulice. Wszystko co posiadał, cała jego pewność czy niepewność zawierały się w tym jednym zdjęciu podpisanym na odwrocie „Laja lustyg, lelov 1939” – tak jest, małymi literami – w uderzającym podobieństwie portretowanej do babci Amelii, która zmarła dwa lata przed jego narodzinami w lutym siedemdziesiątego trzeciego roku nie skończywszy siedemdziesięciu trzech lat, w przemilczanych rodzinnych historiach o przemysłowcach, którzy po wojnie zajęli eksponowane miejsca na kolei i zakładach mięsnych, i o rodzeństwie matki, które dziwnym zbiegiem okoliczności wyjechało z Polski z początkiem sześćdziesiątego dziewiątego do Szwecji. Nie wiem, kto to jest, nie pamiętam, nie znam – tłumaczyła się matka. – Myślę, że trafiło tu przypadkiem. Twój ojciec przywiózł kiedyś z Lublina mnóstwo starych zdjęć. Pewnie się pomieszały. Taki z niego był wojskowy. W całej jednostce się go bali, a w gruncie rzeczy to był stary, sentymentalny głupiec. Chyba nie sądzisz, że nie poznałabym swojej matki Amelii? Zresztą sam popatrz – dziewczyna jest po pierwszej komunii, białe rękawiczki, suknia, welon, kwiaty i szkaplerzyk na piersi. Laja to jest imię żydowskie, Lustyg to nazwisko jeszcze bardziej żydow-

skie, a tu masz katolicką dziewczynę, której na dodatek nie kojarzę. Nic tu się nie zgadza i nie pasuje.

Pobożne oszustwo, ale całkiem słuszne. Zeskanował kadr i wysłał do kilku znajomych. Dla porównania. Wybrał najwcześniejszą fotografię Amelii i oczywiście zdjęcie dziewczyny w szarej sukni. Uczepił się tej historii, być może nawet ją wymyślił, żeby się nad sobą użalać albo żeby uzasadnić to cholerne niedopasowanie, jakiego nieustannie doświadczał. Do czasu, w którym przyszło mu żyć – w sposób szczególny. Potrzebował obiektywnej opinii. Oba zdjęcia były marnej jakości. Nie spodziewał się cudów. I żaden nie nastąpił. Ktoś tam dopatrzył się podobieństwa, ale mizernego. Ktoś inny zrobił więcej, niż się po nim spodziewano. „Zlustrował” nazwisko i wysłał Maksowi link do bazy Yad Vashem. Laja Lustyg – czytał lakoniczną informację – born in Lelov in 1900, wartime address: Katowitzerstrasse 9. Obawiał się, że choroeba w końcu pochłonie i jego. Patos zaprzeczenia. Patos i namiętność zaprzeczenia.

Ruch w miasteczku się wzmacniał. Zauważył białe vany na bułgarskich rejestracjach. Nie wiedział od czego zacząć. Sklep „tysiąc i jeden drobiazgow” wyglądał niemal identycznie jak sklep groszowy Rygiera gdyby tylko przyłożyć do niego tamtą niepraktyczną mapę. Skąd to wiedział? Po prostu wiedział.

Notował. Rynek, dziewięta dziesięć:

– To chyba przedwojenne? – kobieta przełożyła chleb z prawej do lewej i przyjrzała się zdjęciu. – Ale nie znam, nie znam, ja tu dopiero po pięćdziesiątym przyjechałam. Za mężem, wie pan. Ale był tu ksiądz, co robił zdjęcia przed wojną. Tylko że nie pamiętam nazwiska. Jego by trzeba zapytać. Pan z telewizji czy z gazety?

– Nie, pytam całkiem prywatnie.

Ogrodowa, piętnaście minut później, mężczyzna:

– Lustyg, Lustig, nic mi to nie mówi. Grób cadyka mogą panu otworzyć. Mykwa jest z drugiej strony, pan wie, co to mykwa? Sowińscy, Niepsujowie, Klimasowie, Gulowie, Foltyn to tak, ale Lustyg to nie słyszałem. To co? Otwierać ten grób?

Róg Szczekocińskiej i Klasztornej, pod sklepem „Cezar”. Znowu starsza kobieta:

– W Krakowie, proszę pana, był doktor o takim nazwisku. Od płuc. Tyle wiem.

Rogatki miasta, za mostem na Białej, południe, mężczyzna w tweedowej marynarce i kaszkiecie, kilkudniowy zarost, ostry nieprzetrawiony zapach alkoholu, dwie aluminiowe bańki na mleko obok.

– Jak pan powiedziałeś? Lustyg? A to w ogóle polskie?

– Nie, raczej żydowskie.

– Żydów tu nie ma. I nigdy nie było.

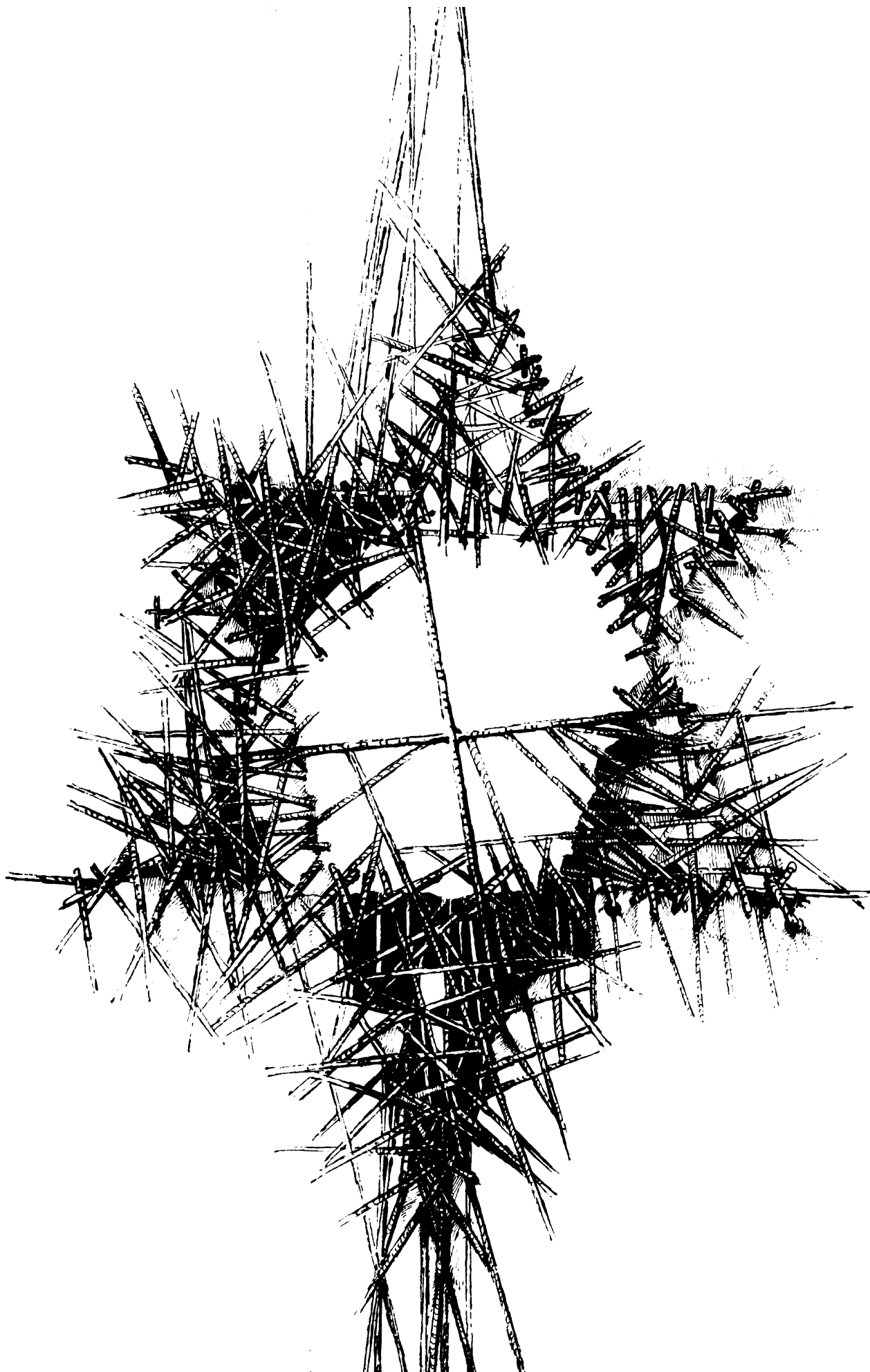
Czternasta, niemal to samo miejsce. Betonowa zaporą na Białej. Dwóch robotników z piłami spalinowymi. Jak się później okazuje, ojciec i syn.

– Najpierw to była powódź, panie. Woda zniszczyła oba mosty. Potem spalił się młyn. Ktoś tę rudę kupił, i prędko znalazł się ogień. Tak się załatwia sprawy. Ta zaporą od młyna nie działa już od lat. Budowali ją w latach trzydziestych. Też ojciec i syn. Oni by pewnie pamiętali tę Lustyg. Jeśli to prawda, że tu żyła.

Piętnasta, restauracja na rynku. Czar i klejnot PRL-u. Dania regionalne, głośne radio na zapleczu, chleb prosto z pieca, uniwersalna kawa i butelka mineralnej, masywna kobieta za kontuarem. Niekoniecznie w tej kolejności.

– Ładne zdjęcie. Ładna kobieta. Wygląda jak szarytka.

Cóż by się stało, gdyby twój Żyd został rozgrzeszony i przejęty przez aryjską stronę, a nie tylko tę aryjską stronę próbował zdobyć wszystkimi dostępnymi metodami? Miasto Maksowi umykało. Powinien coś czuć, wychwycić jakiś sygnał, coś się powinno do niego przebić z tamtego równoległego nurtu, ani przez chwilę nie wierzył w pamięć obcych. W pamięć innych. W pamięć zmodyfikowaną. Miasto z jego kluczowy-



mi fragmentami, zaplątane w akcji mu uciekało, wymykało się z rąk.

Zamówił coś ciepłego. Ciulim. Ucierane ziemniaki zapiekane na żeberkach wieprzowych. Nieforemna, brunatna masa na talerzu wyglądała jak danie z innej epoki. Cola w puszcze. Zapalki. W międzyczasie przejrzał newsy. Wykasował spam ze skrzynki pocztowej. Odpowiedział na kilka zaległych smsów, tylko po to, żeby zająć czymś myśli, które akurat chciały być nieruchome. Chodziło o to, żeby podtrzymać kontakt, a przynajmniej stworzyć takie wrażenie. Odpowiedzi wcale nie musiały być przekonujące. Jakiś facet na zewnątrz – drzwi restauracji były otwarte na oścież – śmiał się konwulsyjnie. Skandując. Jakby robił to pierwszy raz w życiu.

*

Postanowił przenocować w Nakle. Nocleg w pałacu zaprojektowanym przez Naxa brzmiał sensowniej niż agroturystyka na obrzeżach głębokiej prowincji. Czy może być coś gorszego niż obrzeża prowincji? Niż agroturystyka na obrzeżach prowincji, której nie omija się tylko dlatego, że rozciąga się przy drodze krajowej, nie sposób wyminąć tego „nigdzie”, żeby dojechać „gdzieś”, „dokądś”. Gdzie dostaje się w pakiecie prawdziwe mleko, prawdziwy krystalizujący się miód, prawdziwego psa na łańcuchu i słomę, którą wnosi się na butach do sieni, bo skala wyalienowania współczesnego mieszkańca miast jest tak wielka, że wystarczy mu marny substytut w miejscu zerwanej więzi. Maksa było stać, żeby zapłacić cztery stówki za nocleg. Serge’a było stać. A Maks pracował dla Serge’a w tej chwili. W tym momencie. Maks świetnie znał francuski i był całkiem niezłym fotoreporterem. W Le Monde był lepszy, ale lepszy też kiedyś zaczynali jako „całkiem niezli”.

Odpalił awaryjne światło w kabinie samochodu. Rozłożył mapę na kolanach. Potem gdzieś między Małopolską a Mazowszem umieścił zdjęcie dziewczyny w szarej sukni. W siedemdziesiątym trzecim roku Laia miałyby siedemdziesiąt trzy lata. Tyle samo co Amelia. Jeśli wierzyć adnotacji, Laia musiała urodzić się w połowie lat dwudziestych, więc nie mogła być Amelią. Powinny chyba ogłosić rozejm. Zamiast wracać nazajutrz do miasta, pytać o księgi parafialne, chwycić się ostatniego tropu, o ile nie wyparował jak dzisiejsze ślady opon. Ogłosić rozejm i uznać, że te wszystkie podróże na południe Włoch, do północnej Afryki, w której od lat narastał problem, który teraz przyplął do Europy, wzięły się znikąd. Jego własna historia nie ma nic z tamtymi wspólnego. Tyle że była to nieprawda. Wiedział to, ale nie potrafił tego udowodnić.

Odpalił silnik forda, włączył światła, wrzucił pierwszy bieg, potem drugi i ruszył ciasnymi ulicami na wschód. Wykreślił numer z prefiksem 33 i włączył zestaw głośnomówiący. Nastawił się na długie czekanie. Oni nigdy nie odbierają od razu. Justyna zawsze miała awersję do rozmów przez telefon. Wolała odpisywać, dlatego Maks nigdy nie wysłał jej żadnej wiadomości. Stary to co innego. Musiał dojechać do telefonu na tym swoim wózku, ale robił to z nonszalancją niegodną wojskowego. Tyle że kiedy już zaczął gadać, nie mógł skończyć. Jak się stary znalazł we Francji, w Argentueil, niecałe dziesięć kilometrów od Paryża i piętnaście minut pieszo od mostu, który kiedyś malował Monet? To proste. Po pierwsze było go na to stać. Po drugie od dekady chorował na Parkinsona, a Francuzi zaczęli stosować unikalną terapię iniekcji genami terapeutycznymi. Wreszcie po trzecie – poznał Justynę, która profesjonalnie zajął się jego ciałem. To w zasadzie przesądziło kwestię jego powrotu.

– Max, c’est toi? – głos Justine jest niższy niż zazwyczaj, w tle rozgrywa się transmisja jakiegoś meczu.

– Zawsze uważałem, że wyrażenie „ciemna noc” to tautologia. Okazuje się jednak, że to pleonazm. Mam uzasadnione obawy, że moje życie od tego momentu bardzo się zmieni.

– Eh bien, Je l’appelle maintenant – słyszy jej kroki, szybkie, metaliczne stuknięcia obcasów po francuskiej ceramice

Christiana Biechera. Pewnie gdzieś się wybierają. Albo właśnie wrócili. Po chwili tło nagle się wycisza.

– Maks, właśnie miałem do ciebie dzwonić – tłumaczy się stary – wracamy do kraju na początku tygodnia. Nie uwierzysz, co się stało!

– Powiedz mi, kiedy Justine nauczy się wreszcie polskiego?

– Mam jak najgorsze wspomnienia z tym etapem w moim życiu.

– Chciałem cię właściwie zapytać o stare dzieje. W osiemdziesiątym stacjonowałeś w Lublinie. Dwa tygodnie, o ile pamiętam. Przywoziłeś stamtąd jakieś zdjęcia?

– Zdjęcia? Ale skąd? Z jednostki? Myśmy w ogóle nie opuszczali koszar.

– No właśnie, też mnie to zdziwiło. Ty raczej nigdy nie bałeś się w taki sposób.

– Co masz na myśli?

– Sam nie wiem. Matka nazwała cię sentymentalnym głupcem. Myślę, że te określenie tylko w połowie jest prawdziwe.

Tyle. Wyłączył się. Wyłączył telefon. Zwolnił do czterdziestu przed ostrym zakrętem w prawo. Na wprost wyłoniła się ciemniejsza, nieforemna bryła lasu. A może parku. Noc ma wiele odcieni, które o niczym nie przesadzają.

Zatrzymał forda na szutrowym podjeździe przed pałacem. Okna frontonu też były ciemne. Palili się tylko na parterze. Do środka wprowadził go właściciel, Amerykanin, który ożenił się z polską dziennikarką. Maks kojarzył nazwisko. Czytał kiedyś jej tekst z zakresu etyki dziennikarskiej. Kehrt sprzedał swoje udziały w firmie VFP Communications i zajął się elitarną turystyką. Przypominał Maksowi bohatera, który urwał się z powieści Iotrzykowskiej, ale nieszcześnie osiadł w za dużym domu. Whiskey działało na Kehrta za szybko. Po godzinie biesiadowania w kuchni siłą próbował zdjąć z Maksa blezer Teda Bakera i zamienić go na swojego połatanego Hariss’a. Przyniósł klucz do pokoju i nagle przepadł. Maks dopił resztę w samotności. Wieczorem przyszedł materiał z marszu w Bydgoszczy. Zdjęcia niedobre, ale czego mógł się spodziewać? Powinien być na miejscu, zamiast marnować czas na tanią psychodramę i cedować obowiązki na innych. Odpalił po kolei zdjęcia. Żadnych zbliżeń. Kolorowy tłum w masie, transparenty z logo MW i Zawiszy, zielone i narodowe flagi, jakiś facet w białym polo i adidasach z uniesioną do góry ręką zaciśniętą w pięść. Kobieta w oknie kamienicy, ktoś z tyłu trzyma nad jej głową małe, rozbrane dziecko. Za daleko, żeby coś z coś z tym zrobić bez straty jakości.

W nocy otrzymał wiadomość od Serge’a: „Jadę do Brukseli. Chantal nie żyje. Jestem całkiem załamany. Rób swoje”. Zdążył odpalić safari i przeczytać nagłówek „Autrice d’une œuvre pionnière, la réalisatrice belge s’est suicidée.”, przypomnieć sobie, że Chantal Akerman cierpiała na dwubiegunówkę, i ponownie zasnął. Śniło mu się miasto w sepia. Na rynku leżał piach. Czuł ten piach w stawach i między zębami. Nie mógł się poruszyć. Wszystkie drzwi i okna były zamknięte. Wiatr wzbijał kłęby pyłu i z siłą pustynnego żywiołu ciskał w ściany budynków. Nagle znalazł się przed jakimś blokiem w Brukseli i zobaczył ciało Chantal. Leżała na wznak na równo przystrzyżonym trawniku i miała zrośnięte usta. Jakiś znajomy głos powtarzał jedno zdanie za jego plecami: dlaczego mamy burzyć tę niewinność?

Radostaw Kobierski (ur. 1971 w Chorzowie) – polski poeta, prozaik, krytyk literacki, felietonista, współtwórca grupy poetyckiej Na Dziko. Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Laureat konkursów literackich. Debiutował tomem *niedogony* w 1997 roku. Publikował w *Akcencie*, *Czasie Kultury*, *FA-arcie*, *Kwartalniku Artystycznym*, *Kresach*, *Odrze*, *Twórczości*, *Res Publice*. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia oraz Literackiej Nagrody Europy Środkowej *Angelus*. Za powieść *Ziemia Nod* uhonorowany został nagrodą TVP *Kultura Gwarancja Kultury* za rok 2011. Wiersze i prozę tłumaczono m.in. na angielski, włoski, niemiecki, chorwacki, węgierski. Mieszka w Mysłowicach.

– **Przyjechał pan do Katowic w roku...**
– ... 1949, na jesieni – wtedy rozpocząłem pracę z Filharmonią Śląską w Katowicach.

– **W jakim stanie ją pan zastał?**
– Byłem wtedy młody i pracowałem. Mogłem osiągać przyzwoite muzyczne wyniki. Mogłem grać z orkiestrą to, co chciałem. Przez pierwsze trzy lata był tam bardzo dobry koncertmistrz Dworakowski, który przed wojną był członkiem Filharmonii Warszawskiej, a potem, jak poszedł na emeryturę był koncertmistrzem Ryszard Falstach. Nie wiem jakie były ich dalsze losy, ale przypuszczalnie Falstach dalej grał jako koncertmistrz.

– **Podczas pobytu w Katowicach mieszkał pan w kamienicy przy ulicy Szafranka.**

– Tak, mieszkałem wtedy w kamienicy pod numerem 9 przy ulicy Szafranka, na pierwszym piętrze. Dzieliłem mieszkanie z Sieradzkimi. To byli bardzo mili ludzie. On był dziennikarzem, a jego synowie przyjaźnili się z inną sąsiadką – z Zofią Bieniewską, która wprowadziła się potem do Warszawy.

– **Dziś w tym miejscu znajduje się Muzeum Historii Katowic, stąd warto doprecyzować: mieszkał pan po prawej czy lewej stronie?**

– Po prawej. Moje okna wychodziły na drzewa. Pamiętam taką historię. Skończyłem pisać operę, zostawiłem partyturę na biurku, a w pokoju było otwarte okno. Wracam, a tu wizytówka ptaka na partyturze [śmiech.] Mówili mi, że to na szczęście. Pojechałem z tą operą do Warszawy, ale ta przygoda jakoś mnie zniechęciła...

– **... i nie została wystawiona?**
– Nie, nie chciałem jej wystawić. Wyrzuciłem ją. Temat był nie bardzo polityczny, ale dość blący.

– **Ten katowicki okres był ważny w pana życiu? Mieszkając od wielu lat w Stanach Zjednoczonych, wraca pan czasem pamięcią do tego miasta?**

– To były dla mnie szalenie ciekawe lata. Nie były to bardzo szczęśliwe lata politycznie, ale dla mnie ważna była stała praca z orkiestrą. To było fantastyczne i bardzo potrzebne doświadczenie dla młodego dyrygenta. Nie każdy ma taką szansę w życiu. Zazwyczaj polscy czy zagraniczni dyrygenci zaczynali od kopertury w operach, grali na fortepianie, uczyli śpiewaków, uczyli się repertuaru, dyrygowania. To była ich szkoła. A ja miałem szkołę symfoniczną, ale mogłem też pracować nad operami. W Filharmonii czasami wystawialiśmy koncertowe wersje oper, ze śpiewakami, ale bez inscenizacji. W ciągu roku miałem minimum dwadzieścia pięć tygodni pracy, czyli dwadzieścia pięć programów w ciągu roku. I tak było przez pięć lat. Proszę sobie wyobrazić ile czasu mogłem poświęcić na studiowanie materiału! To było głównym szczęściem mojej całej kariery.

– **Czy trudno było łączyć pracę dyrygenta z komponowaniem?**

Rozmowa ze **STANISŁAWEM SKROWACZEWSKIM**
światowej sławy dyrygentem i kompozytorem

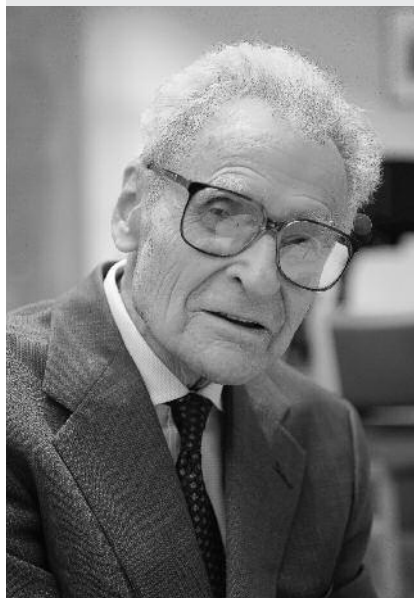


Foto. Zbigniew Sawicz

Katowickie lata Mistrza

– To jest niestety zupełna tragedia... To są dwa zupełnie przeciwne sobie, wielkie życiowe role. W pewnym sensie jednak sobie pomagają. Kompozytor musi dokładnie znać swój instrument. Sięgając do historii, Chopin znał fortepian, ale nie znał dobrze orkiestry więc ktoś mu instrumentował. Współcześnie, w XX wieku kompozytor jeśli pisał na orkiestrę, musiał ją znać. Bez względu na to, czy pisał na orkiestrę kameralną, czy symfoniczną, czy pisał operę. Musiał znać bardzo dobrze swój warsztat. Sytuacja dyrygenta zatem czasem mogła być podobna. Natomiast w sensie skupienia, w sensie potrzebnego czasu, to są rzeczy bardzo trudne do pogodzenia. Nauczenie się jakiegoś repertuaru wymaga długich lat studiów. Niestety nie zawsze tak się dzieje. Czasem dyrygenci znają partyturę pobieżnie. Z drugiej strony jest jeszcze praca z orkiestrą, rozmowy z muzykami... to wszystko zajmuje pełne życie. Za mało jest tego życia na ten kolosalny materiał... A kompozytor musi się skupić na innych rzeczach. Wpływy muzyki, którą dyryguje, niewątpliwie przeszkadzają w skupieniu nad własną muzyką. Dyrygent musi być ekstrawertyczny – żeby dać innym ludziom siebie. Kompozytor natomiast musi być introwertyczny... zdarzali się

kompozytorzy i dyrygenci, ale dawniej było więcej czasu. Gustav Mahler był i dyrygentem i kompozytorem, i jak płynął statkiem do Ameryki to miał co najmniej tydzień, żeby coś napisać. Dziś, w ciągu kilku godzin jesteśmy w Australii czy w Japonii. Jest ciągła gonitwa za czasem. Pierre Boulez, który był kompozytorem, zaczął dyrygować bo chciał wykonywać własne utwory. Jeśli zaczął potem dyrygować muzykę historyczną, to robił na swój sposób. I nie przejmował się tym specjalnie. Znałem go osobiście w okresie gdy był dyrektorem New York Philharmonii. Mówił mi wtedy, że rano wcześniej wstaje, pracuje dwie godziny, idzie na próbę, po czym znowu wraca do pracy kompozytorskiej. W ogóle się nie przejmował dyrygenturą! Robił to bardzo technicznie, po swojemu. Wielu było takich kompozytorów, którzy zarazem dyrygowali, ale jedna ze stron ich działalności zawsze przeważał jeden element... skutki były negatywne, odbijały się chociażby na oryginalności kompozycji. Aby być sobą, trzeba bowiem „odczepić” się od historii muzyki.

– **Z perspektywy pana doświadczenia udzieliłby pan jakiejś rady młodym dyrygentom?**

– Żeby się uczyli.. i poznawali partytury! Proszę mi wierzyć, że dzisiaj wielu młodych ludzi ich nie zna lub zna je pobieżnie i dyryguje. To jest nieuczciwe.

– **Ma pan jakieś niespełnione marzenie?**

– Wiele, wiele... musiałem dyrygować i nie było na nie czasu [śmiech].

– **Dziękujemy za rozmowę.**

Rozmawiali:
MAREK LYSZCZYNA
i ANNA SZCZEPISZCZAK

Stanisław Skrowaczewski (ur. 3 października 1923 we Lwowie). W latach 1949-1954 był dyrektorem Filharmonii Śląskiej w Katowicach. Obecnie jest honorowym dyrygentem Minnesota Orchestra, a także dyrygentem gościnnym Saarländischer Rundfunk Orchestra, Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia oraz Deutschen Radio Philharmonie. W latach 2007-2010 był też głównym dyrygentem Yomiuri Nippon Symphony Orchestra w Tokio. W 1999 został odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. W 2004 otrzymał tytuł doktora honoris causa Akademii Muzycznej we Wrocławiu. W 2009 odebrał w Katowicach „Diamentową Batutę” – nagrodę przyznaną przez Zarząd Polskiego Radia.



Henryk Sienkiewicz przed Grand Hotelem w Krakowie. Fotografia migawkowa, ok. 1910.

Henryk Sienkiewicz i Joseph Conrad w latach I wojny światowej

STEFAN ZABIEROWSKI

Wybuch pierwszej wojny światowej w początku sierpnia 1914 roku zastaje Sienkiewicza w jego posiadłości, w Obłęgorku, zaś Conrada-Korzeniowskiego z rodziną w hotelu, w Krakowie, w którym, po 40-letniej nieobecności, odwiedzając Polskę, zatrzymał się przed paroma dniami. Tymczasem wypadki ówczesne toczą się z szybkością lawiny. Wobec wypowiedzenia wojny Serbii przez Austro-Węgry, 29 lipca Rosja ogłasza mobilizację powszechną, zaś 31 lipca w cesarstwie austriackim też ogłoszona zostaje mobilizacja. W odpowiedzi na to 1 sierpnia Niemcy wypowiadają wojnę Rosji, a 3 sierpnia sojuszniczce Rosji – Francji. 4 sierpnia Anglia wypowiada wojnę Niemcom, a od 6 sierpnia Austro-Węgry są w stanie wojny z Rosją. Strzelcy Józefa Piłsudskiego, a dokładniej Pierwsza Kompania Kadrowa, przekraczają w Michałowicach granicę zaboru rosyjskiego i wkraczają do Kielc. Kawalerzyści legionowi odwiedzają autora „Trylogii” w Obłęgorku.

Ale obaj pisarze nie czekają biernie na rozwój wypadków. 2 sierpnia Conrad, za radą przyjaciół, wyjeżdża z Krakowa do Zakopanego, tak motywując, w piśmie w dniu 1 sierpnia na papierze firmowym krakowskiego „Grand Hotelu” liście do Johna Galworthy’ego, swoją decyzję:

„Złapała nas tu mobilizacja. Jeszcze przez trzy dni będą kursowały pociągi dla ludności cywilnej; ale z Jessie, która jest taką inwalidką i Jackiem, który czuje się niezbyt dobrze (gorączka), nie śmiem ryzykować koszmarów wojennej wędrówki. Tak więc przynaglany i namawiany, i po długim (24 godz.) namyśle, zdecydowałem się wywieźć siebie i cały niešťczęny szczerp do Zakopanego (w górach, około 4 godzin koleją stąd), poza teren wszelkich możliwych działań wojennych. Wolę być raczej unieruchomiony tutaj, gdzie mam przyjaciół, niż próbować wydostać się i utknąć w jakimś miasteczku niemieckim, pomiędzy armiami.”

Ale i Sienkiewicz nie czekał biernie na rozwój wypadków. Jak wspominał autor „Krzyżaków”:

„W pierwszych dniach wojny przybyłem wraz z rodziną do Krakowa, gdzie pozostaliśmy przez kilka tygodni. Były to czasy ciężkiego niepokoju. Troska o kraj i dzieci nie pozwoliła mi sypiać. Często po kilka nocy z rzędu nie mogłem zamknąć oczu, więc, jak się to zwykle czyni w takich razach, próbowałem czytać od wieczora do ranka.”

Podobnie tragedię rodaków w momencie wybuchu wielkiej wojny (bo tak wówczas określano I wojnę światową) przeżywał Conrad. W reportażu publikowanym po powrocie do Anglii wyznawał:

„Nie czas i może nie miejsce tutaj rozwozić się szerzej na temat tragizmu tamtej sytuacji. Cały naród, widząc jak jego nieszczęścia osiągnęły szczytowy punkt w ostatecznej katastrofie, nie mógł nikomu zaufać, do nikogo się od-

wołać, znikąd oczekiwać pomocy. Odar-
to go z wszelkiej nadziei i nawet z ostat-
nich złudzeń, ale wśród zamętu umysłów
i niepokoju sumień nie był zdolny
do szukania ucieczki w stoickim godze-
niu się z losem.”

Wszystko wskazuje na to, że w Kra-
kowie Sienkiewicz z rodziną zatrzymał
się w swoim ulubionym „Grand Hote-
lu”, który niedawno opuścił Conrad-
Korzeniowski. Jak wspominał Adam Grzy-
mała Siedlecki:

„Wtórny terenem moich spotkań
z Sienkiewiczem była mała salka w ka-
wiarni Grand Hotelu na ulicy Sławkow-
skiej. Przyjeźdnemu autorowi «Krzyż-
aków» Kraków nie byłby w pełni
Krakowem, gdyby o 10 rano nie zjawiał
się w tej salce na na kawusie ze śmietan-
ką – kawusie specjalną, «sienkiewi-
czowską», kawusie, nad przyrządze-
niem której dla dostojnego spożywcę
czuwał osobiście dyrektor hotelu i re-
stauracji: nazywał on się z helleńska
Chronowski.”

Ale wobec pogarszającej się dla Au-
stro-Węgier sytuacji wojennej, rosyjski
„walec parowy” (jak wówczas mówio-
no) podchodził już pod Kraków, Sien-
kiewicz, by być dalej od placu boju, po-
stanowił wyjechać do Wiednia. Ale
pobyt w naddunajskiej stolicy nie oka-
zał się dla autora „Trylogii” pomyślny.
Jak pisał biograf pisarza, Julian Krzyża-
nowski:

„Przybywszy 17 września do Wiednia
przekonał się, że wpadł z deszczu
pod rynną i że uniknąwszy kłopotów
z żandarmerią rosyjską mógł mieć je
z austriacką.”

Rzecz polegała na tym, że puszczo-
no w obieg, zamieszczoną w prasie fran-
cuskiej i rzekomo podpisaną przez
Sienkiewicza, deklarację polityczną,
skierowaną przeciwko państwu cen-
tralnym, której adresatem miało być Ko-
ło Polskie (czyli polscy posłowie w pa-
rlamencie austriackim) we Wiedniu.
Aby nie być przedmiotem represji ze
strony władz austriackich, Sienkiewicz,
za radą przyjaciół, opuścił Wiedeń i,
w towarzystwie mecenasa Antoniego
Osuchowskiego, w dniu 3 października
przybył do neutralnej Szwajcarii, gdzie
osiadł w Vevey.

Parę dni później Joseph Conrad z ro-
dziną, dzięki daleko idącej pomocy ro-
daków, opuścił Zakopane i przybył
do Krakowa. Wyjeżdżając z Zakopane-
go, Conrad, przy pomocy polskich do-
radców, przede wszystkim znanego kra-
kowskiego adwokata, dra Teodora
Koscha, który prowadził między in-
nymi sprawy Ignacego Paderewskiego
i Henryka Sienkiewicza, przygotował
memoriał przedstawiający plany swoich
poczynań po powrocie do Anglii na rzecz
interesów Polski. Pisał tam między in-
nymi, że zamierza:

„Wzniesie i przyzwycaić publicz-
ność w Anglii do tej myśli, że Polakom
należy się legalne uznanie ich
narodowości tak w państwach pokona-
nych, jak i w państwach zwycięskich.”



Joseph Conrad, 1904

Z Krakowa przybył Conrad 10 paź-
dziernika do Wiednia, gdzie spotykał się
z rodakiem zajmującym wysokie stano-
wisko w administracji austriackiej, Ma-
rianem Bilińskim, bratem austriackiego
ministra skarbu, Leona Bilińskiego,
a także z ambasadorem amerykańskim,
Fredericem C. Penfieldem. Potem, nie
bez trudności, skierował swe kroki
do neutralnych wówczas Włoch, gdzie
wraz z rodziną, dotarł 20 października.

Tak więc ówczesne drogi Sienkiewi-
cza i Conrada przebiegały podobnie
– ucieczka przed działaniami wojen-
nymi do Krakowa, a później dalej
do Wiednia, a stamtąd do neutralnego
kraju – Sienkiewicz do Szwajcarii,
a Conrad do Włoch. Z tym wszelako, że
Szwajcaria stała się dla Sienkiewicza
miejscem docelowym, natomiast Con-
rad z portu w Genui statkiem holender-
skim powrócił do Anglii. Obydwaj pi-
sarze byli w tych latach, choć w sposób
odmienny, wciągnięci w działalność
polityczną na rzecz Polski.

Sienkiewicz, znany od dawna, ze
Swych społecznych i politycznych za-
interesowań, podjął się w Szwajcarii sze-
rokiej działalności charytatywnej
na rzecz zniszczonego przez działania
wojenne kraju. Wedle kalendarium sien-
kiewiczowskiego pióra Juliana Krzyża-
nowskiego:

„W styczniu powstają równocześnie
dwa komitety pomocy ofiarom wojny;
w Vevey instytucję pod nazwą Comité
General de Suisse pour les Victimes de
la Guerre en Pologne organizuje Sien-
kiewicz wraz z I. Paderewskim i A. Osu-
chowskim, w Krakowie zaś działa ści-
śle z poprzednim związany Komitet
Biskupa Krakowskiego.”

Już 1 lutego 1915 roku ogłasza Sien-
kiewicz odezwę „Do ludów cywilizowa-
nych”, w której apeluje o udzielenie po-
mocy Polakom. Czytamy w tej odezwie:

„Więc w imię tego udziału w życiu
ludzkości, w imię praw, jakie ów udział
daje, w imię nauki Chrystusowej, w imię
cierpień dawnych i obecnych, zwracam
się do was, ucywilizowane narody,
i wzywam dla mojego – waszej pomo-
cy. Niech dźwigają się z gruzów polskie
miasta i wsie. Niech chłopu polskiemu
nie zbraknie sił do ujęcia pługa ni ziarna
na obsianie gleby; niech serce polskie
dozna innych uczuć prócz bólu, niech
głos polski przestanie być tylko
jękiem powszechnym. Niech matki
polskie potrafią dać dzieciom coś wię-
cej prócz łez.

Chleba i dachu dla polskiego ludu, by
mógł doczekać wiosny odrodzenia.”

Działania Komitetu wspierane zosta-
ły – co w ówczesnej sytuacji politycznej
było zrozumiałe – przez ambasadorów
rosyjskich – Aleksandra Beckendorfa
w Londynie i Aleksandra Izowolskiego
w Paryżu. W marcu 1915 roku Ignacy Pa-
derewski zwrócił się do Conrada z pro-
pozycją przyłączenia się do Komitetu.
W odpowiedzi Conrad przesłał na ręce
wybitnego pianisty i polityka telegram
następującej treści:

„Z pełnym szacunkiem dla Pana wy-
bitnej osobowości nie mogę wstąpić
do Komitetu, w którym, jak się dowia-
duję, będą występować nazwiska Ro-
sjan.”

Odmowa Conrada stała się źródłem
licznych konfliktów i nieporozumień.
Wspominał po latach przyjaciel Conra-
da i jego polityczny doradca Józef Hiero-
nim Retinger:

„Wyjechałem do Londynu, a w kilka
dni później przybył tam sam Paderew-
ski i, spotkawszy mnie, zaczął mi robić
niesłychanie gorzkie wymówki, że naj-
prawdopodobniej z mojej winy Conrad
odmówił udziału w angielskim komite-
cie dla ofiar wojennych w Polsce. Poka-
zał mi telegram otrzymany od Conrada,
w którym ów oświadczał – nie pamię-
tam już dokładnie jakimi słowami – że
nie weźmie udziału w komitecie, którego
jednym z protektorów był hr. Becken-
dorf, ówczesny ambasador rosyjski
w Londynie.[...]”

Jeszcze gorzej rzeczy się przedstawia-
ły w Vevey. Wspominał członek Komite-
tu Jan Perłowski:

„W istocie cele Komitetu były o wie-
le szersze. Chodziło nie tylko o pomoc
materialną, lecz także o propagandę.
Chcieliśmy przypomnieć światu, że Po-
lacy istnieją, że Polska chce istnieć
i ma do tego nieprzedawnione prawa.
Conrad odmówił współpracy z naszym
Komitetem pod pretekstem, że bierze
w nim jakiś udział «ambasador carskiej
Rosji» / Dawał lekcje patriotyzmu Sien-
kiewiczowi i Paderewskiemu. Pamiętam
chwilę, gdy mecenas Osuchowski, wice-
prezes Komitetu, suchy staruszek, o oczach
wciąż gorejących najszlachetniejszym za-
pamiętaniem zapamiętaliśmy, zawiado-
mił nas, trzęsąc kościanymi rękami
w powietrzu i jękając się ze wzruszenia,
że «pan Konrad Korzeniowski, znako-
mity pisarz angielski, zawiódł nasze

Conrad's telegram to Paderewski (1915)

Paderewski Garridge Hotel
London
With every deference to your
illusions personality I can not
join a committee where I
understand Russian names
Will ~~appear~~ appear. Conrad.

Telegram Conrada do Paderewskiego, 1915.

oczekiwania». Zapadła cisza. Ogarnęło nas zdumienie, jakkolwiek znaleźmy przeszłość Conrada. Przecież współdziałali z Komitetem nawet cudzoziemcy życzliwi Polsce. Skąd ta niechęć? Odpowiedź na to dał Sienkiewicz, jak zawsze spokojnie i w słowach prostych: „To zwykła rzecz. Człowiek nieraz mści się za swój własny zły uczynek.”

Wypowiedź Sienkiewicza zdawała się powtórzeniem zarzutów, jakie pod koniec wieku stawiała Conradowi Eliza Orzeszkowa w słynnym artykule „Emigracja zdolności” pomieszczonym na łamach petersburskiego „Kraju”. Autorka „Nad Niemnem” pisała tam, mając na myśli Conrada:

„Zdolność twórcza to sama korona rośliny, sam szczyt wieży, samo serce serca narodu. I ten kwiat, ten szczyt, to serce odbierać narodowi swemu i oddawać Anglosaksonom, którym ptasiego młeka nawet nie brakuje, dlatego, że drożej za nie płacą! Ależ o tym pomyśleć nawet niepodobna – bez wstydu!”

Wszystko wskazuje na to, że kierowano pod adresem Conrada lekkomyślne oskarżenia, nie zdając sobie sprawy z przyczyn takiego właśnie stosunku tego pisarza do Rosji. Nie wiadano, albo nie chciano wiedzieć, że Konrad Korzeniowski, syn bohaterów narodowej sprawy, był wraz z rodzicami zesłany jeszcze przed wybuchem powstania 1863 do Wołody, za krąg polarny. Że przedwcześnie opuścili go rodzice, ofiary moskiewskich prześladowań. Że dopiero posiadanie obywatelstwa angielskiego umożliwiło Konradowi Korzeniowskiemu bezpieczne odwiedziny rodzinnych stron. Że w eseju „Wojna i autokracja”, (1905) ostro krytykował

politykę Rosji. Że jego znakomite utwory literackie powieści „Tajny agent” (1907) i „W oczach Zachodu” (1911) dawały wstrząsający obraz rosyjskiej autokracji i dywersyjnych działań ambasady rosyjskiej w Londynie. Zaiste trudno było wymagać od człowieka o takich doświadczeniach współpracy z przedstawicielami rosyjskiej dyplomacji. A zarazem Conrad w swojej twórczości podejmował, choć w skromnych rozmiarach, problematykę polską. Dość wymienić autobiograficzny tom „Ze wspomnień”, czy opowiadanie „Książę Roman”

Pisarz nie zapomniał też o swoich zakopiańskich zobowiązaniach i usiłował w zmienionej sytuacji podejmować na gruncie angielskim pewne działania na rzecz Polski. I tak 15 sierpnia 1916 roku złożył wspólnie z Retingerem wizytę w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i przedstawił tam memoriał „Kwestia polska” zawierający projekt wskrzeszenia niepodległego państwa polskiego pod protektoratem mocarstw Ententy. W roku 1919 opublikował obszerny esej „Zbrodnia rozbiorów”, w którym bronił interesów niepodległego państwa polskiego, nawet zdobywając się na krytykę polityki mocarstw zachodnich.

Oskarżenia Conrada o brak uczuć patriotycznych przez Sienkiewicza oparte było na nieznanym sprawie. Relacjonowane z drugiej ręki przez niechętnego Conradowi polskiego dyplomata Jana Perłowskiego (podobnie jak Conrad wychowanku wuja Tadeusza Bobrowskiego) nie wydaje się w pełni wiarygodne. Tak więc konflikt tych

dwu wielkich Polaków w istotnej mierze oparty był na nieporozumieniu wynikającym z nieznaności motywów działania i dokonań autora „Lorda Jima”. Przecież i Sienkiewicz i Conrad wedle swej najlepszej woli zabiegali w owych przełomowych latach o sprawę polskie. Wydaje się, że już po śmierci Sienkiewicza w roku 1916, coś z tych oskarżeń dotarło do Conrada, skoro on uznał za stosowne wyjaśnić swoją postawę polskiemu dziennikarzowi w Stanach Zjednoczonych, Antoniemu Czarnieckiemu, któremu powiedział:

„Nie było moją rzeczą wydawanie sądu o tych, co organizowali ten Komitet. Gdy stwierdziłem, że ambasador carskiej Rosji przyjął członkostwo w Komitecie, prosiłem przywódców polskich, by mieli mnie za usprawiedliwionego, iż członkiem Komitetu być nie mogę.”

Ale zarazem dodawał:

„To właśnie zdarzenie spowodowało niektórych przywódców polskich do uznania mnie za takiego, który zapomniał o kraju swych ojców. Co jednak ja uczyniłem dla sprawy polskiej w związkach wyłącznie angielskich, oraz wyłącznie polskich, wiedzą ci, którzy razem ze mną pracowali.”

Wydaje się, że najpełniej i najsprawiedliwiej postawę Conrada w latach pierwszej wojny światowej ocenił Stefan Żeromski, pisząc o publicystyce tego pisarza na tematy polskie:

„Znakomity autor czynił wówczas co mógł: rzucał na szalę ważących się losów swe nazwisko. Jesteśmy mu wdzięczni za to przyczynienie się za nami w chwilach stanowczych i decydujących.”



ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Udrzistany

Ponieważ od lat powtarzam, że moim ulubionym śląskim słowem jest czasownik *drzistać* – „upaść, wałać”, nie ukrywam, że w czasie ostatniego konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku” (listopad 2015) szczególnie miło było mi usłyszeć imiesłowową formę *udrzistaną* – użytą w znaczeniu „ubłocony po deszczu”. Były to zmagania jubileuszowe – dwudzieste piąte, żartobliwie określane mianem ligi mistrzów, bo uczestniczyli w nich tylko laureaci z poprzednich lat. Wszyscy oni – bez wyjątku – zaprezentowali teksty wyjątkowej urody, wygłoszone śląszczyzną najszlachetniejszego gatunku.

A skoro dzisiejszy odcinek zacząłem od *drzistania*, przywołałam teraz inne charakterystyczne postacie czasownikowe. Usłyszeliśmy więc np. od pani z Zabełkowa rozkaźnikowe *nie gańbujcie się* „nie wstyďte się”, wywiedzione – oczywiście – od *gańby* z zachowanym w gwarach śląskich pierwotnym „g”, natomiast uczestnik z Radlina użył wariantu *zahańbila się* „zawstydziła się” – z „h”. Cudowne było zdanie *blystlach na zygor* – „spojrzałam na zegar”, a nie mniej wyraziste – *musieli się fest gibać za robotom* z czasownikiem *gibać się* „uwijać się”.

O bohaterze jednej z gawęd powiedziano, że *się roztopierzoł*, czyli „wymądrzał się”. W innej opowieści *syreny się zaś roztopierzały* – „syreny znów się rozlegały”. Były to ciekawe użycia przenośne, bo słowniki rejestrują znaczenia konkretne: „rozkladać się z czymś, rozciągać coś szeroko”, „zajmować wokół siebie dużo miejsca”, „rozprzestrzeniać się, rozszerzać się” (por. np. Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, str. 217).

Pani z Wodzisławia Śląskiego opowiadała o *odbywaniu* – „obrzędowaniu

trzody, karmieniu inwentarza” i *kidaniu gnoja* – „rzucaniu gnoju (na polu do wozu)” (por. żartobliwy zwrot *kidać się żurym* – „gadać głupstwa, mówić nieprawdę”). Wielu opowiadających użyło czasowników *spokopić* „zrozumieć”, *erbnąć* „wziąć”, *faronić* „pieronować” (od *farona* – wariantu *pierona*), *zezgować* „zbroić”, *zakalić* „zabrudzić”, *clić* „tęsknić”, *chechlać* „kołysać”. W monologu jednego z nich użyto 1. osoby liczby pojedynczej *pokludzom* „poopowiadam”, narratorka innej opowieści z kolei *musi chałpa kludzić* – „dom prowadzić” i dodaje: *przybydałach się*, czyli „przyzwyczaiałam się”. Czasem z robotą *nadbydzie* – „nie zdąży”.

Uderzająca – jak zawsze – była liczna obecność form różniących się tylko cząstkami morfologicznymi od postaci języka ogólnopolskiego, takich np. jak *niy wia* (charakterystyczne dla Opolszczyzny) – „nie wiem”, *mono* „może”, *prościć* „prostować”, *loce* „lata”, *pedzany* „powiedziany”, *dychnąć* „odetchnąć, odpocząć”, *pomieszkać* „mieszkać”, *ukroć* „ukroić”, *zamurzyć* „zamurować”, *umrzyli* „umarli”, *pominąć* „przeminać, umrzeć”.

Składniową wyjątkowością odznaczają się konstrukcje *jo nim niy ma* „ja nim nie jestem”, *niy ma szczęśliwo* „nie jest szczęśliwa”, *mnie je jeden* „ja jestem jeden”, *to niy ma izba* „to nie jest izba”, *tak to temu było* „tak to było”, a pełną ekspresji dosadnością – zwroty *mnie się tu mierzenie* „mnie się tu nudzi”, *zaczły dźwigać żyrdka* „zaczęły podnosić poprzeczkę”, *woża się to do prowdy, za frełami świrdzy* „za pannami się rozgląda” czy *dziś już jest pod dornikiem* „dziś już jest pod darnią – nie żyje”.

Pojawiały się też kalendarzowe frazy, takie jak *po świętym Jakubie kartofle na dubie, na Gromnice zimy połowi-*

ce, po świętym Wojciechu zboże lepiej trzymej w miechu, a także sentencjonalna konstrukcja *jak bydzie żytko, to bydzie wszystko*.

Nietrudno się domyślić, że klimat tychże opowieści był na ogół melancholijno-wspomnieniowy, archaizujący. A przecież w jednej z gawęd pojawił się *dizajn*, a w innych – zdania *takich ksiązek jest full* i *dziś prawdziwych kowoli już nie ma* z modnymi anglicyzmami *dizajn* i *full* oraz z aż nadto wyraźnym nawiązaniem do słów popularnej współczesnej piosenki *dziś prawdziwych Cyganów już nie ma*. Bo *Ślązoki się miyniom!* – chciałoby się w tym momencie zacytować słowa uczestniczki konkursu z Jastrzębia Zdroju.

Ale nadal mówią o *szumnych zięciach* „przystojnych, ładnych zięciach”, *rozlicznych godkach* „rozlicznych, rozmaitych opowieściach”, *przanych ludziskach* „kochanych, lubianych ludziach”, *smrodlawym lufcie* „smrodliwym, śmierdzącym powietrzu”, o kimś *pieściatym* „lubiącym pieszczoty” albo *wrazidlatym* „wścibskim”, *wrażliwatym* „wrażliwym”, o kimś, o czymś *hernym* „bogatym, dostatnim” czy *uśmordanym* „brudnym”.

Przed Wigilią mówią o *kaprach* „karpach”, a cały rok używają porównań *nie głupi jak za starą Polską* i *słaby jak cwist* (*cwist* – „przędza do cerowania”). Na *Siewierz* mówią *Siewior*, a od nazw *Radzionków*, *Bobrek*, *Szombierki* wywiodą czasem dawne przymiotniki *radziński*, *bobrecki* i *szombierski* – tak jak konsekwentnie utrzymują dopełniacz rzeczowników rodzaju żeńskiego z archaiczną, staropolską końcówką „-e”: *do Italie, z elektrownie, z kuźnie, z piwnice, do kuchnie, do świetlice* – „do Italii, z elektrowni, z kuźni, z piwnicy, do kuchni, do świetlicy”.

Po latach, kiedy droga życia znów zaprowadzi ją do Katowic, będzie wielokrotnie wspominać: „Jakie czyste było kiedyś to miasto: w atlasowych prunelkach szłam z domu do teatru”.



Lili Larys – Helena Maliszewska, Poznań, 1933

Nie chciała mieszkać w Katowicach – Lili Larys!

JERZY PŁACZKIEWICZ

30 sierpnia 1939 r. dwie skrzynie z materiałami osobistymi zostały nadane w Poznaniu z miejscem przeznaczenia: Biała Podlaska, w ślad za moimi rodzicami, którzy zdecydowali się na ucieczkę na wschód. Tylko jedna skrzynia dotarła na miejsce. W tej zaginionej znajdowało się wiele materiałów dokumentujących działalność artystyczną Lili Larys. Przepadły na zawsze.

Pozostały jedynie relacje, wspomnienia i odnajdywane czasem skrawki druku, wyblakłe fotografie, jakby domagające się swej faktycznej historii, kontekstu w jakim kiedyś pojawiły się na świecie. Ocalała seria korespondencji – listy, kartki pocztowe z zapisem niezwykłych ludzkich losów.

Byłem najmłodszy w naszej rodzinie i to głównie ja byłem zainteresowany wspomnieniami mojej matki. Wracła do nich niechętnie, gdyż mój ojciec – jej drugi mąż – miał krytyczny stosunek do artystycznej przeszłości swojej żony.

Krym

Urodziła się w 1909 roku na Krymie, w Jalcie, dokąd jej rodzice – Andrzej i Teodozja Maliszewscy – zdecydowali się wyjechać w 1905 roku ze względów zdrowotnych. Świetnie im się powodziło; wykształcenie Andrzeja i jego zamiłowanie do interesu pozwoliły mu uruchomić firmę kosmetyczno-fryzjerską, z nowościami prosto z Paryża. Żyli w otoczeniu pysznej natury i wspaniałych ludzi. Tam wzrastała mała Lili. Dom Maliszewskich odwiedzali artyści – młody Aleksander Wertyński i Iwan Mozzuchin, który w ich salonie prezentował kroki nowego tańca – tanga. Zanim spłynie krwią i błotem rewolucji, Krym długo jeszcze będzie pachniał figami i magnolią. Turcy i Tatarzy będą oferować swoje egzotyczne słodycze. Król hiszpański, Alfons XIII, zdąży jeszcze odwiedzić jałtański port.

Lili pobiera lekcje fortepianu i uczęszcza na zajęcia do szkoły baletowej, co od początku traktuje poważnie. Ma talent i dużo wdzięku.

Jej ojciec, Andrzej, zdążył uciec przed falangą bolszewicką w 1918 roku i zbiegł do Francji. W Jalcie została żona z trójką dzieci – przeszli i przeżyli terror, głód i anarchię wojny domowej.

*Antibes, .../.... 1919
Madame et Mlle Maliszewska
Yalta, Crimea – Hotel Djalita*

*Kochana Toleńko i Dzieciaczki moje!
Dziś rok upłynął od mojego rozstania
się z Wami i nic nie wiem o Was.*

*Ja myślę moją ślę Wam moje życzenia,
bądźcie zdrowi,
Tatus, Andrzej Maliszewski.*

Warszawa

Podróż do Warszawy matki z trójką dzieci trwała trzy miesiące; przybyli

jesienią 1922 roku, wynędniali i głodni, przysięgając nigdy już jej nie opuścić.

Lili została oddana do prowadzonej przez zakonnice szkoły z internatem w Wąchocku. Po roku wróciła stamtąd stęskniona za tańcem. Po wykonaniu zaledwie kilku pas, Lili została przyjęta na zajęcia u baletmistrza Aleksandryjskiego; czyniła błyskawiczne postępy.

Pierwsze występy grupy baletowej, w których uczestniczyła Lili Maliszewska miały miejsce w Warszawie pod koniec 1926 roku. Wkrótce nastąpiły wyjazdy do różnych miejsc w kraju. Z tych objazdowych występów wspominała szczególnie miło współpracę i kontakty z Janiną Madziarówną, Wincentym Łoskotem i Józefem Sendeckim, zasłużonymi już artystami sceny.

Zaledwie po roku zaczęła występować solo, w duetach i tercetach tanecznych, w takich teatrach i kabaretach przedwojennej Warszawy jak Momus, Czarny Kot, Czerwony As, Nitouche. I znowu wyjazdy, już jako Lily Larys, bo taki pseudonim podpowiedział jej impresario i opiekun artystyczny, Blachman. Jak mawiała, objechała z występami „całą ówczesną Polskę”. Jej popisowym numerem był „Umierający łabędź” Saint-Saënsa, z którym objechała cały kraj. W roku 1933, w czasie występu w poznańskim Palais de Danse, została sfilmowana w tym właśnie tańcu.

Doskonały tancerz, Konrad Ostrowski wybrał ją na swoją partnerkę; tworzyli razem pełne ekspresji duety. Ocalałe recenzje odnotowują aplauz publiczności i bardzo pochlebne zdanie ówczesnej krytyki. Następnym partnerem był wybitny tancerz Andrzej Snieżyński! Wśród muzyków, którzy jej akompaniowali do tańca byli Zygmunt Karasiński, Szymon Katuszek, Arnold Lewak.

Miała wdzięk i powab, elegancję i osobisty czar. Zadzurzony student ze Lwowa zanuci jej do ucha w Parku Stryjskim w 1929 roku: „Ich küsse Ihre Hand, Madam...”, muzyk Arnold Lewak ofiaruje w Łodzi pierścionek z szafirem cejlońskim i wrytymi inicjałami, fotografowie proponują jej sesje zdjęciowe. W Katowicach ktoś wpisał jej do notatnika refren piosenki: „Jak źle i trudno mi żyć bez twojej miłości...”.

Wybrała Mieczysława Stefanickiego, młodego porucznika lotnictwa polskiego, z którym była zaręczona przez kilka lat. Rozstanie nastąpiło pod koniec 1933 roku, gdy Lili „dla innego” zdecydowała się zerwać i z narzeczoną, i z karierą artystyczną. Oficer lotnik zginie w 1940 roku zamordowany w Katyniu, a Lili do końca życia, kiedy tylko spotka ją coś złego, będzie sobie wypominać: „To kara za Mietka”.

Katowice i Poznań

znów Katowice – właśnie ukończono budowę nowoczesnego domu na rogu ulic Jana i Dworcowej. Zostaje zaproszo-

na do Parku Kościuszki na sesję zdjęciową, z której ocalało nawet kilka fotografii... „Trubadur Warszawski” podaje adres kontaktowy: Lili Larys, tancerka – Katowice, kabaret Mascotte! Po latach, kiedy droga życia znów zaprowadzi ją do Katowic, będzie wielokrotnie wspominać: „Jakie czyste było kiedyś to miasto: w atlasowych prunelkach szłam z domu do teatru”.

W książce Bożeny Mamontowicz-Łojek pt. „Terpsychora i lekkie muzy”, wydanej w 1970 roku Lili odnajdzie nazwiska swych partnerów i koleżanek ze sceny, z którymi występowała w latach 1927–1933; zakreśli je i będzie wspominać: Nelly Ignatowska, Ina Ney, Irena Topolnicka, Iga Korczyńska, Zdzisław Żadejko.

Przestała występować ze względu na swego pierwszego męża, Stefana Osmólskiego, który dziesięć lat później przejdzie szlak Armii Andersa przez Monte Cassino do Londynu. Związek ten skłonił ją do zmiany zawodu: w 1934 roku Helena Maliszewska ukończyła kurs zorganizowany przez Institut de Beauté KLYTIA w Paryżu i jeszcze w tym samym roku uruchomiła własny gabinet kosmetyczny o nazwie „Madeleine”, w Poznaniu przy ulicy 27 Grudnia.

Jest samodzielna i stać ją na niezależność. Chętnie udziela pomocy materialnej swym kolegom ze sceny. Zachował się odcinek pocztowy przekazu pieniężnego z maja 1939 r. od tancerki, Ireny Topolnickiej, z notką:

Wczoraj wróciłam z Łodzi, gdzie byłam 5 dni na występach. Zdobyłam trochę floty i zaraz przesyłam Tobie swój dług, o którym na razie zupełnie zapomniałam. Ściskam Ciebie i malutką i czekam odpowiedzi na mój list, Irka.

Słynny bas baryton, Paweł Prokopieński, nie będzie tak słowny i długu nie ureguluje. Ale zostawi ślad relacji na swej fotografii z zabójczym spojrzeniem amanta i z dedykacją:

Bardzo Miłej i Kochanej Pani Helenie Maliszewskiej, w dowód sympatii za tyle okazanego serca podczas pobytu w Poznaniu, Paweł Prokopieński.

Poznań, 16.X.1936.

Zaleszczyki

W 1934 roku urodziła się jej córka, Irusia. Każde wakacje spędza z dzieckiem na dalekich wyjazdach.



Lili Maliszewska, po prawej – Jalta 1915



Lili Larys (Helena Maliszewska) jako Cyganka

Latem 1938 jadą we dwójkę do Zaleszczyk – w słomkowych kapeluszach i z siatkami na motyle.

Tam właśnie Lili pozna swego partnera na resztę życia: to Zygmunt Placzkiewicz, prawnik i ekonomista, absolwent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Przeprowadzi się dla niej do Poznania, będzie ją uczyć francuskiego, a ona, w swej pięknej kaligrafii, przepiśnie „na czysto” jego wiersze pisane o niej i dla niej.

*Tej nocy z nieba pocałunki lecą
Błogosławione, najśodsze, tajemne,
Koją westchnienia
I suszą łzy nasze – wzajemne.*

Nowy taniec lambeth walk będzie rytmem ich pierwszego małżeńskiego karnawału. A gorące lato 1939 spędzone w Jastarni będzie ich ostatnim, przedwojennym latem; ostatnim pociągiem wrócą do Poznania, gdzie rozpoczęto już kopanie rowów przeciwnolotniczych.

Poznań, 28.VIII.39 r.

*Kochana Lili,
Pisz i to prędko jak dojechałaś i gdzie upatrzyłaś sobie stałe locum. Poznań w kilka godzin po Twoim wyjeździe cały rozkopany a nastrój podniecenia wzrasta. Dziś po południu zabieram się do pakowania swoich rzeczy a następnie Twoich pozostałości i przedmiotów gabinetowych (...)*

Poznań, 29.VIII.39 r., godz. 23-cia.

*Lili Najdroższa!
Stęskniłem się już bardzo za Tobą, mimo że tak niedawno żegnałem Cię na dworcu, niedawno bo przecież dopiero wczoraj. Dziś spieszę w Twe strony ...*

Sytuacja w Poznaniu jest b. groźna: zarządono ostre pogotowie, na wszystkich placach zrobiono rowy (Placu Wolności nie poznałabyś), w każdej chwili można spodziewać się nalotów lotniczych

i ograniczenia komunikacji. (...) Bądź tedy spokojna i oczekuj od P. H. listu poleconego z kwitem na nowy bagaż i mnie w Białej P [odlaskiej] 31 bm., gdzie Ciebie odwiedzę na jeden dzień.

Daj serdecznego buziaka, Z.

Biała Podlaska i Lublin

Więc ucieczka na wschód – giną pamiątki i dobytek. Czas wojny i grozę okupacji przeżyją w Białej Podlaskiej – w zaułku pomiędzy więzieniem, gettem i cmentarzem. Często będą się rozstawać: to Lublin, to znowu okoliczne wioski. Na listach i kartkach pocztowych pojawiły się nowe znaczki – z napisem General Gouvernement albo Deutches Reich, z profilem Adolfa Hitlera:

Zuków, 20.VI.44 r.

Kochany Zygmsiu!

(...) Wszystko to, co zdobyliśmy z takim trudem, nie wolno nam bez głębszego rozważenia za bezcen tracić. Jesteśmy teraz we troje i o tym zapominać nie można. Dla Bogusia trzeba już szykować ciepłe rzeczy na zimę. Tu za żadną cenę nic nie zdobędziesz. (...) Ciekawa jestem ile gospodarze będą liczyć za kurczęta! W innych wsiach podobno po 20 zł. Jak będzie z cukrem? Na wsi kupić nie można.

Wieczorami mógłbyś gotować sobie kaszę, na litr wrzątku porcelanowy kubeczek i odstawić na wolny ogień. Mógłbyś kupić u p. Kamińskich mleka. Kaszę, kluski kładzione, to zdaje się potrafisz. Kartoflanek z zacierką i słoniną z cebulką okrasić, to pożywne.

Zyczymy Ci spokojnych nocy i wytrwania, polecając Bozi. Całuję Cię razem z Bogusiem mocno,

Twoja Lili

Biała Podlaska, 5.VII.44 r.

Moja Kochana Lili!

(...) Dziękuję Bogu Wszchemocnemu, że Was w porę stąd wywiozłem: nie mówiąc już o kwestii utraty życia, można dostać pomieszania zmysłów od ciągłych ataków, warkotu na niebie i ziemi. Z każdym dniem jest coraz gorzej w tej sprawie. Wszyscy nasi wspólni znajomi opuścili już Białą, udając się w rozmaitych kierunkach. W urzędzie siedzimy prawie już spakowani oczekując rozkazu wyjazdu. W mieszkaniu naszym nie ma okien i futryn. Czymże więc są wobec tych oględnie podanych faktów wszelkie jałowe spory i urazy? Lepiej módl się z Bogusiem, abym mógł do Was kiedyś cało i szczęśliwie dojechać, jestem bowiem Wam w życiu, chyba jeszcze potrzebny? (...)

Siostra Lili, Cecylia, też uciekła z Poznania, schronienie na czas wojny znalazła ze swą rodziną w Stalowej Woli. Na ile to było możliwe w takich warunkach, piszą do siebie:

Lublin, 18.V.44 r.

Kochana Cesi!

(...) Myśmy przeżyli noc grozy dn. 11 bm.! Miasto było z góry oświetlone. Po pewnym czasie rozpoczęło się bombardowanie – jak również z dołu, obrona przeciwlotnicza. Zdążyliśmy tylko zapaść płaszcze a ja trochę ubrać dziecko i zbiec na dół klatki schodowej. Tak w bramie staliśmy w trwodze oczekując lada chwila najgorszego. Sporo osób zginęło – dużo rannych. W kilku punktach miasta były bomby rozpryskowe, które sięgnęły zniszczenie i śmierć. Widok trafionych domów jest okropny – w promieniu kilkuset metrów nie ma szyby a nawet okien z ramami. Od nas nie daleko spadło 6 bomb – detonacje straszne, świst i pęd powietrza – ogłuszające, światło oślepiające! Część ludności z miasta wywędrowała, część co dzień na noc ucieka z poduszką i kocem do znajomych na pobliskie wsie, inni znów po rowach kryją się, a kto ma schrony – tam dąży już z samego wieczora.(...)

Trzy katowickie adresy

Już na początku roku 1945, Zygmunt szuka nowych dróg. Rząd Tymczasowy RP proponuje mu zagospodarowanie całego transportu na Górnym Śląsku. Podjął wówczas szybką decyzję: Katowice. Ach, zostawić za sobą to co zrujnowane i minione! Rzeczywiście, w tym nowym miejscu ich życie się wypełni. Tak pisze do żony pozostającej w Lublinie z ich pierwszym dzieckiem, Bogusiem:

Katowice, dnia 3 marca 1945 r.

(...) Życie na Śląsku w czasie mojej nieobecności nie zmieniło się. Sklepy, zakłady, warsztaty nadal zamknięte. Czynnych jest jedynie kilka hoteli, które prowadzą stolówki dla urzędników, poza tym ludność nie dostaje żadnych przydziałów i już głodnieje. Nie ma chleba (jedynie dla urzędników), kropli mleka ani tłuszczów. Brak też jest zupełny nowych pieniędzy. Są jednak już pierwsze oznaki, że stan ten poprawia się. Kwestia mieszkaniowa natomiast przedstawia się zupełnie inaczej niż w Lublinie. Mieszkań jest wiele, ale są przeważnie splądrowane. Obecnie otwierają się dalsze możliwości w tym kierunku skutkiem wysiedlania „Volksdeutschów” i koszarowania ich w obozach pracy.(...) Obecnie mieszkam jako sublokator przy jednej północno-wschodniej rodzinie przy ul. Młynskiej 16 m. 6.

(...) Jak widzisz z tych krótkich wzmianek, poza mieszkaniem wytwornym, które zawsze może być, nie ma warunków aprowizacyjnych, zwłaszcza dla naszego Bogusia, abym mógł Was tutaj już sprowadzić. Tym bardziej że front jest na jednym (południowym) odcinku wciąż blisko (37 km), a żołdac-

two wciąż grabi wyczuwając anarchię. Sądzę jednak, że do dwóch miesięcy stosunki powinny się unormować tutaj i będzie możliwość sprowadzenia Was, czego ogromnie pragnę. Możliwości bowiem na przyszłość widzę dla siebie duże. Mam bowiem tutaj taką dużą ilość samochodów, ogromnych garaży, warsztatów, jakich nie miała nawet dawna Warszawa; potrzeba jednak to wszystko zorganizować. Toteż pracuję od rana do wieczora, myśląc o przyszłości, poznając stosunki miejscowe i powoli aklimatyzując się na tym terenie.(...)

Całuję i ściskam Was najserdeczniej,
Zygmunt.

Katowice, 17.III.45 r.

(...) Sporo szczegółów z życia na Śląsku – mojego osobistego – podałem Tobie już w poprzednim liście. Od tego czasu niewiele się zmieniło. Handel prywatny nadal prawie nie istnieje, nic też dostać nie można – brak pieniędzy w obiegu. Poza fryzjerami, lekarzami, dentystami przybyłymi ze wschodu, brak nadal szwerców, krawców itd.

Otwierają się powoli nowe kawiarnie i restauracje, w których zresztą nic dostać nie można. Mimo tych trudności aprowizacyjnych napłynęła tutaj cała fala ludzi z innych dzielnic Polski w poszukiwaniu posad, zarobków itp. Izapelnia mieszkania ponemieckie. Ja od tygodnia mam również przydzielone mieszkanie przy ul. Mikołowskiej 17 m. 4 w centrum miasta, wyjątkowo wiele nie obrabowane. (...)

Listy, telefony, telegramy – podniecenie ogromne! Po tylu latach ponieważ zaczynają się nowe życie...

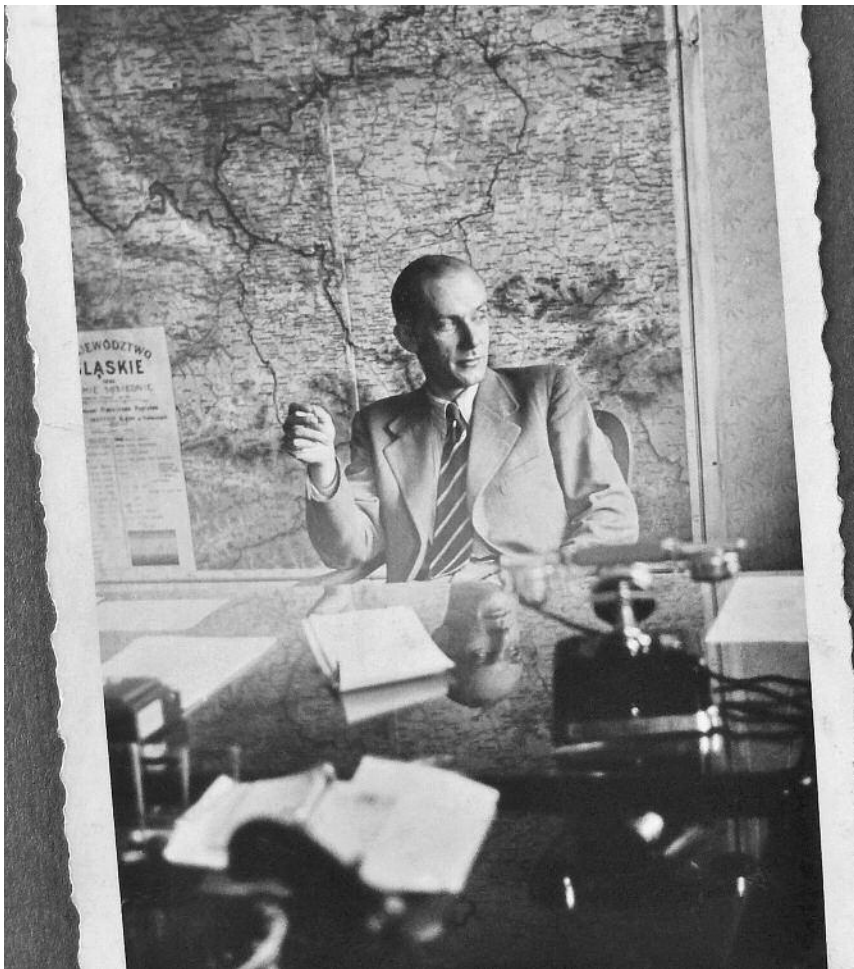
Katowice, 22.III.45 r.

Kochana Lili,

Cieszę się, że Ty i nasz Boguś, mimo trudności lubelskich, jesteście zdrowi i tęsknicie również za mną. Bliska jest już chwila, kiedy znów się spotkamy i będziemy razem żyć w innych warunkach. A warunki moje zmieniają się z dnia na dzień na lepsze. Mam obecnie wytworne 7-mio pokojowe mieszkanie – przy ul. Mikołowskiej 17 m. 4 i jestem w trakcie jego urządzania. Ponieważ sytuacja aprowizacyjna na Śląsku poprawia się



Lili Larys (Helena Maliszewska), Warszawa 1928



Zygmunt Placzkiewicz, Naczelnik Urzędu Samochodowego, Katowice 1947

z dnia na dzień, mam zamiar Was zabrać do siebie zaraz po świętach W.N.

Proszę Cię tylko pakuj zawczasu wszystkie rzeczy do wyjazdu oraz skupuj: 1) jaja, 2) masło, 3) smalec, 4) mleko skondensowane, 5) czekoladę, 6) cukier, 7) konserwy rybne. Artykuły pod 4, 5, 6, 7, kupuj w sklepie sowieckim.(...) A więc do zobaczenia!

Całuję Was najserdeczniej, Wasz Zygmunt i Tiatia.

P.S. 1/ Byłem w Poznaniu. Dom i mieszkanie nasze nie istnieje. Nawet nie ma śladu.

2/ Dom Osmólskiego na Libelta spalony. Z.

Informacja o zburzonym domu z ich mieszkaniem okaże się nieprawdą, trikiem Zygmunta, by zupełnie już odwieść Lilkę od jej chęci powrotu do Poznania, czy też do całkowicie zrujnowanej wówczas Warszawy.

W ostatniej chwili korzystają z okazji na jeszcze lepsze mieszkanie i wiosną 1945 roku wprowadzają się pod adres Matejki 4 m. 7. W swym kolejnym kalendarzyku, tegoż roku, Lili notuje pod datą 9 maja – Koniec wojny! To mieszkanie będzie ich ostatnim.

Zygmunt otrzymał ważne stanowisko Naczelnika Urzędu Samochodowego na Okręg Śląska – podlegał mu cały transport na tym terenie, wkrótce został

też prezesem Automobilklubu Śląskiego. Lili jest zachwycona – jeżdżą po nowych terenach ziem zachodnich, od południa na północ, uczestniczą w rajdach samochodowych. Ona stroi się i pięknieje, planują też mieć drugie dziecko.

Stalinogród

Nowy ład, nowe nadzieje. Lili jeszcze raz uruchamia gabinet kosmetyczny, już na nowym miejscu, pod nowym katowickim adresem. Na krótko jednak: stalinizm zmiecie powojenny entuzjazm i chęć do przedsiębiorczości. To chyba wtedy Lili zacznie sobie uświadamiać, że to nie jest jej miejsce. Przedwojenne Katowice to była młodzięcza przygoda, po wojnie trzeba było stawić czoła zupełnie innym wyzwaniom i przeciwnościom. W 1949 roku zmuszona została do zamknięcia swego miejsca pracy i źródła pewnej niezależności – gabinetu kosmetycznego. Mąż stracił stanowisko i zdecydował się wrócić do adwokatury. Rok później, do przestronnego mieszkania dokwaterowano im lokatorów. Miasto coraz bardziej szarżało w jej oczach, śląska gwara stała się przykrym dla jej uszu, nazywała ją prostacką i ordynarną. Wszędzie była gotowa zauważyć brud. Oficjalna zmiana nazwy miasta na Stalinogród dopełniła miary

niesmaku i rozczarowania. Wszak uciekła z Krymu w biedzie i głodzie przed „falą komuny”! Coraz większy kontrast jawił się w jej oczach pomiędzy tym nowym miejscem a tym, co pozostało w jej pamięci tak wielkie i piękne, i to co знаła – Odessa, Lwów, Warszawa.

Chętnie przychodziła do szkoły, aby „na dużej przerwie” porozmawiać z nauczycielkami swych synów: panią Trądowską i panią Jarosławską. Była przez nie z entuzjazmem witana: żona pana mecenasa, w lakierkach, w sukienkach z surowego jedwabiu i w panamie na ufryzowanej główce, pachnąca i tak inna od matek innych uczniów szkoły podstawowej przy ul. Dąbrówki. Znajdowały wspólny język – ku wielkiej wzajemnej przyjemności.

Sen o Saskiej Kępie, opera i Jugostawia

Zniepokojem przyjmowała wiadomości o dezercji z Katowic jej najbliższych znajomych: Radzikowscy, Przygodzińscy, Eberhardtowie – wszyscy już z powrotem w Warszawie! W tajemnicy przed mężem snuła plan, który zresztą nigdy się nie spełnił: mieszkanie na Saskiej Kępie! Już ma plan, rozkład, już planuje jak ustawi meble... Mąż jednak nie wyraził zgody. I niejako w zadośćuczynieniu będzie ją zabierał do teatru i na koncerty. Na wszystkie inscenizacje oper: Lili upodoba sobie głos Andrzeja Hiolskiego, Zygmunt długo będzie się zachwycał śpiewem Natalii Stokowackiej. W 1960 roku zabiera ją zoną samochodem do Jugostawii, jeżdżą całe cztery tygodnie po krajach ówczesnego turystycznego dostępu. Po powrocie wyzna swoim kolegom: zakochałem się w Lilce po raz drugi! Ale już szybko o tym zapomni i będzie ją zostawiać w domu samą z nawalonymi problemami dnia codziennego. To wtedy Lili będzie wracała myślą, a czasem i słowem, do miejsc, w których wolałaby być. I do czasu, z którego umiała czerpać więcej radości.

Podejrzana śmierć

Na przełomie lat 1962/63 wszyscy przeżyją szok a najbardziej to przeżyje jego żona: znany adwokat katowicki aresztowany! W tym areszcie, Zygmunt P. umrze śmiercią nagłą, która dla Lili pozostanie już na zawsze sprawą podejrzaną i niewystarczająco wyjaśnioną. – „Ach, te Katowice, same nieszczęścia, w Poznaniu nigdy by do tego nie doszło!” W ostatnim swym liście do męża z dnia 28.I.63 r. – z Katowic do Katowic – pisze:

*Kochany Zygmusiu,
Serdecznie dziękuję Ci za życzenia w dwudziestą czwartą naszą rocznicę. Ten dzień spędziłam na rozmyślaniu i wspomnianiu porównując nasze życie*

przedwojenne, wojenne i powojenne. Nie będę opisywać tych trzech faz, znane są one Tobie dobrze!... W Święta, Nowy Rok i naszą rocznicę szczególnie łączyłam się duchowo z Tobą. Nakrycie świąteczne z opłatkiem na Twoim miejscu przy stole do tej pory stoj i czeka na Ciebie! W pierwszy dzień Świąt i Nowy Rok byłam w południe blisko Ciebie. I tak chodząc tam wokół zawsze rozmyślałam, przypominając sobie nasze mieszkanie okupacyjne obok więzienia, getta, dwóch cmentarzy, katolickiego i żydowskiego oraz posterunku policji. Ile nas zdrowia i nerwów kosztowało to sąsiedztwo! Dlaczego tych myśli nie mogę się pozbyć? (...)

Została sama z dwoma synami, ciągle jeszcze uczącymi się, starsza córka budowała już swoje własne życie. Praktycznie bez środków, z dwoma zawodami, z których żaden nie był już do podjęcia. Zaczęła wynajmować pokoje ciągle jeszcze przestronnego mieszkania przy Matejki 4., studentom, artystom, literatom. Przez dobre kilka lat w „pokoju po babci” zamieszkiwał poeta Tadeusz Kijonka, odwiedzany czasem przez redaktora i literata Wilhelma Szewczyka – zawsze ze swym nieodłącznym cygarem. Stała się gospodynią, kierowniczką, pracownicą, wszystkim, tylko nie panią elegancyjnego, do tamtego czasu, domu. Jej zapobiegliwość i troska o utrzymanie jakiegoś poziomu tego gospodarstwa

były godne podziwu. Komunikacja z lokatorami, w tym z jej własnym najmłodszym synem, przybierała z czasem formę korespondencji – z pokoju do pokoju. Co napisane, jakby trwalsze, wyraźniejsze:

Katowice, 31.I.83 r.

Jurek!

Dobra rada z serca matki! Idziesz do pracy po półtora roku nieobecności i przeżytych cierpieniach (które uszlachetniają człowieka!) – więc proszę Cię, bądź miły i uczynny, wykaż się dobrą pracą i bez wulgarnych słówek – bo wszystkie oczy będą po takim czasie zwrócone na Ciebie. A najważniejsze, nie bierz kogoś na swój warsztat uszczypliwości, abyś na tej placówce nie miał wroga, tak jak to było w poprzedniej, bo lepszej pracy dla siebie dziś nie znajdziesz. Proszę, jak dobrego syna, dbaj o swoją opinię! Dobra praca duchowo wzbogaca. Błogosławię Ci a na pewno uszlachetnisz się. Mama.

Jej artystyczna przeszłość na scenie zaczęła wtedy przechodzić na stronę coraz bardziej skrywanych wspomnień i sentymentów. A jej były partner, Andrzej Śnieżyński jest przecież wciąż niedaleko, w Operze Bytomskiej, jej akompaniator, Arnold Lewak – mieszka zaledwie o kilka ulic dalej... Może by zadzwonić, pojechać? Nie, to już koniec. Czasem powróci jeszcze do daw-

nych notatek, kilku ocalałych fotografii, przerabianych sukienek z przedwojennego krepdeszynu. Czasem zwierzy się z czegoś swemu najmłodszemu synowi, który to wszystko, jakby pod jakimś natchnieniem, zapamięta na długie lata. W tym wszystkim nie przestanie się uśmiechać do ludzi napotykanym, zachowa życzliwy i przyjazny dla nich ton i troskę w barwie głosu, zawsze chętna zamienić kilka słów, w czymś doradzić i o coś spytać, swym melodyjnym głosem, w pięknej polszczyźnie z leciutkim, rosyjskim zaśpiewem...

Nie chciała mieszkać w Katowicach, a przeżyła w tym mieście 41 lat – Helena z Maliszewskich Płaczkiewiczowa – Lili Larys: 1909–1986.

Spoczywa na cmentarzu parafii św. Piotra i Pawła w Katowicach.

Jerzy Płaczkiewicz (ur. w 1946, w Katowicach) – historyk tanga w Polsce. Kolekcjoner płyt, nut, wydawnictw i zdjęć dotyczących tanga i muzyki przedwojennej. Autor muzycznych audycji radiowych i telewizyjnych oraz artykułów poświęconych w większości muzyce okresu przedwojennego. Jest synem Lili Larys.



Zygmunt Płaczkiewicz z żoną Heleną otwierają rajd samochodowy, Katowice, 1947



Śląska Orkiestra Kameralna 2016

35. urodziny Śląskiej Orkiestry Kameralnej

MAREK LYSZCZYNA

Śląska Orkiestra Kameralna, jeden z trzech etatowych zespołów Filharmonii Śląskiej, obchodzi w tym roku trzydziestopięciolecie swojego istnienia. Urodziny – jak przystało na orkiestrę – uczci 3 czerwca br. wykonaniem *Symfonii Kameralnej* oraz *Koncertu na fortepian, trąbkę i orkiestrę smyczkową* Dmitrija Szostakiewicza pod dyktando swojego kierownika Roberta Kabary, z Beatą Bilińską oraz Janem Harasimowiczem w roli solistów.

Z okazji tej rocznicy warto przypomnieć początki zespołu katowickich kameralistów. Orkiestra powstała w 1981 roku z inicjatywy prof. Karola Stryji – ówczesnego dyrektora Filharmonii Śląskiej oraz prof. Jana Wincentego Haweła – dyrygenta i kompozytora, który stał się na wiele lat jej kierownikiem i pierwszym dyrygentem. Orkiestra powstała w niełatwych czasach, zarówno ze względu na sytuację polityczną (stan wojenny) jak i specyfikę muzyki kameralnej, w wykonywaniu której do dziś specjalizuje się niewiele zespołów etatowych. Częściej są one tworzone doraźnie lub istnieją efemerycznie i spotykają się przy okazji zaledwie kilku wykonań w danym sezonie artystycznym.

Śląskiej Orkiestrze Kameralnej było o tyle łatwiej, że prof. Hawel, w tym roku również obchodzący swój jubileusz, był długoletnim szefem Akademickiej Orkiestry Symfonicznej, która dzięki te-

mu mogła stać się zapleczem oraz kuźnią kadr dla kameralistów. Jak się okazało, na tyle dobrych, że w latach PRL-u – jak wspomina prof. Hawel – dzisiaj będący Honorowym Szefem Śląskiej Orkiestry Kameralnej – zdarzało się, że niektórzy z nich nie wracali z *tournée*, wybierając emigrację i pracę w orkiestrach „za żelazną kurtyną”.

Nowy rozdział w historii orkiestry rozpoczął się wraz z objęciem w 2006 roku funkcji kierownika i pierwszego dyrygenta przez Włocha Massimiliano Caldiego – zwycięzcę Międzynarodowego Konkursu Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga w 1999 roku. Urodzony w Mediolanie dyrygent prowadził orkiestrę do 2010 roku.

W 2013 roku szefem kameralistów został Robert Kabara – twórca krakowskiej *Sinfonietty Cracovii*, wybitny altowiolista i skrzypek, mający na swoim koncie współpracę m.in. z Maksymem

Wengerowem oraz dyrygent, wychowanek Jerzego Maksymiuka. Robert Kabara przeprowadził orkiestrę przez trudny okres remontu siedziby przy ulicy Sokolskiej – kiedy żaden z zespołów Filharmonii nie miał stałego adresu, a próby odbywały się cyklicznie w różnych miejscach, w budynkach zaprzyjaźnionych instytucji. – *W Katowicach jest mnóstwo wspaniałych wnętrz, muzyki możemy słuchać w różnych entourage'ach* – mówił mi Robert Kabara rok temu w wywiadzie, kiedy wspominał okres remontu.

Orkiestra ma na swoim koncie wiele nagrań (w tym również nominowanych bądź nagradzanych, także do tej najważniejszej nagrody w polskim przemyśle fonograficznym – Fryderyka), wiele występów w prestiżowych salach koncertowych oraz na słynnych festiwalach muzycznych jak Festival des Voutes, Międzynarodowy Festiwal Muzyczny w Czeskim Krumlowie, Festiwal Muzyczny w Łańcucie, Concertgebouw w Amsterdamie, Konserwatorium Mediolańskie, Konzerthaus w Berlinie.

Ze Śląską Orkiestrą Kameralną na przestrzeni lat występowało wielu wybitnych dyrygentów i solistów: m.in.: Kevin Kenner, Garrick Ohlsson, Bruno Canino, Marianna Vasilieva, Wolfgang Güttler, Konstanty Andrzej Kulka, Krzysztof Jakowicz, Kaja Danczowska, Agata Szymczewska, Leszek Możdżer, Andrzej Jagodziński, Paul Esswood, Jerzy Maksymiuk, Mirosław J. Błaszczak.

Kameralistom życzymy kolejnych jubileuszy oraz wielu subtelných, artystycznych wrażeń i dokonań!



■ Prof. Jan Wincenty Hawel – współtwórca i pierwszy dyrektor zespołu.



Massimiliano Caldi – pod jego batutą śląscy kameraliści grali w latach 2006-2010.



Od 2013 roku szefem zespołu jest Robert Kabara.

Foto. Wojciech Mateusik

Książd Emil Szramek mocno artykułował przekonanie, że „chrześcijaństwo przyszło do Polski przez Śląsk”. To myśl celna i uzasadniona. Nie powinna zatem umknąć uwagi trzymających pieczę nad obchodami 1050-lecia chrztu Polski. Kulminacją tych uroczystości przypada na kwiecień tego roku. Śląsk bardzo wcześnie żył duchowością i doświadczeniem intelektualnym chrześcijańskiej Europy. Uniwersytety europejskie od Bolonii po Pragę gościły w średniowieczu Ślązaków w liczbie znacznie większej niż mieszkańców pozostałych polskich ziem. Od 1364, a zwłaszcza 1399 roku, najbliższą było ze Śląska na Uniwersytet Krakowski nazywany wówczas *studium generale*. Henryk Barycz pisał: „[...] w epoce największego wzrostu Uniwersytetu, w latach 1400–1525 liczba studium tam młodzieży była imponująca: trzy i pół tysiąca immatrykulowanych Ślązaków na ogólną liczbę wpisanych w tym czasie niewiele ponad 25 tysięcy scholarów, a zatem prawie 14% wszystkich studentów. Ale i po utracie przez uniwersytet znaczenia międzynarodowego frekwencja młodzieży śląskiej choć zmniejszyła się poważnie, była przecież dalej duża. Ogółem w ciągu wieku XV i XVI uczęszczało na ogólną liczbę 37 648 studentów blisko 4000 Ślązaków, czyli przeszło 10% całości scholarów”. Jak dalej skrupulatnie uczony wyliczał, pomiędzy 1535 a 1600 rokiem przewinęło się też przez korytarze Uniwersytetu Krakowskiego przynajmniej 20 „kanoników katedry wrocławskiej z pochodzenia Ślązaków”. Nie sposób nie zwrócić uwagi także i na to, że po utracie przez Akademię Krakowską (tak Uniwersytet był nazywany od końca XVI w.) znaczenia międzynarodowego wielu mieszkańców ze Śląska obrało swój edukacyjny kurs na znaczniejsze ośrodki naukowe. Ślązacy wiele wtedy podróżowali. Ale i wielu na Śląsk przybywało, a w stuleciach następnych nie miało się to zmienić. Była śląska ziemia przestrzenią podróży i wymiany, praktykowania gościnności i nadawania głębokiego sensu idei spotkania. Myśląc o korzeniach średniowiecznego Śląska, przywołać warto słowa Predraga Matvejića z jego *Brewiarza śródziemnomorskiego*: „Bez względu na miejsce urodzenia czy pobytu można stać się człowiekiem Śródziemnomorza. Tego się nie dziedziczy, to się zdobywa. Być człowiekiem Śródziemnomorza to jedynie cecha, nie zaleta. W grę wchodzi nie tylko historia czy tradycja, geografia czy strony rodzinne, pamięć, dziedzictwo czy wiara. Śródziemnomorze to przeznaczenie”.

W 1257 r. książę opolski Władysław (ten sam, któremu nazwę zawdzięcza Wodzisław Śląski) wydał dokument zezwalający miechowskim bożogrobcom na lokację wsi Chorzów na prawie

Pod zimną gwiazdą północy

JACEK KUREK



KAMIEŃ DROGOCENNY

niemieckim. Ostatecznie lokowano ją ok. 1300 r. Wtedy też Chorzów przeszedł w ręce mnichów, podobnie jak wieś Dąb, zwana wówczas najprawdopodobniej Białobrzezie (najstarsza dzielnica dzisiejszych Katowic). Obrońcy Grobu Pańskiego, których legendarne początki sięgają 1099 r., regułę św. Augustyna przyjęli w 1114 r., a zatwierdzenie papieża Kaliksta uzyskali w 1122 r. Odtąd też zwano ich Stróżami Grobu Pańskiego. Zbudowali w Chorzowie szpital, wkrótce pragmatycznie przeniesiony pod mury Bytomia. Szpital ów należał do domów prowincji małopolskiej zakonu. Mnisi nie paradowali tu w zbrojach i zdobnych płaszczach (jak mogłoby się wydawać, sądząc po folderach wydawanych dziś w mieście i masowych imprezach organizowanych z udziałem bractw rycerskich i grup rekonstrukcyjnych). Byli skromnymi szpitalnikami, wyznawcami wartości wielkich, acz mało widowiskowych. Ale bożogrobcy swoje siedziby mieli także w innych miejscowościach Śląska, np. w Raciborzu (a ściśle za jego murami w Nowym Mieście), Żabkowicach, Bytomiu czy Nysie, gdzie od biskupa wrocławskiego Tomasza I otrzymali szpital i gdzie do dziś miasto zdobi pozostały po nich kościół i klasztor (obecnie Dom Formacyjny diecezji opolskiej, dawniej wyższe seminarium duchowne).

Choć bożogrobcy w wieku XIV włączeni zostali do joannitów, w niektórych krajach nadal cieszyli się samodzielnością. Przetrwali także na ziemiach polskich, więc i w Miechowie, a chorzowska parafia św. Marii Magdaleny nadal znajdowała się pod ich opieką. W XVIII w. chorzowski proboszcz bożogrobca ks. Ludwik Bojarski odkrył tamtejsze złoża węgla i uzyskał pozwolenie na ich wydobycie. W ten sposób powstała tu pierwsza kopalnia – „Fürstin Hedwig”, założona na gruntach zakupionych przez klasztor, a po jej unieruchomieniu – druga. Odkrycie Bojarskiego otworzyło zupełnie nowy rozdział dla okolic jego parafii. Proboszcz Józef Cyryl Wąsowicz, pełniący zarazem funkcję generalnego komisarza posia-

dłości bożogrobców w Prusach, przekazał Wyższemu Urzędowi Górniczemu we Wrocławiu za roczny czynsz w wysokości 40 talarów teren pod budowę Huty Królewskiej. Ostatecznie powstało tu po kilku dekadach miasto, które w XX w. wchłonęło wieś Chorzów, przyjmując jej nazwę. W jego herb w 1938 r. wpisano krzyż bożogrobców. Dziedzictwo zakonu przysłania dziś moda na weekendowe festyny rycerskie i komercyjno-hobbystyczne szaleństwo rekonstrukcji historycznych, którym nie wiedzieć czemu przypisuje się jakieś szczególne właściwości edukacyjne.

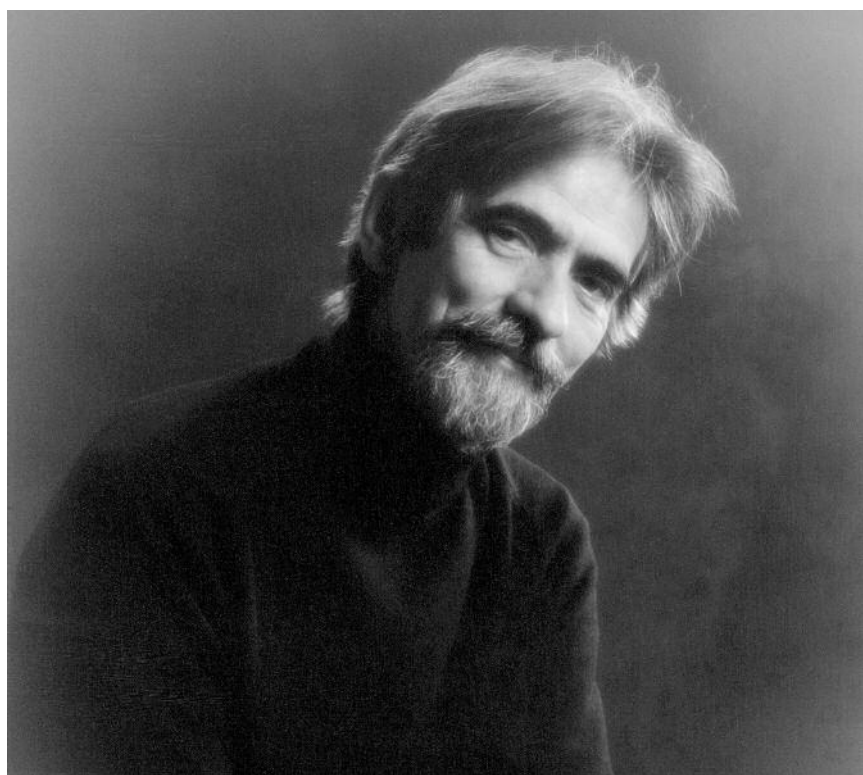
Odchodząc (zakony zniesione zostały w Prusach w 1810 r., a ostatni chorzowski proboszcz bożogrobca Hilary Przybylski zmarł jako ksiądz świecki w roku 1816), zakonnicy zostawili to miejsce skierowane niejako ku przemysłowej przyszłości i pamięć mało efektownej, lecz cennej, idei szpitalnej, opieki nad opuszczonymi, osamotnionymi, dotkniętymi chorobą, a także idei obrony Grobu Chrystusowego w Jerozolimie. Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebne jest myślenie o Śląsku w owym śródziemnomorskim horyzoncie. Humanista i papieski sekretarz Lorenzo Valla, głosił przekonanie, że Europa Środkowa w naturalny sposób ciąży kulturowo ku Morzu Śródziemnemu. W wiekach średnich i wczesnonowożytnych konstituował się Śląsk jako przestrzeń kultury emanującej ze Śródziemnomorza. Był wówczas jednością, której nie zdołano po wiekach ocalić. Dziś stanowi ona wartość drogą i wyjątkowo trudną do odzyskania. Jest jak zagubiona siła i powracające marzenie, uwodzicielska utopia, bardziej jednak realna, niż mogłoby się wydawać. Jest wyzwaniem i zadaniem. Jak proroczo w XVI w. wołał Caspar Ursinus Velius ze Świdnicy: „O Rzymie, złoty Rzymie. Ty się radujesz wieczną wiosną, ty posiadasz tyłu znaczny i utalentowanych poetów, lecz nasz Śląsk, chociaż leży pod zimną gwiazdą północy jest nie mniej wart od ciebie”.

Współczesne malarstwo stawia wysokie wymagania artystom nie tylko pod względem techniki, ale także ładunku intelektualnego i emocjonalnego dzieła, jakie chcą zaprezentować światu. Wydaje się, że minęły czasy łatwych efektów i warsztatowej bezradności, ukrywanej pod pseudonatorskim podejściem do tworzywa i formy. Bardzo wielu malarzy patrzy z podziwem na dawanych mistrzów i wcale tego nie ukrywa. Jednym z bardziej wymagających kierunków dzisiejszej sztuki jest realizm magiczny, którego korzenie tkwią w nadrealizmie i w pewnej mierze w pop-arcie. Jednak patrząc na prace międzynarodowego grona twórców uczestniczących w już po raz kolejny w organizowanym przez Galerię Beskidzką w Szczyrku wydarzeniu o nazwie *Magical Dreams III*, prace artystów z Polski, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Francji i Bułgarii, a w poprzednich edycjach także z Austrii i Włoch, można łatwo dojść do wniosku, że zacerpnęli oni, a w każdym razie znakomita ich większość, ze wspomnianych źródeł, to co w nich jest najlepsze – warsztat, nośną metaforę, komunikatywność oraz, dotyczy to niektórych twórców, wyczuwanie metafizyki i niepokojąco paradoksalną aurę naszych czasów. Do tej kategorii artystów związanych z realizmem magicznym zaliczyłbym bez wahania Józefa Stolorza, malarza mieszkającego obecnie we Włocławku, lecz z urodzenia katowiczani-
na. Stolorz wystawia obecnie równie często w kraju jak i za granicą, głównie w USA i w Niemczech. Admiratorów jego twórczości urzekają pełne mistycznego niepokoju krajobrazy, w których często odnaleźć można ślady tajemniczych istot, ruiny budowli, na wpół zatarte napisy. Te pejzaże mają wiele wspólnego ze snem, w którym bardziej odczuwamy niż dostrzegamy czyjąś obecność i nawet nie śmiemy odgadnąć, jakie może mieć znaczenie. Na podkreślenie zasługuje niewątpliwie, zauważone i docenione przez krytyków, operowanie światłem, którego źródła także nie widzimy; możemy się go jedynie domyślać. Słowem – Tajemnica.

Wielki szacunek musi budzić opanowanie techniki przedstawiania tego światła oraz pieczołowitość, z jaką artysta traktuje najmniejszy nawet detal swego dzieła, a co za tym idzie, ogromna pracowitość. Byłaby to cecha wywieziona ze Śląska? Prof. Julian Gembalski, przyjaciel artysty, zwraca także uwagę na pewną muzyczność jego prac, zawarty w nich rytm. Najbardziej wiążącą odpowiedź na to pytanie, jak i na kilka innych może dać jedynie sam Józef Stolorz. Zaczynając rozmowę, cofnijmy się jednak o jakies... pięćdziesiąt lat.

– **Gitarzysta basowy w bardzo młodym zespole i uczeń liceum plastycznego. Ponadto ministrant w archikatedrze Chrystusa Króla. To był nasz pierwszy kontakt; także mój pierwszy kontakt z twoimi próbami artystycznymi. Gipsowy relief egipski wisiał jeszcze w mieszkaniu mojej mamy. Potem zniknął z Katowic. Nadeszły czasy studiów i o tym okresie twojego życia wiem niewiele, a o dalszych twoich losach nic zgoła. Twoje pierwsze sukcesy, fascynacje, autorytety, no i porażki, bo to też interesujące.**

– Gipsowego reliefu nie pamiętam, natomiast utkwiła mi w pamięci potężna biblioteka i ikona Henryka Wańka (wtedy studenta ASP) w waszym domu. Poza tym łączyło nas granie na mszach beatowych w Kryptcie Katedry. Gitara basowa brzmi w mojej głowie do dziś. Potem miałem krótki epizod gra-



Józef Stolorz

Światło z innej rzeczywistości

WITOLD TURANT

nia z Irkiem Dudkiem (co mu przypomniałem w ubiegłym roku, po jego koncercie we Włocławku). Trwało to krótko, bo ważniejsza była matura. Po maturze wyjechałem z Katowic na studia. Najpierw Toruń i Konserwatorstwo i Zabytkoznawstwo na UMK. W Toruniu pozostawiłem jednak trwałe ślady... Jak mi opowiadał Sławek Wiercholowski, „przywozłem bluesa do Torunia”, a dokładniej przetarłem szlak dla Jasia Janowskiego i Irka Dudka. Potem zmarnowane dwa lata w armii, a jeszcze potem pewna dama, dziś moja żona, zabrała mnie do Włocławka. Pracując w Muzeum włocławskim, zacząłem też studiować Historię Sztuki na lubelskim KUL-u.

– **Akademickie przygotowanie, a twoja indywidualność – jak to się ma do siebie?**

– Jakoś to się jednak do siebie ma. Dużo się nie „nastudiuowałem”, ale to, czego doświadczyłem, kontakt z profesorami, wykłady, literatura, dały mi podstawy do indywidualnego zgłębiania wiedzy z interesujących mnie dyscyplin. Pozostał zachwyt nad przedmiotem studiów. Bez niego, niewiele bym osiągnął.

– **Co (kto) wpłynęło na twoją postawę twórczą i artystyczną osobowość?**

– Podstawy dało mi wychowanie w domu, przyjaciele z lat szkolnych. Prawdziwy, tradycyjny śląski etos. W wieku 8 lat poznaaliśmy się z Julkiem Gembalskim. Cała pod-

stawówka (S.P. 1 na Jagiellońskiej) w jednej ławce. Przyjaźń trwa do dziś i jesteśmy dla siebie jak bracia. Bardzo ważny jest okres, kiedy byliśmy ministrantami w katedrze. To właśnie tam, ks. Anzelm Skroboł, nauczył nas tego, aby od siebie wymagać. Rzetelność, punktualność, wierność danemu słowu... Po latach zdałem sobie z tego sprawę, podchodząc do egzaminu z Etyki Chrześcijańskiej na KUL-u. Na wielkich drzwiach wisiała tablica z nazwiskiem Szefa Katedry – Ks. Prof. Kardynał Karol Wojtyła... Był marzec 1975 r. Za trzy i pół roku wszystko stało się jasne. Przecież znałem ks. Kardynała jeszcze z katowickiej katedry. Pamiętałem Jego dobre oczy... Potem, w 1987 r., dane mi było znów spojrzeć w te oczy i uścisnąć dłoń Ojca Świętego podczas spotkania z twórcami kultury w kościele Świętego Krzyża w Warszawie... Byłem głęboko przekonany, że „dotykam” Świętego. Odczytuję te fakty, pozorne przypadki, jako znaki dla mnie i rodzaj zobowiązania.

Każdy z nas ma swoich Mistrzów. Jeszcze w liceum, zakochałem się w malarstwie holenderskim złotego wieku. Maestria wykonania i ten cudowny półmrok, kontrastujący z jaskrawo oświetlonymi szczegółami. Powolutku zaczęło we mnie dojrzewać to „coś”. Jeszcze nie byłem świadomy co to jest, dlatego wybrałem studia konserwacji dzieł dawnych mistrzów. Potem zobaczyłem

w galerii pierwszy obraz Henryka Wańka i wystawę Zdzisława Beksińskiego. Wówczas pojawiło się gorące pragnienie – jakże bym chciał tak malować... Cóż, pierwsze próby były dalece niedoskonałe, ale co to znaczy „dło Słonzo”?... „Bier się do roboty, ino pamiyntej, jak coś robisz, rob to roz, a porządnie, cobys niy musioł po sobie poprawiać” – wbił przez lata do głowy mój Tata. Poskutkowało!

Należy także wspomnieć o roli, jaką odegrała i coraz bardziej odgrywa dla mnie muzyka. Przecież to właśnie w 1967 r. po raz pierwszy docierają dźwięki Procol Harum, The Moody Blues, potem Vanilla Fudge. Dla siedemnastolatka to był kosmos, coś niewyobrażalnie pięknego, uruchamiającego wyobraźnię, a ta potrafi być nieprzewidywalna. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że kończy się dla mnie era big-beatu a zaczyna kielkować coś bardzo poważnego, co zaprowadzi mnie do upajania się muzyką najpierw Klausa Schulze (którego namiętnie słucham do dziś) a potem Henryka Miłkołaja Góreckiego czy Arvo Parta.

– Jak kształtowała się twoja technika i jakie miejsce zajmuje w twojej sztuce kwestia warsztatu?

– Temat rzeka. To jest dla mnie najważniejsze. Pracowałem latami nad techniką, zgłębiałem wszelką dostępną literaturę, a do tego ćwiczenia, ćwiczenia i znowu ćwiczenia. Powolutku przychodziły efekty. Jaką miałem frajdę, patrząc na pierwszego „Rembrandta” jakiego namalowałem. Był taki barokowo-holenderski... Pracując dawnymi, sprawdzonymi technikami, stosując przybliżone materiały, z czasem dochodziłem do moich wizji. Początkowo były to obrazy zamglone, ciemne z elementami światła. Potem nastąpiło przejście w nastrój. Zaczęła się pojawiać cała sfera elementów ikonograficznych, czyli symbolika. Do tego tytuły, które stały się podpowiedzią w jakim kierunku ma podążać odbiorca. Maluję wielowarstwowo. Te wszystkie warstwy farb, przezroczyście, niekiedy półprzezroczyście, nakładane jedna na drugą, powodują efekt, jakiego malując *alla prima* (za pierwszym razem nanosimy właściwy kolor) nie można osiągnąć. Tylko w ten sposób mogę dać odbiorcy wrażenie głębokiej przestrzeni, że „chce się wejść w obraz”. Odpowiadając na pytanie – technika, rzemiosło to zasadnicze rzeczy, które wciąż trzeba udoskonalać, ale są one podporządkowane celowi, któremu służą a ten wykracza już znacznie dalej... Tutaj zaczyna się sfera ducha...

– Krytycy podkreślają rolę światła w twoich obrazach; czy to tylko zabieg techniczny, czy też to światło pochodzi z „innej rzeczywistości”, czy jest ono elementem metafizyki wyraźnie obecnej w twoim malarstwie?

– Ależ tak. Z drobnym sprostowaniem. Chodzi mi o Światłość, czyli obecność, jak to ująłeś „innej rzeczywistości”. Zdaję sobie sprawę z tego, że „dotykam” strefy przeżyć mistycznych. Mam liczne potwierdzenia tego, że oglądając moje obrazy, doświadczają często podobnego stanu duszy. Są to sprawy trudne, wymagające od nas, jakiegos rodzaju otwarcia się na przeżycia pozamaterialne. W szarej codzienności, pojawiają się, jakże często momenty, które trudno nazwać przypadkami. Jeżeli popatrzymy na nie, jako na znaki, wtedy wszystko zaczyna układać się w bardziej logiczną całość.

– Temat najczęściej obecny w twoich obrazach, to góry. Wydadają się mieć znaczenie

absolutu – nieosiągalnej doskonałości. W tym krajobrazie pojawiają się często dziwne, trudne do zdefiniowania byty – jakby ślady czyjejś obecności. Jak należy to interpretować?

– Od wczesnego dzieciństwa rodzice wozili nas w góry. Wakacje w Brennej... Najpierw w Leśnicy (1956), gdzie jeszcze nie było elektryczności. Wieczorem lampka naftowa i kąpiel w lodowatej rzece. Na kolację chleb z masłem i jagody z cukrem. Jak ja mogę nie kochać gór? Potem przyszły kolejne doświadczenia. W latach 70. wędrowki po bezdrożach Beskidu Niskiego. Później oglądałem też inne góry. Kiedy pierwszy raz jadąc do Jurgowa zobaczyłem Tatry Bielskie, zamykającą perspektywę doliny, od razu nazwałem je „Górą Trójcy Świętej”. Potem to namalowałem.

Może nie każdy się ze mną zgodzi, ale chyba nie jest przypadkiem, że najważniejsze wydarzenia opisane w Starym i Nowym Testamencie dzieją się na wzniesieniach. Powiedziałbym – symbolicznie – powyżej... czyli na górze. Kiedy mnie pytają (tutaj we Włocławku) po co mi się chce wspiąć i męczyć, odpowiadam, że warto, bo z góry widać dalej i lepiej. Poza tym, góry uczą pokory i cierpliwości.

Te wszystkie resztki „czegoś” na moich obrazach, ta swoista „archeologia”, jest wynikiem pewnych obserwacji. Kamienne pozostałości po cywilizacjach, o których mamy niewiele wiadomości, jedynie przeróżne hipotezy, mają jeden wspólny, łączący je element. Są na ogół pozostałościami obiektów z kręgu sacrum... Jedyne co przetrwało do naszych czasów, to ślad poszukiwania Boga. To, że te obiekty były budowane z niezniszczalnego materiału, też chyba o czymś świadczy. Reszta, układ tych kamieni, tajemnicze (dla nas) znaki... Możemy jedynie, z najgłębszym szacunkiem skłonić głowę. Czy my musimy koniecznie wszystko wiedzieć, wszystko mieć policzone? W tym miejscu przypomina mi się anegdota o św. Augustynie, próbującym zrozumieć sens Trójcy Świętej. Idąc brzegiem morza, zobaczył chłopca, przelewającego małym naczynkiem wodę z morza, do małego wgłębienia w piasku. Malec zapytany co robi, powiedział świętemu – przedziej ja przeleję tutaj całe morze, niż ty zrozumiesz istotę Trójcy Świętej.

– Czy miejsca, w których zdarzało ci się przebywać, wpłynęły w jakiś sposób na twoje malarskie wizje?

– Niewątpliwie tak. My malarze, jesteśmy tzw. „wzrokowcami” i mamy w głowie taki mały szkicownik. Przez lata tych „szkiców” odkłada się niezła ilość. Nie wiadomo również, kiedy któryś z nich będzie potrzebny. Nawiasem mówiąc – jakże niepojęta, nieogarniona jest pojemność naszej głowy. Całe życie nosimy w sobie te wszystkie obrazy, dźwięki, zapachy... tak, zapachy również. Po kilkunastu latach, pamiętam zapach zaułków maleńkiej osady w Toskanii, okazało się, że były one „młode”, bo kościółek budowano w VII wieku, natomiast dużo wcześniej mieszkali tu Etruskowie. A smaki... Smak żymłoka ze świniobicia u mojego Starzika w Bogucicach... pozostał w głowie i wiem, że już nigdy takiego nie poczuję. Masorz (jak powiedział mój tata) wziął tajemnicę tego smaku „do grobu”.

– W jakim kierunku ewoluuje twoja twórczość?

– Trudne pytanie... Jedyne Pan Bóg zna na nie odpowiedź. Przypuszczam, że mu-

zyka jakiej słucham, będzie miała znaczący wpływ na moje obrazy. Coraz bardziej boli mnie bylejąkość współczesności. To również nie jest obojętne dla kształtu moich kreacji.

– Dużo wystawiasz, także za granicą. Krytycy zauważają twoje malarstwo. Czy od czuwasz to jako sukces i co jest dla ciebie jego miarą?

– Dziwne słowo... Sukcesem są dla mnie reakcje odbiorców. To znacznie więcej, niż honorarium. Kiedy słyszę w rozmowie, że dzięki tej wystawie chce mi się żyć, to czy może być lepsza nagroda za wysiłek? Oczywiście marzeniem każdego twórcy jest możliwość utrzymania się z tej pracy. Z tym, niestety, różnie bywa. Rembrandt, Norwid, zakończyli ziemską wędrowkę w przytułkach... Cóż, cena za tworzenie piękna, bywa okrutna. Mam tego świadomość i też tego doświadczam.

– Zaliczany jesteś do grona twórców realizmu magicznego. Czy to nie jest taka trochę łatwa etykieta? Bierzysz udział we wszystkich imprezach tego kręgu – ważnym punktem na waszej mapie stał się Szczyrk, ale to nie tylko Galeria Beskidzka.

– Jest to określenie, z którym nie do końca się identyfikuję. Kiedyś, w latach 80., krytyk „Westfalen Post” zaliczył moje obrazy do malarstwa mistycznego. Boję się słowa „magia” i jego wszelkich skojarzeń. Bardziej adekwatnym byłoby podporządkowanie takiego malarstwa do sztuki wizjonerskiej. Pod takim tytułem – Visionary Art – funkcjonują na świecie malarze, z którymi „jest mi po drodze”. Z wieloma jestem zaprzyjaźniony. Być może, że z czasem Galeria Beskidzka w Szczyрку, przejdzie w tę formułę, gdyż stała się już ważnym punktem na mapie światowych pokazów tej sztuki. Mało tego, są wszelkie warunki ku temu, aby Szczyrk stał się miejscem regularnych spotkań, artystów-wizjonerów z całego świata, wszak biorą oni udział w wystawach w Szczyрку. Zobaczymy, czas pokaże...

– Twoje korzenie tkwią na Śląsku. Czy jesteś wobec tego malarzem śląskim? Z jakim kręgiem tutejszych twórców coś ci łączy (jeśli w ogóle)?

– Tak, zdecydowanie! Fakt, że mieszkam od 42 lat we Włocławku, nie ma znaczenia. Kwestie mentalności, tradycji kulturowej, które wynosimy z domu, mają fundamentalny wpływ na całe nasze życie. Jestem zaprzyjaźniony z wieloma śląskimi artystami. Szczególnie bliskie mi są kontakty z kręgiem muzyków. Jest jakaś specyfika w naszym, śląskim pojmowaniu twórczości. Jest w niej wiele ciepła, szereg elementów, wskazujących na głębokie historyczne korzenie, tkwiące w tradycji kultury europejskiej. Z perspektywy Włocławka (w którym elementy obce, wynikające z wieloletniego tkwienia w zaborze rosyjskim, są do dziś odczuwalne) widzę to wyraźnie. Wszak sąsiedztwo Czech, Austrii i rządy pruskie pozostawiły w nas jakiś ślad.

– Nad czym pracujesz obecnie?

– Czekam udziału w szeregu wystaw, więc jednocześnie pracuję nad wieloma obrazami. Biorąc pod uwagę, że każdy, ze względu na moją technikę, wymaga paru albo i parunastu tygodni pracy, mam co robić.

– Dziękuję za rozmowę.

Nasze spotkanie odbyło się późną wiosną 2015 roku.



Dreamcopter's Sailor



The angels of goodness 2



Świadkowie

Józef STOLORZ

Artysta wizjoner

Reprodukcje prac J. Stolorza
wykonała firma Gutenberg Design z Włocławka



Sigur Ros Reflections



Ty wiesz, ty wiesz...



Roman NYGA

Podróże w czasie



– Romku, jak się żyje w małym mieście na Śląsku, jesteś tu bodajże w Bieruniu nestorem...

– Nygowie osiedlili się w Bieruniu w roku 1575, z tej racji i własnej woli tu tkwią. Dawniej było tak, jak mówili mi starsi, ludzie mieszkali w jednym miejscu, ale i przenosili się, byli to głównie rzemieślnicy. Nie jestem nestorem, jeśli chodzi o powiązania ze sztuką, bo mój stryj Jan Nyga starszy, jako pierwszy skończył w roku 1898 uczelnię, którą później nazwano Akademią Sztuk Pięknych w Krakowie. Wiem również, że jeszcze przed pierwszą wojną światową dostał nagrodę Miasta Bytomia, wykonywał także polichromie malarskie w pałacach na Morawach i w kościele w Bardzie Śląskim. A właściwie to wszystko się zaczęło od jego ojca, pradziadka Klemensa, stolarza i kościelnego, który rzeźbił. Stryj założył firmę malarską, którą później prowadził ojciec – Jan Nyga młodszy. To ojciec wprowadził mnie w tajniki malarstwa.

– Oglądając zdjęcie przodka stwierdzam, że zachowałeś typowe pociągłe rysy twarzy rodu Nygów.

– Jak mi powiedziano, coś mi w czasie porodu hebama z nosem porobiła, w rodzinie nikt takiego nie ma. Od małego miałem dostęp do wielu książek z barwnymi reprodukcjami, które wertowałem i poznawałem prawdziwe kolory wielu malarzy. Moi śląscy przodkowie podróżowali, znali pozaśląskie kraje. Wujek architekt dużo opowiadał mi o morzu, byłem tym tak zachwycony, kupowałem czasopismo „Morze”, budowałem modele statków. To morze tam gdzie we mnie pozostało. Wiele w szkole rysowałem, robiłem gazetki ścienne, no i złożyłem papiery na Akademii do Krakowa...

– Te gazetki były zwrotnicą kierującą wielu na inne życiowe tory.

– Ojciec choć był rzemieślnikiem też malował, miał niezłą wiedzę, którą mi przekazywał, uczył mnie rysowania, mówił o barwach, proporcjach i perspektywie i tak od początku miałem już pewne podstawy. Pojechał ze mną do Krakowa, wspierał w czasie egzaminów, no i znalazłem się na pierwszym roku ASP w Krakowie, był to rok 1956...

– Jakoś cię nie zauważyłem, choć wtedy też po raz pierwszy zdawałem.

– Znalazłem się na pierwszym roku, wśród kolegów nawet o siedem lat starszych i byłem inny dla nich. Mówili do mnie Rumek, jakby nie potrafili „o” wymawiać. Dostałem się do profesora Taranczewskiego, który był poznaniakiem. To, że byłem inny w swoim malarstwie powodowało, że wszyscy czekali na to, co też powie profesor, a ten rzekł tak: „Wiesz Nyga, Ty jesteś z innego miejsca, co się nazywa Śląsk, wy tam jesteście zupełnie inni w tych sprawach, jak malujecie Chrystusa to zawsze tam tyle jest krwi...” Wyjaśniał, że ta moc kolorów i ekspresja wynika z kultury z której się wywodzę.



z ROMANEM NYGĄ rozmawia HENRYK BZDOK



To samo co było, ino w nowym czasie

Ja byłem logiczny w malowaniu, jak zmieniałem kolor dzbanka, to inne rzeczy też zmieniałem. Trafiłem na dobre miejsce, profesor był kolorystą, więc mogłem się przy nim dobrze rozwijać. Jako jedyny, mogłem wchodzić do pracowni Profesora, miałem zostać na uczelni, ale nie czułem się w roli asystenta, no i po studiach wróciłem do Katowic z wieloma innymi z naszego regionu, wśród nich byli Zyga Dudzik i Stanisław Hochuł.

– Często was z Zygą spotykałem, byliście zawsze blisko.

– On był starszy ode mnie, zostaliśmy przyjeźdźcy do Związku, nieco później założyliśmy grupę twórczą ARKAT, do tej nazwy przyczynił się Andrzej S. Kowalski. Byliśmy dość aktywni, do Katowic

jako przedstawiciel Związku przyjeżdżał z Warszawy Marian Bogusz. Twierdził, że nasza działalność jest pozytywna. Marian zajmował się sztuką przestrzenną związaną z architekturą, współpracował ze swoimi kolegami, którzy przeszli socrealizm, abstrakcjonizm tam miejsca nie mogli znaleźć. Organizował liczne sympozja dla tych, którzy nie mieścili się w ówczesnych standardach powracającego realizmu, pierwsze na Pomorzu. Był to czas, kiedy w Polsce w tym zakresie wiele można było zrobić.

– Pamiętam z tego okresu twoją wystawę w Galerii Katowice, prezentowałaś tam prace z pogranicza konceptualizmu, byłeś po sympozjum i wyczuwało się u ciebie powiew nowych idei obrazowania.

– Marian Bogusz był jednym z współorganizatorów konceptualistycznego sympozjum Wrocław '70, w którym i ja uczestniczyłem. Po Wrocławiu były wystawy m.in. w Krakowie, Warszawie i Lublinie. Malowaliśmy wtedy na fasadach budynków w Lublinie i Krapkowicach. To mi dawało kontakt z architektami... Dzięki Boguszowi i jego bliskim kontaktom z grupą ARKAT miałem inne podejście, choć rówieśnicy Bogusza byli ode mnie o dwadzieścia lat starsi czułem się wśród nich dobrze, to było dla mnie coś bliskiego w tym katowickim i ogólnopolskim bycie.

– **Krapkowice ...to w moim niegdysiejszym sąsiedztwie.**

– W czasie stypendium zagranicznego w 1989 roku poznałem rzeźbiarza Arne-Bernd Rhaue, z którym dotychczas jestem w grupie międzynarodowej „RAR”, kontakt choć daleki był mi bardzo bliski w konceptualistycznym sensie rozumienia sztuki i tego co w niej było. W końcu lat siedemdziesiątych znalazł mnie mecenas ze Szwajcarii i zaprosił do siebie. Wtedy tam likwidowano

przemysł i w tych miejscach artyści mogli tworzyć. To było dla mnie spotkanie z twórcami z szerokiego świata. Miałem wystawę w Zurychu.

Po pobycie w Szwajcarii w 1989 roku, w czasie następnej wystawy w Freiburgu dowiedziałem się o przyznaniu mi Stypendium Fundacji Jana Pawła II z Rzymu. Tam odkrył mnie galerzysta z Holandii, który zaproponował mi wystawę. Galerzysta przybliżył mi swój kraj, a później odwiedził mnie w Bieruniu. Zabrałem go na cmentarz, by pokazać mu grób rodziców, jakże się zdziwił, kiedy na jednym z nagrobków zobaczył swoje nazwisko – Damm. Taki był Śląsk, przebywało tu wielu ludzi z Europy. Takie to były sprawy pogranicza.

– **Byłeś także w 1994 roku współautorem książki „Stworoki Śląskie”....**

– Wiedzę o kulturze i podaniach śląskich posiadam dzięki opowiadaniom przodków, jak chociażby na przykład opowieść o upadłym meteorycie – „piorunie” obok górkę Klemensowej. Po latach znaleziono ten meteor, którego da-

ta upadku po badaniach okazała się zgodna z prastarym opowiadaniem.

Był w grupie ARKAT młody literat Gen Zaczycy, on kiedyś powiedział: „Romek, ty tyle wiesz o tych utopcach i regionie, że trzeba coś z tym zrobić”. No i wydaliśmy książkę.

Mam w zbiorach domowych, odziedziczone po przodkach książki ręcznie pisane o ziołach, przez ludzi, którzy nie wiem jak się kształcili i skąd czerpali wiedzę. Kiedyś zachorowałem na zatokę i tymi ziołami się ratowałem, bo one leczą lepiej niż antybiotyki.

– **Zwaliła się lipa, miałem dłuta i chciałem zrobić sobie rzeźbę, taką ludową, jak to Zegadłowicz robi. U niego ręce wychodzą z brzucha i to nie przeszkadza, bo dzieła są frapujące, tak pełne świeżości, że zachwycają. Mnie zaś w wykonaniu rzeźby w podobnym stylu przeszkadzała wiedza „to se ne da pane Havranek....”**

– Moi przodkowie jakby tego nie mieli. Jaka może być głębokość w obrazie, czy czerń jest kolorem, gdzie i jak atakować płaszczyznę obrazu, czy na skraju zrobić centrum – można – ale trzeba wiedzieć jak. Kiedy można zastoso-
sować czerń a kiedy nie, kiedy biel może istnieć w obrazie przy innych kolorach. To mi przekazano.

Gdy tworzyłem takie „nowoczesne obrazy” koleżanka mamy, która ją odwiedzała powiedziała: „Anna co ten synek ci tutaj maluje?” A matka na to: „To samo co tu było, ino w nowym czasie i dlatego jest inne”. Wróć do rozmowy z Genem i Zygą w pracowni, gdy modne było pojęcie „postępu”, mówili „postęp jest w technice ale nie w sztuce i moralności”. Są wartości niezniszczalne – zło będzie złem a dobro dobrem.

Kiedy pierwszy raz byłem na Zachodzie, to widziałem to piekło postępu, ale diabła nie spotkałem. Widziałem rodzinę mego mecenasa ze Szwajcarii, która żyła podobnie jak u nas. U Damma w Holandii rodzina opiekowała się dziećmi przyjaciół, którzy zginęli w katastrofie lotniczej. Wierzę w wartości, które łączą, maluję obrazy, w których to pokazuję.

– **Jak żyje i tworzy artysta mieszkający w małej społeczności takiej, jak Bieruń...**

– Ja nie widzę Bierunia jako czegoś małego, jeżdżąc po Europie zauważyłem, że właśnie to odczytywane jest jako atut. W odróżnieniu od moich kolegów starających się być światowcami, ta moja mądrość z małego Bierunia robiła wrażenie i dlatego znalazł mnie ten Holender i inni. Ludzie podobnie ukształtowani jak ja, troszczyli się i troszczą o utrzymanie tradycji w naszym „Żabim Kraju”. Mamy tu wczesnośredniowieczny Kopiec położony przy Via Regia, znaleziono monety rzymskie, piece do wytopu żelaza, mamy pątniczy, barokowy kościół św. Walentego, zawsze się tu coś działo i wierzę, że tak pozostanie.



Roman Nyga urodził się w 1938 roku w Bieruniu Starym. Studia ukończył na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w 1962 r. w pracowni profesora Wacława Taranczewskiego. Zajmuje się tematyką: religijną, historii rodzinnej i górnośląskiej. Był członkiem grupy ARKAT w Katowicach, należeli do niej m.in. Igor Neubauer, Henryk Mikołaj Górecki, Stanisław Hochuł, Andrzej S. Kowalski, Zygmunt Lis, Zenon Moskwa, Roman Nowotarski, Ludwik Poniewiera, Andrzej Urbanowicz. Sukcesem grupy było zorganizowanie dziesięciu wystaw grupowych i trzykrotnie Katowickich Spotkań Twórców i Teoretyków Sztuki (1968, 1969, 1970), których rezonans miał zasięg ponadkrajowy, a także powołanie niezależnej galerii sztuki. Był również członkiem grupy PROJEKT Oberbusweg w Kolonii, a w 2003 r. współtworzył Międzynarodową Grupę Artystyczną RAR (Roman Nyga z Bierunia, Romuald Jeziorowski z Opoli i Arne Berndt Rhaue z Gorlitz). Jest laureatem licznych nagród oraz stypendiów, m.in. nagrody Clemens Pro Arte Starosty Bieruńsko-Lędzińskiego za 2001 rok, stypendium Ministra Kultury w 2008, stypendium Marszałka Województwa Śląskiego w 2005 oraz stypendium Fundacji Jana Pawła II (Stuttgart, Kolonia) w 1989. Był współorganizatorem wystaw artystów z Kolonii i Katowic w ramach partnerstwa miast oraz pomiędzy Stacją Sztuki St. Peter w Kolonii i Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach. Z ważniejszych zleceń w przestrzeni publicznej można wymienić: płaskorzeźbę pod pomnikiem Stoczniovców w Gdańsku (1980 r.) i nowe korony dla obrazu Matki Boskiej Piekarskiej (1985 r.). Wystawiał indywidualnie w Krakowie, Katowicach, Szwajcarii, Niemczech, Holandii, Belgii. Uczestniczył również w wielu wystawach zbiorowych w Polsce, we Francji, Austrii, Niemczech i na Węgrzech. Ostatnie najważniejsze wystawy to: z Grupą RAR w Morawskiej Ostrawie i Gorlitz oraz wystawa jubileuszowa Bundesverband Bildender Kunstler w Ostrawie.

60 lat pracy twórczej jako nauczyciel śpiewu i muzyki! Wychowawca młodzieży, organizator życia muzycznego po wyzwoleniu, pierwszy dyrygent Orkiestry Symfonicznej w Częstochowie, założyciel Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Częstochowskiej... W ponad półwiecznej historii miasta nie było poczynań i inicjatyw muzycznych, w których nie uczestniczyłby Edward Mąkosza.



Edward Mąkosza podczas oficjalnej uroczystości w Częstochowie

Prof. Edward Mąkosza – wielka postać „muzycznej” Częstochowy

ELŻBIETA PISARCZYK

Dzieciństwo i szlifowanie talentu

Trudno jest przedstawić życie człowieka, który w powszechnym przekonaniu zasłużył sobie na wyjątkową pamięć potomnych. Wielu już próbowało poprzez artykuły prasowe czy prace naukowe ukazać doniosły wkład profesora Mąkoszy w życie muzyczno-kulturalne Częstochowy.

Edward Mąkosza urodził się 13 października 1886 r. w Liskowie k. Kalisza. Od początku był „skazany” na bycie muzykiem. Pochodził bowiem z rodziny o tradycjach muzycznych. Jego przodkowie od pokoleń byli organistami. On sam mając siedem lat, potrafił grać na organach. Umiejętność tę wykorzystywał, zastępując czasem ojca w pracy organistowskiej. I chociaż pragnieniem ojca było, aby jedyny syn został księdzem, on

sam wybrał muzykę. Wybitny talent, który zdradzał od wczesnych lat, sprawił, że szybko trafił do znakomitych pedagogów w Łodzi i Warszawie. Wystarczy powiedzieć, że instrumentacji i form muzycznych uczył się u Zygmunta Noskowskiego, gry na organach u Mieczysława Surzyńskiego, śpiewu m.in. u Jana i Edwarda Reszków. Studia w sferze muzyki sakralnej kontynuował w Pradze u benedyktynów. Bardzo wcześnie zaznała się też jego pasja zaszczerpania innym miłości do muzyki, m.in. poprzez zakładanie zespołów muzycznych. W parafii św. Mikołaja w Wolborzu dotąd działa chór, który założył w 1904 r., mając 18 lat. W tej miejscowości organizował także wiele koncertów, wieczornic, przedstawień i prelekcji, a dochody z imprez przeznaczał na funkcjonowanie dwóch tajnych szkół, które prowadził wraz z ks. Bolesławem Wróblewskim. Wszystkie te inicjatywy i konsekwentna działalność w warunkach zaboru stanowiły także lekcję patriotyzmu. Pod zaborami tylko aktywność kulturalna była dozwolona i legalna. Ona też stanowiła pośredni kontakt z polszczyzną i historią kraju. Wśród wielu talentów i pasji przejawiał zainteresowanie obrzędami ludowymi, zwłaszcza obrzędem weselnym, kultywowanym na tamtejszych wsiach. Ze względu na umiejętności gry na wielu instrumentach Mąkosza angażowany był w zastępstwie jako muzyk w Orkiestrze Symfonicznej w odległym o 14 km Piotrkowie Trybunalskim. Niezależnie od zajęć muzycznych znajdował również czas na krajoznawstwo, organizując wycieczki dla młodzieży wiejskiej. Przypadek zrządził, że w 1906 r. młody Edward poznał sławnego już wówczas autora *Chłopów*. Oddajmy głos samemu artyście: „Wylądzowski, sędzia gminny, przyprowadził do mnie Reymonta, żebym go zabawił, przez ten czas gdy był zajęty jakąś sprawą. [...] Jak mi sędzia przedstawił Reymonta, nogi się przede mną ugięły z wrażenia, bo przed tygodniem akurat skończyłem czytanie *Chłopów*, która to powieść zrobiła na mnie wielkie wrażenie, tym bardziej że od urodzenia byłem wychowywany między chłopami, których znałem na wylot. Czym więc mogłem zabawić taką znakomitość? [...] Podczas obiadu rozmawialiśmy nt. *Chłopów*. Reymont pytał, która z postaci była najtrafniej opisana. Odpowiedziałem, że Agata. Moja odpowiedź bardzo się Reymontowi podobała i dodał, że i on tak uważa”.

Spotkał się także z Janem Kasprowiczem, a z Marią Dąbrowską w Kaliszu zrywał jabłka w... cudzych ogrodach. W późniejszym okresie towarzyszył jako ilustrator Stefanowi Żeromskiemu w podróży po Pomorzu. W tym czasie powstały jego pierwsze kompozycje.

Z Liskowa do Częstochowy

W 1912 r. Edward Mąkosza przeniósł się do Częstochowy, gdzie zapisał się jako iluminator życia muzycznego oraz



Orkiestra dęta założona przez Edwarda Mąkosza, Wolbórz, 1904

wszelkich inicjatyw kulturalnych podejmowanych na terenie miasta. Pracował m.in. jako: kierownik Społecznego Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia”, kapelmistrz orkiestry strażackiej, od 1915 r. – kierownik chóru szweców, a od 1922 r. – kapelmistrz orkiestry w Hucie Szklą „Wyczerpy” czy dyrygent amatorskich zespołów muzycznych, m.in. chóru „Jedność”. Ponadto organizował liczne odczyty i konkursy, a nawet angażował się przy budowie bazy letnich kolonii w Romanowie k. Kamienicy Polskiej dla niezamężnej młodzieży.

Wkrótce też został nauczycielem śpiewu w kilku częstochowskich szkołach: w Gimnazjum Żeńskim Wacławy Chrzastowskiej i w Gimnazjum Męskim im. H. Sienkiewicza. Zakładał uczniowskie chóry i orkiestry, z którymi często występował. Do tradycji należały doroczne koncerty chóru i orkiestry Gimnazjum im. H. Sienkiewicza, które relacjonowała ówczesna częstochowska prasa. Szczególnie zapisał się w historii częstochowskiej Straży Ogniowej. Przez wiele lat prowadził orkiestrę dętą, a podczas wojny pełnił funkcję komendanta straży. Zbierał w okolicznych wsiach melodie ludowe. Właśnie to było jego pasją życiową – z melodii tych tworzył kompozycje. Do najbardziej znanych utworów należą: „Kwiaty Polskie”, „Oczepiny na Kujawach”, „Obertas Maryna” oraz tańce ludowe i marsze.

Dwa lata po przybyciu do Częstochowy założył rodzinę. W małżeństwie z Ireną Nurczyńską (1895-1968) miał troje dzieci: córkę Barbarę, zamężną za Juliuszem Koncewskim oraz synów: Jerzego i Andrzeja, muzyka.

Nauczyciel... Jana Kiepury

— **W** tym czasie – wspomina Andrzej Mąkosza, syn profesora – w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej prowadził w naszej szkole (Gimnazjum

H. Sienkiewicza) dwuosobowy chór mieszany, chór męski a także dwie orkiestry: symfoniczną i dętą. Niektóre instrumenty orkiestry dętej pochodziły jeszcze ze szkoły pod zaborem rosyjskim, znajdujące się w dzisiejszym gmachu. Organizował koncerty symfoniczne i chórów, a w czasie szkolnych przedstawień orkiestra przygrywała w czasie antraktów. W roku 1927 brałiśmy udział w konkursie chórów w Kielcach, gdzie zajęliśmy pierwsze miejsce. Sądzę, że gdyby to dzia-

Wybitny talent, który zdradzał od wczesnych lat, sprawił, że szybko trafił do znakomitych pedagogów w Łodzi i Warszawie. Wystarczy powiedzieć, że instrumentacji i form muzycznych uczył się u Zygmunta Noskowskiego, gry na organach u Mieczysława Surzyńskiego, śpiewu m.in. u Jana i Edwarda Reszków.

ło się w dzisiejszych czasach, nasz chór występowałby za granicą, bo była to jedna z najlepszych orkiestr dętych w Polsce – mówi pan Andrzej.

Kolejną pasją Edwarda Mąkoszy było krajoznawstwo. Dla młodzieży, z którą pracował organizował liczne wycieczki rowerowe i piesze do zamków Jury Krakowsko-Częstochowskiej oraz w Tatrach. Za Działalność w Krzewieniu Krajoznawstwa i Turystyki otrzymał dyplom przyznany przez Zarząd Polskiego Towarzystwa Krajoznawstwa i Turystyki w Częstochowie. Uczył młodych ludzi miłości do pamiątek kultury polskiej, zwłaszcza ludowej. Pisał pamiętniki i wspomnienia często o charakterze turystyczno-krajoznawczym.

Jako wybitny i uznany muzykolog udzielał lekcji śpiewu solowego największym sławom. Wystarczy wymienić choćby takie nazwiska jak Stefania Stelmaszczykowa – primadonna Opery Poznańskiej czy Antonina Kawecka. A Jan Kiepura... To właśnie profesor Mąkosza udzielał pierwszych fachowych porad wokalnych „chłopcu z Sosnowca”, u którego odkrył

wielki talent. Wdzięczny za to Kiepura ofiarował profesorowi swoje zdjęcie z dedykacją: „Bardzo miłemu Panu prof. Mąkoszy w dowód uznania – Jan Kiepura, tenor Opery Warszawskiej 9.2.26”. Właśnie w 1926 r. odbył się jeden z pierwszych występów młodego śpiewaka, zorganizowany przez Mąkoszę w Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. Ponownie Kiepura gościł w Częstochowie w 1933 r. Śpiewał wtedy przy akompaniamencie profesora podczas mszy na Jasnej Górze.

W konspiracji

Tragiczne lata II wojny światowej nie powstrzymały zapалу Edwarda Mąkoszy. Nie mogąc prowadzić jawnej pracy pedagogicznej, względne bezpieczeństwo znalazł w roli komendanta Ochotniczej Straży Pożarnej. Zdołał ukryć przed Niemcami instrumenty muzyczne w pomieszczeniach należących do Straży, które po wyzwoleniu stały się pierwszym sprzętem muzycznym Orkiestry Symfonicznej.

Wspólnie z Ludwikiem Wawrzynowiczem i jego synem Tadeuszem w konspiracji uczył muzyki i doprowadził swoich uczniów do zdobycia dyplomu. Po wojnie razem założyli Instytut Muzyczny. Praca w straży, z konieczności tolerowanej przez Niemców, ułatwiała mu niesienie pomocy nie tylko swoim uczniom, których przyjmował w szeregi Straży Pożarnej, ale również wysiedleńcom z ziem

zachodnich czy uchodźcom z Warszawy. W mieszkaniu Mąkoszy znalazł dach nad głową i opiekę m.in. znakomity polski wiolonczelista Dezyderiusz Daszczyński. Komenda Straży była wielokrotnie miejscem schronienia dla młodych ludzi, ukrywających się tu przed zesłaniem do Rzeszy. To za pośrednictwem straży płynęła w pierwszych latach okupacji pomoc dla mieszkańców getta.

Z miłości do Czarnej Madonny

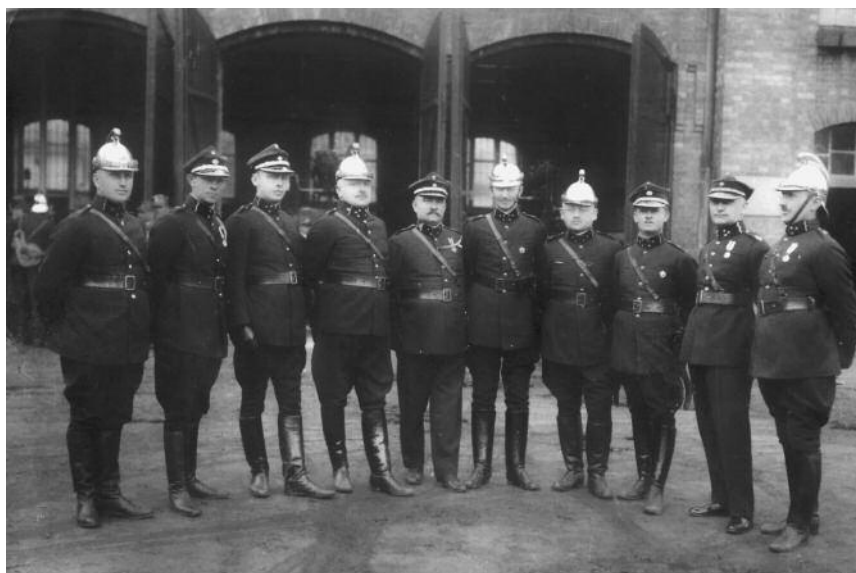
Profesor Mąkosza pracował również dla Jasnej Góry, gdzie prowadził żeński zespół śpiewaczy „Kółeczko”. Praca z zespołem trwała ponad 40 lat. Profesor opracował specjalnie dla chóru ponad 150 pieśni. Do historii przeszedł zwyczaj spacerów profesora z chórzystkami po wałach jasnogórskich po każdym występie. Wtedy to omawiano błędy wykonawcze zespołu. Chórzystki były nazywane Mąkoszankami.

Cechowała go silna więź z klasztorem Ojców Paulinów. Swoją postawą budo-

wał innych, także osoby duchowne. – Mogłem z bliska obserwować jego nabożeństwo, cześć i miłość do Jasnogórskiej Bogarodzicy – wspomina o. Józef Płatek, naoczny świadek życia prof. Mąkoszy – wpatrywać się w jego pogodną twarz, wsłuchiwać w praktyczne wskazania i uczyć się od niego nie tylko kultury muzycznej ale także właściwych postaw życiowych, a zwłaszcza religijno-moralnych.

Podczas okupacji uczył śpiewu w Tajnym Wyższym Seminarium Duchownym Paulinów. Pod jego batutą działały na Jasnej Górze chór i orkiestra dęta kleryków. W styczniu 1945 r. ratował klasztor przed pożarem wzniesionym przez uciekających Niemców. Zagrożenie było ogromne ze względu na rozlaną benzynę. Po zlikwidowaniu pożaru prof. Mąkosza wyznał: „Czuję wielką radość, że mogłem się w jakiś sposób przyczynić do ratowania i ocalenia jasnogórskiego sanktuarium, które jest bezcennym skarbem i pomnikiem kultury narodowej...”.

– Profesor służył Pani Jasnogórskiej także jako organista i wokalista w kwar-



Wśród braci strażackiej, 1926

Kiedy zorientowali się, że rosyjskie czołgi są już blisko, rozlali w Arsenale benzynę, na dziedzińcu ustawili ciężarówkę,

Kochany i szanowany przez uczniów. Jednym z nich w Niższym Seminarium był ks. inf. Ireneusz Skubiś, były redaktor naczelny „Niedzieli”, który tak wspomina Profesora:

– Po maturze poprosiłem o autograf [...]. Na lekcjach podchodził do nas z pewnym dystansem, ale i z ogromną zyczliwością. Miał niezwykły zapał do tego co robił, był cały przesiąknięty muzyką i śpiewem. Chętnie dzielił się z nami doświadczeniami ze swojego długiego życia. Podkreślał, że uczciwość, rzetelność, solidność zawsze wygrywają.

Na dowód tych słów pod pięciolinia z nutami prof. Mąkosza napisał słowa: „Dobrze spełniony obowiązek ludziom szczęście daje” – mówi ksiądz infułat. Oprócz pracy zawodowej, działał społecznie.

Aktywnie uczestniczył w staraniach o wybudowanie gmachu dla filharmonii

Przypadek zrządził, że w 1906 r. młody Edward poznał sławnego już wówczas autora *Chłopców*. (...) Spotkał się także z Janem Kasprowiczem, a z Marią Dąbrowską w Kaliszu zrywał jabłka w... cudzych ogrodach. W późniejszym okresie towarzyszył jako ilustrator Stefanowi Żeromskiemu w podróży po Pomorzu.

tecie męskim. Talentem i pogodą ducha, otwartością i serdecznością profesor ubogacał innych – dodaje o. Jerzy Tomziński, kolejny świadek życia Edwarda Mąkoszy i były generał Zakonu Paulinów – nawet w czas okupacyjnej nocy potrafił nieść radość i optymizm. – Kiedy wybuchła wojna, kleryków z paulińskiego seminarium na Skałce w Krakowie umieszczono na Jasnej Górze. Prof. Mąkosza prowadził dla nas zajęcia śpiewu, zorganizował także orkiestrę symfoniczną. Dawał nam bardzo wiele – budził zamiłowanie do muzyki, uczył prawidłowej techniki mówienia i oddychania. W czasach, kiedy nie było głośników i mikrofonów, jego rady, jak mówić, aby być dobrze słyszany, a jednocześnie oszczędzać głos, były dla nas bezcenne. Wiele wniósł w życie muzyczne Jasnej Góry, ale patrząc od strony ludzkiej, to podczas okupacji nas, kleryków, uratował psychicznie. Wyobraźmy sobie tamten czas – wokół szaleje terror. Niemcy zajmują kolejno komnaty królewskie i inne pomieszczenia, a my mamy orkiestrę, gramy muzykę klasyczną, śpiewamy. To było wyjątkowo skuteczne antidotum na tamte czasy. Przypomnieć trzeba także, zapisaną w kronice, akcję gaszenia pożaru wzniesionego w klasztorze przez uciekających Niemców. W Arsenale Niemcy urządzili magazyn materiałów biurowych, amunicji i paliwa – mówi o. Jerzy Tomziński. – Mieli rozkaz, by w przypadku ewakuacji spalić klasztor.

na której umieścili kilkanaście maszyn do pisania i papiery, a potem ją podpaliłi. Od samochodu miał się zająć Arsenał, a ponieważ były tam pociski, prawdopodobnie klasztor wyleciałby w powietrze. Na krzyki „pali się”, na dziedzińcu zbiegł profesor i klerycy, z którymi prowadził próbę. Ponieważ był oficerem Straży Po-

Jako wybitny i uznany muzykolog udzielał lekcji śpiewu solowego największym sławom. Wystarczy wymienić choćby takie nazwiska jak Stefania Stelmaszczykowa – primadonna Opery Poznańskiej czy Antonina Kawecka. A Jan Kiepusa... To właśnie profesor Mąkosza udzielał pierwszych fachowych porad wokalnych „chłopców z Sosnowca”, u którego odkrył wielki talent.

zarnej, nie stracił zimnej krwi. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił to razem z klerykami odepchnął platformę w głąb dziedzińca, byle jak najdalej od Arsenалу.

„Dobrze spełniony obowiązek ludziom szczęście daje”

Edward Mąkosza był znaną i cenioną osobą w mieście, cieszył się szacunkiem swoich wychowanków. Po drugiej wojnie światowej kontynuował pracę nauczyciela muzyki m.in. we wspomnianym Instytucie Muzycznym (przekształconym w Państwową Szkołę Muzyczną), w częstochowskich liceach czy Niższym Seminarium Duchownym.

i powołaniu do życia Państwowej Orkiestry Symfonicznej, organizował liczne koncerty. Był pomysłodawcą i organizatorem Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Częstochowskiej, Zespołu Pieśni i Tańca przy Politechnice Częstochowskiej oraz działaczem Towarzystwa Popierania Kultury Regionalnej. Zebrał, opracował i rozpiisał na chór i orkiestrę około 1000 pieśni i przyśpiewek z regionu częstochowskiego.

Częstochowski Oskar Kolberg

Był miłośnikiem folkloru, Oskarem Kolbergiem dla regionu częstochowskiego. Jeździł po wsiach i zapisywał

utwory ludowe, robił to fachowo i pieczołowicie, zebrał ponad dwa tysiące melodii i pieśni. Były one kanwą jego twórczości kompozytorskiej.

Jego dorobek twórczy jest przechowywany w jasnogórskim archiwum. W okresie międzywojennym reprezentował częstochowskie środowisko muzyczne w Miejskiej Komisji Kulturalno-Oświatowej, powołanej przez Radę Miasta w 1936 r.

W pierwszych latach powojennych nawiązał współpracę z Polskim Radiem, która trwała aż do jego śmierci. Jego opracowania i utwory o charakterze ludowym weszły do repertuaru wielu zespołów regionalnych w całym kraju. Niestrudzony w propagowaniu kultury muzycznej, czego przejawem były m.in. odczyty wygłaszane na terenie całej Polski. Ta aktywna i wielowymiarowa działalność Edwarda Mąkoszy spotykała się z dużym uznaniem.

Wielokrotnie za swoją pracę odznaczony nagrodami państwowymi. Otrzymał liczne odznaczenia, m.in. Krzyż Oficerski „Polonia Restituta”, Złoty Krzyż Zasługi i Order „Pro Ecclesia et Pontifice”, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, został także laureatem Nagrody Częstochowy. A po śmierci jedną z ulic władze miasta nazwały imieniem Edwarda Mąkoszy.

Podczas jubileuszu 25-lecia jego pracy w Częstochowie Aleksander Drób tak scharakteryzował sylwetkę jubilata na łamach „Gońca Częstochowskiego”: „...wytrawny kapelmistrz (...) śpiewak, organista, akompaniator, nawet kompozytor, wreszcie umiłowany przez młodzież nauczyciel. Urodzony optymistą, zawsze pogodny, koleżeński, nie pozbawiony zalet towarzyskich, zyskał sobie ogólną sympatię oraz popularność w szerokich sferach naszego miasta”.

Pogrzeb pod okiem... służb bezpieczeństwa

Profesor Mąkosza zmarł 25 kwietnia 1974 r., dożywszy sędziwego wieku 88 lat. Pogrzeb profesora dla władz komunistycznych stał się niewygodnym problemem. Zaraz po śmierci Edwarda Mąkoszy szkoły i zakłady pracy w Częstochowie otrzymały serię telefonów z zakazem: chórom i orkiestrom nie wolno brać udziału w pogrzebie. Jedną z zakładowych orkiestr wyłamała się. Muzycy przyszyli wprawdzie bez mundurów, jako osoby prywatne, ale z instrumentami, aby towarzyszyć ukochanemu mistrzowi w ostatniej drodze. Następnego dnia kapelmistrz orkiestry został zwolniony z pracy. Zaraz po śmierci ówczesne władze partyjne zwróciły się do rodziny z zapytaniem, jaki rodzaj pogrzebu wybiera. Jeśli państwowy bez udziału księży wtedy miasto pokryje koszty, trumna z honorami będzie przewieziona na lawecie na cmentarz. Profesor Mąkosza był człowiekiem religijnym, organistą na Jasnej Górze wobec



tego nie było innej alternatywy jak pogrzeb kościelny.

Trumna z ciałem profesora została wystawiona w jego domu przy ul. Dąbrowskiej 18 a. Przez cały dzień dom był obserwowany przez ówczesne służby bezpieczeństwa. W związku z tym, że pogrzeb miał charakter kościelny – milczały wszystkie lokalne media – w żad-

W związku z tym, że pogrzeb miał charakter kościelny – milczały wszystkie lokalne media – w żadnej gazecie nie mogło być najmniejszej wzmianki o śmierci profesora, postaci znanej nie tylko w Częstochowie.

nej gazecie nie mogło być najmniejszej wzmianki o śmierci profesora, postaci znanej nie tylko w Częstochowie. W przeddzień pogrzebu późnym wieczorem pod dom podjechała Nysa i trumnę przewieziono na Jasną Górę. Na podjeżdżający samochód czekali już Ojcowie Paulini. Trumnę przywitano z honorami i wprowadzono w asyście zapalonych pochodni. Umieszczono ją na katafalku w kaplicy św. Piotra i Pawła. Następnego dnia uroczysty kondukt wyruszył z Jasnej Góry i skierował w stronę ulicy 3 Maja. Trasa miała przebiegać dalej ul. Jasnogórską, Wałami Dwernickiego na cmentarz Kule, a więc bocznymi a nie głównymi ulicami miasta. Taki był nakaz komunistycznych władz. Trumnę złożono w grobie na zabytkowym cmentarzu Kule. W pogrzebie nie mogła uczestniczyć młodzież szkoły muzycznej, ani nauczyciele a także częstochowskie orkiestry dęte. Za uczestnictwo w pogrzebie groziła utrata stanowiska i pracy.

Wpisany w poczet konfratrów paulińskich

Pamięć o profesorze jest nadal żywa. Do dzisiaj jest on jedną z najbardziej znaczących postaci w życiu muzycznym miasta. Jego nazwisko przez ponad 60 lat pojawiało się przy okazji wszystkich niemal wydarzeń muzycznych w Często-

chowie, m.in. tak ważnych, jak reaktywowanie orkiestry symfonicznej czy budowa Filharmonii. To właśnie Edwardowi Mąkoszy została poświęcona wystawa zrealizowana w ramach VIII Dni Muzyki w 2006 r., która zaprezentowała postać wybitnego muzyka, uwzględniając różnorodne aspekty życia i pracy twórczej. Profesor wychował wielu znakomitych muzyków. Dzięki Świętu Muzyki, profesor otrzymał po latach należny hołd chórów i orkiestr, którym kiedyś zabroniono udziału w pogrzebie.

Dorobek pozostawiony potomnym przez prof. Edwarda Mąkoszę jest nie do przecenienia. Poza utworami ludowymi, profesor pisał muzykę na różne instrumenty i grał prawie na wszystkich. Celował w muzyce organowej – uważany był za prawdziwego wirtuoza. Natomiast pieśni profesora Mąkoszy mają charakter patriotyczno-maryjny ze względu na epokę, w jakiej powstały. Są to bardzo piękne i od serca płynące utwory.

Profesor pozostał wierny muzyce i Jasnej Górze do końca swoich dni. Dzięki tytułowi konfratra znalazł się w gronie osób najbardziej zasłużonych i zasłużonych dla Narodowego Sanktuarium. W klasztornej kronice pod datą 25 kwietnia 1974 r. zanotowano: „Zmarł wielce zasłużony dla Zakonu i Jasnej Góry

konfrater pauliński prof. Edward Mąkosza. Profesor Mąkosza przez 44 lata prowadził na Jasnej Górze chór żeński. Kierował też akcją gaszenia pożaru wzniesionego przez uciekających z Jasnej Góry Niemców 16 stycznia 1945 r.”. Po jego śmierci rodzina złożyła rękopisy utworów w jasnogórskim archiwum.

Bibliografia:

Katarzyna Ozimek, Janusz Jadczyk, „Pamiętki po profesorze Edwardzie Mąkoszy”, w: „Rocznik Muzeum Częstochowskiego 2007”.

Tadeusz Gierymski, „Edward Mąkosza”, w: „Ludzie trzydziestolecia. Sylwetki zasłużonych dla województwa katowickiego” – praca zbiorowa pod red. Henryka Rechowicza, Katowice 1974.

„Pamiętnik Edwarda Mąkoszy” (rękopis).

Relacja kuzynek i syna Andrzeja Mąkoszy: spisał i opracował Aleksander Cieślak – strona internetowa LO im. H. Sienkiewicza w Częstochowie.

Anna Wyszynska, „Konfrater, strażak, kompozytor”, w: „Niedziela” 19/2007.

Józef Stanisław Platek OSPPE, „Życie muzyczne na Jasnej Górze XX wieku”, w: „Studia Claromontana 20, Warszawa 1986 r.

Wanda Malko, „Edward Mąkosza (1886-1974)”, w: „Niedziela” 44/2011.

Wanda Malko, „70 lat Orkiestry Symfonicznej w Częstochowie. Filharmonia Częstochowska im. Bronisława Hubermana 1945-2015”, Częstochowa 2015.

Każda epoka ma „swojego” Chopina. Za każdym razem jest to oczywiście Chopin prawdziwy, autentyczny. II połowa XIX w. była widowiskiem zmagania się dwóch wizji muzyki chopinowskiej: wirtuozowskiej i skameralizowanej. Propagatorami tej drugiej byli pianiści, którzy czuli się bezpośrednio spadkobiercami Chopina i wykonawcami jego artystycznego „testamentu”, na przykład Jan Kleczyński, którego wykłady *O wykonywaniu dzieł Chopina* są do dziś wzorcem dla tych, którzy widzą w Chopinie „klasyka romantyzmu” i czują się zobowiązani do przestrzegania takich reguł, jak naturalność, prostota, równowaga między treścią i formą. Początek XX w. przyniósł odnowienie estetyki interpretacji chopinowskich w duchu modernizmu – zaowocowało to po raz kolejny „przycięciem rogów” lwom fortepianu, jak również dość kontrowersyjną propozycją grania muzyki chopinowskiej w sposób celowo „suchy” i ściszy (na temat estetyki grania Chopina w okresie międzywojennym dużo mówi ówczesna krytyka muzyczna – do tej pory, o dziwo, niemal zupełnie nieznaną – obecnie przypominiana na kartach nowo wydanej przez NIFC antologii *Chopin w krytyce muzycznej (1918–1939)*). Czasy powojenne to okres boju o autorytet, podjętych przez grupę pianistów polskich związanych głównie z warszawską uczelnią muzyczną, będących równocześnie jurorami kolejnych konkursów chopinowskich. W toku tych boju tradycyjny „ideał” chopinowski pozostał w zasadzie nienaruszony – w poglądach wyrażanych przez Jana Ekiera, Reginę Smendziankę czy Lidię Kozubek odnajdziemy bez trudu echa myśli XIX-wiecznej. Ogromny przełom przyniosły natomiast nasze czasy. Zdziałały tu dwa, sprzeczne zresztą, impulsy. Z jednej strony wykonawstwo chopinowskie zostało „usportowione”, czyli nastawione na bicie rekordów szybkości i głośności, w czym pomogły, podobnie jak w sporcie, nowe metody treningu fizycznego i psychologicznego, z drugiej strony uległo presji „naukowości”. Obowiązującym założeniem, wywiedzionym z teorii i praktyki wykonawstwa muzyki dawnej, kultywującej ideał *historically informed performance*, stało się oparcie interpretacji na autentycznym tekście chopinowskim. Rezultatem – swego rodzaju „kult tekstu”, skutkujący paradoksalnie „udziwnieniem” wykonania, w których pojawiły się elementy odczytania owego tekstu nakazane przez muzykologów. Z kręgu angielskojęzycznego wypłynęła np., nienowa zresztą sugestia, iż muzyka Chopina brzmi orientalnie. Przełożyło się to na powszechną dziś wśród pianistów ambicję stylizowania mazurków na muzykę pierwotną, wręcz dziką. Po drugie, wymyślono, że „tak naprawdę” Chopin jest polifonistą, więc pianiści zaczęli obowiązkowo eksponować – niekiedy w sposób wręcz karykaturalny – środkowe, poboczne głosy kompozycji. Sprawdzeniem kompetencji wykonawcy stało się też

Między nutami

MAGDALENA DZIADEK

kontrolowanie (w praktyce – znaczne ograniczanie) pedalizacji, która w wykonaniach starych pianistów powodowała tak urokliwe owiewanie chopinowskich figur brzmieniową mgiełką. Teraz każdy akord musi brzmieć tyle, ile zapisano w nutach, wypada też uwzględnić jako ciszę wszystkie pauzy. Są oczywiście także dobre strony nowej, akademicko-konkursowej pianistyki chopinowskiej, nie sposób jednak nie zauważyć, że podporządkowanie się modom naukowym przyniosło jako skutek standaryzację interpretacji. Niewiele miejsca zostaje na własne pomysły. Przekonałam się o tym, słuchając recitalu Krzysztofa Książka (17 lutego, koncert z cyklu „Środa Młodych w NOSPR” firmowany przez Instytucję „Silesia”), jednego z najlepszych polskich uczestników zeszlorzocznego konkursu chopinowskiego w Warszawie. Strona sportowa – bardzo dobry, aspekt kompetencyjny – też wzorowo (mazurki baaardzo dzikie), wkład własny – na szczęście jest, w miłej postaci młodzieńczej werwy i energii, eksponowanej w każdym utworze od przysłowiowego pierwszego akordu. Krzysztof Książek zagrał m.in. komplet mazurków z op. 7, *Fantazję f-moll*, *Scherzo h-moll* i *Polonez fis-moll*, a na bis dodał jeszcze dwa mazurki.

W NOSPR – pod znakiem muzyki ludowej

21 lutego zagrały w Sali Kameralnej NOSPR dwa zespoły specjalizujące się w muzyce współczesnej: katowicka Orkiestra Muzyki Nowej (dyrygent: Szymon Bywalec) i słowacki Quasars (dyrygent: Ivan Buffa, który wystąpił również jako kompozytor i pianista). Obydwo zespołów słuchaliśmy na zmianę bądź jednocześnie w utworach doskonalnie nam znanych (*Preludia taneczne* Lutosławskiego, *Aus aller Welt stammende* Zygmunta Krauzego), jak i w zagranicznych nowościach. Z tych ostatnich zabrzmiała na początku kompozycja słowackiej autorki Jany Kmitovej *Metamerte*, skomponowana na zespół instrumentalny oraz ludową słowacką „fujarę”. Na „fujarze” zagrał Michał Palko, wydobywając z niej fiałole-



ty, dwudźwięki i inne brzmienia „dziwne”. Kulminacją kompozycji było odegranie przez solistę autentycznej melodii orawskiej. Ivan Buffa przedstawił utwór zatytułowany *Organismo*, będący skomplikowaną grą odcinków instrumentalnych opartych na starannie wyselekcjonowanym materiale dźwiękowym. Kompozycję uatrakcyjniała obecność pojawiających się gdzieniedzie rytmów tanecznych. Na zakończenie koncertu muzycy obydwu zespołów zagraли błyskotliwą kompozycję francuskiego twórcy Bruno Mantovaniego p. t. *Si prés, Si loin* na dwa fortepiany (w tej roli Ivan Buffa i Diana Buffa) i zespół instrumentalny (dyrygował Szymon Bywalec). Trudna – wymagająca od instrumentalistów predyspozycji solistycznych, jak i umiejętności „zgrania się” muzyka zabrzmiała, zgodnie z intencją kompozytora, precyzyjnie i przejrzysto.

Muzyka jugosłowiańska w NOSPR

W tej samej sali 6 marca odbył się koncert, w czasie którego Orkiestrą Muzyki Nowej zadyrygował pochodzący ze Słowenii Steven Loy. Program wypełniono bardzo mało znaną w Polsce muzyką, kompozytorów urodzonych w byłej Jugosławii. W pierwszej części zaprezentowano utwory Berislava Šipuš (rocznik 1958), Ališera Sijaricia (ur. 1969) i Uroša Rojka (ur. 1954) – w ogólności dość szkolne, przynoszące standardowe rozwiązania inspirowane sonoryzmem i spektralizmem. Wielką niespodzianką była natomiast druga część imprezy. Prawykonanie utworu *fingers of rain* Urški Pompe (ur. 1969) było prawdziwym tryumfem autorki, która pojawiła się zresztą osobiście w NOSPR. Jej utwór, również zdradzający komitwę ze spektralistami tudzież Ligetim okazał się świetnie skonstruowanym obrazem muzycznym, wciągającym słuchacza swym „przyrodniczym” kolorystem i tajemniczym nastrojem. Świetny był również utwór finałowy – *On the Guarding of the Heart* Djuro Živkovića (ur. 1969) – szeroko zakrojony fresk ze świetnie zaplanowaną gradacją napięć, polegającą na alternowaniu odcinków statycznych („medytacyjnych”) i dynamicznych („orgie”) rytmów à la *Święto wiosny*.

Przypomnijmy przy okazji, że Katowice miały przed wojną znaczne zasługi w propagowaniu muzyki jugosłowiańskiej. Od 1936 roku działało tu Koło Polsko-Jugosłowiańskie (jedno z kilku takich kół działających w Polsce). Zajmowało się m.in. organizowaniem koncertów. Występowały w nich śląskie chóry, a także soliści z konserwatorium, m.in. Józef Cetner i Stefania Allinówna. Pieśni jugosłowiańskie miał w repertuarze chór „Ogniwo” prowadzony przez Stefana Mariana Stoińskiego. Swoistym ewenementem było powstanie przy kopalni w Knurowie robotniczego zespołu tamburasców. Cieszył się on znaczną popularnością i nawet dostąpił zaszczytu występu w katowickiej rozgłośni Polskiego Radia.



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Nasza woda

JOLANTA KARMAŃSKA

Czy wystarczy światu wody? Jej niedobory odczuwa już ponad czterdzieści procent ludzi na świecie. Ponad miliard ma do niej mocno utrudniony dostęp. Co roku z tego powodu rocznie umiera 3,5 miliona osób, w tym ponad dwa miliony dzieci. Z tego też powodu wyhamowują gospodarki wielu krajów, pogarsza się jakość życia i... Już nie tylko o ropę, ale i wodę toczą się wojny, nasilają masowe migracje ludności.

Wody zużywamy coraz więcej. Mamy jej do dyspozycji coraz mniej. Ze względu na przeludnienie, zanieczyszczenie środowiska naturalnego, nadmierną eksploatację jej zasobów i rozregulowany klimat. Na co więc czekamy? Kiedy zrozumiemy powagę sytuacji i zaczniemy w sposób bardziej zrównoważony gospodarować wodą, chronić ją i szanować, by starczało jej wszystkim?

Organizacja Narodów Zjednoczonych, chcąc zwrócić uwagę na zagrożenie zasobów wodnych Ziemi, ustanowiła w 1992 roku Światowy Dzień Wody. Osiem lat później Zgromadzenie Ogólne ONZ zgodnie przyjęło rezolucję o prawie każdego człowieka w dostępie do wody pitnej.

Od pierwszego świętowania Światowego Dnia Wody w 1993 roku, sytuacja tylko się pogorszyła. Wkroczyliśmy na równię pochyłą. Według Światowego Forum Ekonomicznego już w 2030 roku susza klimatyczna ostatniej dekady może rozprzestrzenić się nawet na czterdzieści procentach powierzchni Ziemi. Czyli deficyt

wód słodkich jeszcze się powiększy. A mamy ich naprawdę niewiele. Niecałe 3 proc. wszystkich zasobów Ziemi.

Nie wszystkie są do naszej dyspozycji. Jej najbogatsze zasoby uwięzione w topniejących lodowcach, wraz ze wzrostem temperatury spływają do słonych mórz i oceanów. (pokrywają one 97 proc. powierzchni naszej planety). Drugie ich źródło pod względem wielkości to wody podziemne. Nie wszystkie są dostępne, wiele z nich zdołaliśmy zanieczyścić. Podobnie jak te najłatwiej dostępne w rzekach, jeziorach, mokradłach. Na dodatek eksploatujemy je w tak ogromnej ilości i w tak szybkim tempie, że nie są w sta-

nie normalnie się odtwarzać. I przestają być w pełni odnawialne.

Z natury dość stabilny światowy bilans wodny, zmienia się, zdaniem naukowców, nieodwracalnie. I podobnie jak w przypadku ocieplającego się klimatu, świat nie reaguje skutecznie na to zagrożenie.

Dotyczy to także naszego kraju, gdzie gospodarowanie wodami ma szczególne znaczenie. Polska pod względem ich zasobów lokuje się na przedostatnim miejscu w Europie. Na jednego mieszkańca naszego kraju przypada trzykrotnie mniej wody niż wynosi średnia europejska. I choć od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku wiele się zmieniło, do dziś nie wypracowaliśmy krajowej, spójnej strategii gospodarowania wodami. Od lat słyszymy zapowiedzi o potrzebie zarządzania nimi w systemie zlewniowym, racjonalnym ich wykorzystywaniu, poprawie czystości, bezpieczeństwie przeciwpowodziowym, zwiększeniu retencji i magazynowaniu wód, wykorzystywaniu szlaków wodnych do transportu, pozyskiwaniu energii wody na większą skalę i....

Obecnie w resorcie środowiska przygotowuje się nowe Prawo wodne, planowane są kolejne raz najbardziej potrzebne reformy. Dłużej zwlekać nie wolno. Niedostatek wody dotyka wiele regionów kraju. Uświadamiają nam to powtarzające się katastrofalne powodzie i susze. Jak choćby ta ubiegłoroczna, gdy wysychały nie tylko rzeki i studnie. Także ujęcia wody i krany. Ograniczenia poboru wody odczuła gospodarka.

Śląskie źródła

Aglomeracja Śląska, po wielu trudnych doświadczeniach deficytu wody, regramentowania jej w czasach mocno wodochłonnego, starego przemysłu, obroni-



Fot. Janusz Moczulski



W Katowicach razem z Arką uczymy się szanować wodę



W Rybniku z Gają domagamy się czystej Nacyny!

ła się przed dotkliwą posuchą w kranach w 2015 roku. Poradził sobie z nią znakomicie, zarządzany przez Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów sprawny, elastyczny, bezpieczny i coraz bardziej energooszczędny system zaopatrywania w wodę do picia z górskich rzek, zaopatrujący blisko 3,5 mln mieszkańców.

Tworzy ją budowana konsekwentnie od 130 lat unikatowa w skali Europy, niemal 1000-kilometrowa, ułożona pierścieniowo sieć magistralna. Z ujęciami wody, zakładami jej uzdatniania, przepompowniami, podziemnymi zbiornikami i z nowoczesniejszym laboratorium.

Nie zdajemy sobie sprawy w jak bardzo szczęśliwej jesteśmy sytuacji mając wodę w kranie. I jak fascynująca może być podróż do jej zespolonych źródeł przyrodniczych, technicznych i twórczych ludzi, którym na co dzień ją zawdzięczamy. W coraz trudniejszych warunkach do jej pozyskiwania.

Taka podróż jest możliwa, o czym przypomniał mieszkańcom obchodzony zawsze 22 marca Światowy Dzień Wody. Jego tegorocznym hasłem była „Woda i praca”. Bardzo trafnie. Ponad połowa pracowników na świecie – około 1,5 miliarda, zatrudniona jest w sektorach związanych z wodą. Druga połowa światowych miejsc pracy jest od wody i jej dostarczenieli zależna.

Jest wśród nich Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów, które z tej okazji wspólnie z Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach oraz władzami stolicy Śląska, przygotowało nie lada wydarzenie. Zbiorową podróż do źródeł wody, która płynie w naszych kranach.

Wystawa na Rynku

Umożliwiła ją niezwykła wystawa na katowickim Rynku. Prezentowane są na niej przez kilka tygodni wielkoformatowe zdjęcia lotnicze Janusza Moczulskiego, znakomitego fotografa, który z wielką pasją od lat uwiecznia Śląsk widziany z nieba.

Tym razem ich tematem są zbiorniki wodne – źródła wody pitnej dla mieszkańców regionu. Wpisane w pejzaż przyrody i siedlisk ludzkich niezwykle sztuczne jeziora, zaadaptowane przez naturę i pozornie tylko spokojne rzeki. Także hi-

storyczne już zapory i elektrownie wodne oraz mniej znane inne obiekty hydrotechniczne.

Wartość tej wystawy dopełniają celne, krótkie i proste w przekazie publicznym opisy zdjęć red. Marcina Czyżewskiego. Autor uwzględnia w nich również echa historii, tajemnic, nadzwyczajnych zdarzeń i oczywiście cuda natury.

Można się z nich dowiedzieć m. in.: jak niezwykłą historię ma zapora w Kozłowej Górze i jaka moc sprawcza tkwi w jeziorze goczakowickim? Co kryje las murkowski w najwyższym punkcie tej części Katowic, a co kępy drzew na odcinku sieci magistralnej GPW w Mikołowie? Który z zbiorników beskidzkich zbudowano na samym szczycie góry i która z rzek dostarcza mieszkańcom Śląska najwięcej wody do picia?

Nieodłączną częścią porządkowania gospodarki wodnej i ochrony wód jest edukacja. Docenia ją szczególnie Wojewódzkie Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów, które współpracuje ze szkołami, przedszkolami i środowiskami kościelnymi. Coraz więcej dzieci i młodzieży nie tylko gości w najciekawszych obiektach GPW, ale i uczestniczy w specjalnie dla nich organizowanych konkursach.

I tę kampanię, jak zapowiedział prezes Zarządu WFOS i GW w Katowicach Andrzej Pilot podczas Światowego Dnia Ziemi, Fundusz dofinansuje.

Ochrona wód tak jak promocja szeroko rozumianej ekologii jest jednym z czołowych priorytetów Funduszu. Wiedzą o tym najlepiej nie tylko instytucje, korzystające z wsparcia swoich inwestycji ekologicznych (GPW SA skorzystało dotąd z dofinansowania swoich przedsięwzięć w wysokości blisko 43 milionów złotych), ale i organizacje pozarządowe, promujące ekologię.

Gaja i Arka

Są wśród nich znane dobrze w całym kraju: Fundacja Ekologiczna Arka i Klub Gaja. Obie te organizacje przygo-

towały widowiskowe spektakle uliczne, by uświadomić społeczeństwu rolę wody i niebezpieczeństwo, jakie niesie ubytek jej zasobów.

Klub Gaja, który od lat swoim ogólnopolskim programem pn. „Zaadoptuj rzekę” porywa młodzież, samorządy, obywatele do odkrywania rzek, akwenów w ich okolicy, angażując ich do działań i otaczania rzek opieką – tym razem nieprzypadkowo był animatorem Światowego Dnia Wody w Rybniku. W ub. roku przepływająca przez to miasto piękna, malownicza rzeka Ruda, zaadoptowana przez rybniczczan, została ogłoszona Rzeką Roku 2015. Lecz podczas święta wody to nie Ruda, lecz jej dopływ Nacyna (jedna z najbardziej zasolonych rzek w kraju) była w centrum ich uwagi i troski. Na rybnickim Rynku oraz na bulwarach nad Nacyną w barwnym korowodzie szczupaków uczniowie skandowali, by i do tej rzeki powróciły ryby.

Współgospodarzem Światowego Dnia Wody na katowickim Rynku była Fundacja Ekologiczna Arka. Obok prezentowanej plenerowej wystawy zbiorników wodnych, zorganizowała happening „Łapmy wodę”. Równocześnie była to inauguracja wielkiej regionalnej kampanii edukacyjnej, zachęcającej mieszkańców do gromadzenia w miarę możliwości wody – deszczówki oraz szanowania wody, jaką mamy do dyspozycji.

Wkrótce w trasę wyruszy wodne, Mobilne Centrum Edukacji Ekologicznej. Zaplanowano w nim, jak zwykle, ciekawe, niekonwencjonalne zajęcia. Uczniowie będą poznawać zasady funkcjonowania nowoczesnych instalacji ekologicznych, związanych z gospodarką wodną poprzez zabawę i własną ciekawość.

Ten dobrze znany nie tylko na Śląsku pojazd tematyczny ma zamontowane wiatraki i systemy solarne. I dodatkowo rowerowe kino wodne – zasilane energią z odnawialnych źródeł, w którym prezentowane będą lokalne problemy gospodarki wodnej oraz sposoby ochrony wód.



Dofinansowano ze środków Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach

Rozpoczął się nowy cykl comiesięcznych spotkań z poetami i pisarzami, organizowany pod patronatem chorzowskiego Portu Poetyckiego. W nowym roku Ewa Olejarz i Sabina Waszut zapraszają gości do księgarni Zła Buka, która mieści się w budynku galerii ASP Rondo Sztuki w Katowicach.

24 lutego o godzinie 18.00, przy żółtym stoliku jako pierwsza zasiadła Katarzyna Bereta (obecnie Kuroczka) – doktor nauk humanistycznych, literaturoznawca, eseistka, krytyk literacki, poetka, prozaik, stypendystka Ministra Kultury (2014), autorka wywiadów z ważnymi postaciami polskiej kultury, literatury i nauki, odpowiedzialna za dział krytyki literackiej w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Śląsk” oraz za stronę GTL i „Śląska”.

Podczas spotkania Katarzyna Bereta opowiadała o pasji fotografowania, o niezwykłych przeżyciach podczas przeprowadzanych wywiadów, przybliżyła również uczestnikom wieczoru Śląsk taki, jakim go postrzega w swoich poszukiwaniach i badaniach kultury i literatury tego regionu.

Autorka zaprezentowała przejmujący fragment sztuki *Ja Gustaw*, która powstała w ramach stypendium. Goście mogli posłuchać opowieści o Gustawie Morcinku, postaci szczególnie bliskiej Katarzynie Berecie.

Był również czas na poezję. Autorka przeczytała kilka wierszy, które jak sama powiedziała, są w niej, ale jeszcze nie potrafią uzyskać odpowiedniego kształtu, zamienić się w słowa, z których będzie zadowolona. Zgromadzona na spotkaniu publiczność, nie podzieliła tego zdania, wiersz uznano za pełne i wartościowe.

Kubek z plakatem BuGadek



Kubek z plakatem BuGadek

Podczas ponadgodzinnej rozmowy dotknięto zaledwie ułamka tematów, którymi zajmuje się Katarzyna Bereta. Niedosyt zachęca do śledzenia dalszych poczynąń naukowych i literackich lutowego gościa.

W marcu zaproszenie do rozmowy przyjęła Sabina Wawerla-Długosz, związana z Katowicami poetka, która pisze i publikuje już od kilkunastu lat. Jej wiersze ukazywały się w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Śląsk”, w „Opcjach”, „Instynkcie”, „Arkadiach”. Były czytane na antenie Radia Katowice. Bohaterka marcowego spotkania zdobyła wiele wyróżnień, a także III miejsce w konkursie im. Rafała Wojaczka w roku 2013. Dużą część spotkania zajęła rozmowa na temat promocji literatury. Sabina Wawerla-Długosz opowiadała o swojej pracy w Forum Literackim, którego jest organizatorką. Nie zabrakło również poezji. Wśród wielu przeczytanych wierszy, zebranych w debiutanckim tomiku *Sprawozdania z obserwacji*, wydanym

Od Morcinka do Netza. Mistrzowie współczesnych literatów

SABINA WASZUT



Ewa Olejarz i Sabina Wawerla-Długosz

przez krakowskie wydawnictwo Miniatura, najbardziej poruszył publiczność ten dedykowany synowi.

Podwójnie
Ksaweremu
Witaj „double” – okrasza uśmiechem krągłości,
Jakich sama nie zdołałabym sobie przydarzyć
Pod lewym żebrem uwileś domek, wśród
Unerwionych nitek pleciesz cichutko początek.
Słowa o których nikt jeszcze nie słyszał.
Rozbijasz łokciami za ciasną bańkę,
Nadzievasz na nóżki senne ślimaki i klaszczesz
Widząc odwrócony czerwony łąd.
Tak to wygląda – do góry nogami
Stoi na głowie każde drzewo i ptak
Dużo, wciąż więcej tego.
Przestrzeń otwiera kadr...

Podczas spotkania wielokrotnie został wspomniany Feliks Netz poeta i prozaik, wieloletni redaktor miesięcznika „Śląsk”, który był dla Saby Wawerli-Długosz nauczycielem, a pozostał mistrzem.

Spotkania z Katarzyną Beretą i Sabiną Wawerłą-Długosz, kobietami pełnymi różnorodnych pasji, były doskonałym preludem, a jednocześnie zapowiedzią kolejnych rozmów BuGadek.

Zaproszenia przyjęli:
Kwiecień – Arkadiusz Kremza
Maj – Jan Baron
Czerwiec – Łucja Dudzińska z Grupą Na Kreche
Wrzesień – Barbara Janas-Dudek i Jacek Dudek
Październik – Sabina Waszut
Listopad – Ewa Olejarz

Zdjęcia: z archiwum Saby Waszut



Katarzyna Kuroczka (Bereta) i Sabina Waszut

Ten sędzia i ta sędzia

Rzeczowniki widniejące w tytule różnią się rodzajem, co podkreślają towarzyszące im zaimki wskazujące. Rzeczownik *sędzia* wyraźnie nawiązuje końcówką *-a* do deklinacji żeńskiej, podobnie jak wiele innych: *wojewoda, monarcha, poeta, hipokryta, psychiatra, dentysta, geodeta, wróżbita, logopeda, kosmita, jezuita, poliglota* etc. Prasłowiński rzeczownik rodzaju męskiego **sądbji* znany jest na gruncie polskim od XIII w., lecz pierwotnie odmieniał się rzeczownikowo: *sędzi-a, sędz-i, sędzi-ę, sędzi-ą* jak *poet-a, poet-y, poeci-e, poet-ę, poet-ą* itd. Od początku XV w. zaczęła się szerzyć odmiana z końcówkami przymiotnikowymi: *sędzi-ego, sędzi-emu*, a dziś pozostałościami odmiany rzeczownikowej są narzędnik *sędzią* i miejscownik *sędzi*, przy czym w słownikach formy te są już od lat 30. XX w. odnotowywane jako dawne lub przestarzałe, a jako współczesne podaje się wersje przymiotnikowe obu: *sędzim*.

Sędziami, prawnikami bywali dawniej wyłącznie mężczyźni. Mimo zmian związanych z postępują-

cą od końca XIX w. emancypacją i możliwością zdobywania różnorakiego wykształcenia kobiety nie mogły pracować w zawodach prawniczych, uważano bowiem, że praca tego typu jest nieodpowiednia dla ich wrażliwości. W Polsce dopiero w latach 30. XX w. 7 kobiet zostało sędziami, a 1 prokuratorem. Obecnie nikogo już nie dziwi kobieta przywdziewająca togę. Za zmianami społecznymi nie od razu nadążał język, zwłaszcza że kobiety w gronie prawników stanowiły mniejszość. Z czasem jednak było ich coraz więcej i zaczęto stosować odmianę różną od wersji męskiej. Dla uwydatnienia różnic posłużyły się połączeniami z rzeczownikami *pan* i *pani*: (*to jest*) *pan sędzia, pani sędzia*; (*nie ma*) *pana sędziego, pani sędzi*; (*przyglądam się*) *panu sędziem, pani sędzi*; (*widzę*) *pana sędziego, panią sędzię*; (*rozmawiam z*) *panem sędzią, panią sędzią*; (*mówię o*) *panu sędzim, pani sędzi*. W liczbie mnogiej używamy form: *sędziowie* (mężczyźni) i *sędzie* (kobiety), odpowiednio również: (*nie ma*) *sędziów* i *sędzi*; w celowniku formy są jednakowe:

(*przełądam się*) *sędziom*; w bierniku mamy (*widzę*) *sędziów* i *sędzie*; w narzędniku i miejscowniku formy są takie same dla obu rodzajów: (*idę z*) *sędziami*, (*mówię o*) *sędziach*.

Niektórzy używają formy *sędzina*, nie jest to jednak nazwa zbyt precyzyjna, jednoznaczna, w dawnej polszczyźnie *sędzią* nazywano bowiem żonę sędziego, w podobny sposób tworzono inne nazwy odmężowskie, jak *hrabina* ‘żona hrabiego’, *wojewodzina* ‘żona wojewody’, *księżna* ‘żona księcia’, *prezesowa* ‘żona prezesa’ itd. Obecnie nie nazywa się kobiety za pomocą tytułu czy zawodu jej małżonka i *sędzina* w znaczeniu ‘żona sędziego’ jest określeniem przestarzałym. Z kolei *sędzinę* w znaczeniu ‘kobieta sędzia’ uznaje się dziś za określenie potoczne.

Oczywiście kobiety bywają także sędziami sportowymi, sędziują w konkursach, dlatego pojawiają się połączenia: *sędzia sportowa, piłkarska, konkursowa, polska*. W odniesieniu do prawniczek w sytuacjach oficjalnych używane są nazwy: *sędzia sądu okręgowego, rejonowego, rodzinnego*, chyba że mamy do czynienia z połączeniami typu *surowa sędzia, młoda sędzia*.

KATARZYNA WYRWAS



W muzeach
nie wszystkie
eksponaty
można zawsze
oglądać.
Postanowiliśmy
pokazywać
niektóre
na naszych
łamaczach.
Dziś pocztówka
ze zbiorów
Muzeum Historii
Katowic.



Szkoda, że tak piękny dworzec istnieje już tylko na pocztówce muzealnej. Miało się coś zmienić, miało być lepiej, na razie jednak nie widać, żeby tam pojawili się jacyś specjaliści od remontów, czy konserwacji zabytkowych obiektów...



OPERA

Po premierze „Ubu Króla” w Operze Śląskiej

Mocny wstrząs

MAGDALENA DZIADEK

Opera Śląska jest piątą polską sceną, na której wystawiono operę *Ubu Król* Krzysztofa Pendereckiego. Utwór został ukończony w 1991 roku i w tymże roku miał swoją prapremierę w Niemczech, podczas Festiwalu Operowego w Monachium. Prapremiera polska odbyła się w 1993 roku w Teatrze Wielkim w Łodzi (w reżyserii Lecha Majewskiego), następnie wystawiono operę w Krakowie (w reżyserii Krzysztofa Nazara), Warszawie (reżyser – Krzysztof Warlikowski) i Gdańsku (reżyser – Janusz Wiśniewski). Już samo zestawienie nazwisk polskich realizatorów sugeruje, w jakim kierunku zdążyła dotąd polska historia sceniczna dzieła. W języku historyków teatru nazywa się to „operą reżyserską”, a oznacza wizjonerski teatr, w którym sceniczne „tu i teraz” przemienia się w uniwersalne „zawsze i wszędzie”. Narzędziem owej przemiany jest zazwyczaj gra teatralnymi konwencjami, połączona z wpisywaniem w pierwotny przekaz rozmaitych kodów, szyfrów i symboli. Uniwersalistycznym ujęciem reżyserskim *Ubu Króla* sprzyja utrwalone w naszej świadomości dookreślenie miejsca akcji: „w Polsce, czyli nigdzie”. Tu przypomnę, że przed Jarry’em podobną myśl, a raczej bez-myśl o Polsce włożył Gustave Flaubert w usta jednego z bohaterów *Szkoły uczuć*, miernego literata Sénécala. Ten, szykując się do politycznej kariery, wygłosił przed kawiarnianą widownią następujące próbne przemówienie:

„Zawsze z tą samą radością... Naród polski nie zginie... będziemy nadal prowadzić nasze wielkie dzieło... Dajcie mi pieniądze dla mojej rodzinki...” „Zaśmiewali się słuchając go i orzekli, że wspaniały i dowcipny z niego kompan” – komentował Flaubert (cytuję według przekładu Ryszarda Engelkinga). Zarówno Flaubert, jak i Jarry prawią nam podobne morały na temat głupoty i arogancji władzy, jednak pierwszy wyraża się oszczędnie i mimo wszystko elegancko, drugi zaś gromadzi do przesady jaskrawe efekty, pragnąc mocno wstrząsnąć widzem. Jednak co najważniejsze, w powieści Flauberta zarówno Sénécal, jak i inni uzurpatorzy źle kończą, u Jarry’ego mamy natomiast przewrotny *happy end*.

Mocny wstrząs wydaje się być nadrzędną intencją realizatorów bytomskiej premiery *Ubu Króla*, którymi byli: Waldemar Zawodniński (reżyseria, scenografia), Jurek Dybał (kierownictwo muzyczne), Janina Niesobka (choreografia) i Maria Balcerk (kostiumy). W porównaniu z dotychczasowymi realizacjami spektakl jest bardziej realistyczny, miejscami wręcz naturalistyczny (jak w scenie młodości, które opanowują Żgrają Chamów po skonsumowaniu polskich potraw ze swińskiego koryta w scenie „Wielkie Żarcie” z pierwszego aktu). W ogóle w operze pojawia się sporo mięsa (również w postaci wulgaryzmów językowych), wykorzystano też element brzydoty – np. para głównych boha-

terów prezentuje się nam jako stadło wyjątkowo niechlujne. Realistycznie wypadła finałowa bitwa, jak również rozpoczynająca akt drugi scena „Odmóżdżanie”, którą zrealizowano z użyciem czytelnych symboli odwołujących się do rosyjskiego absolutyzmu i charakteryzującej ten ustrój wszechobecnej przemocy. Oczywiście nie sposób zdefiniować całe widowisko jako teatr realistyczny – ze scenami epatującymi dosłownością sąsiadują bowiem rozwiązania nawiązujące do poetyki symbolistycznej (np. scena „U Cara” w akcie II, w której biorą udział wyolbrzymione postacie carów oraz odrealnione postacie rosyjskich żołnierzy w złotych uniformach) lub ekspresjonistycznej (rozpoczynające akt I „Wielkie łoże Ubu i Ubicy”, w którym bohaterowie odbywają swoje koszmarnie igraszki). Jednego nie można się w bytomskim *Ubu Królu* doszukać: groteski, chyba że uznamy za nią dość niefortunny pomysł zakończenia sceny „U Cara” rejteradą kulejącego żołnierza poruszającego się za pomocą „balkonika”, czy też „zmarłychwstanie” Rozamundy z łóżka do opalania w scenie „U Króla” (akt I), rozegraną w scenerii klubu fitness. Rezygnacja twórców premiery z elementów groteskowych była, jak się wydaje, świadoma i wynikała stąd, że intuicyjnie uchwycili oni ton powagi, jaką tchnie muzyka Pendereckiego. Kompozytor co prawda wielokrotnie zapewniał, że muzyka *Ubu Króla* jest „zejściem z piedestału i obsyianiem go”



Anna Lubańska (*Matka Ubu*) i Paweł Wunder (*Ojciec Ubu*)



(cytuję z programu), jednak trudno się doprawdy z tym zapewnieniem zgodzić. Podobnie trudno przystać na obowiązującą wersję, która głosi, że w sensie gatunkowym Ubu Król jest *buffą*, zaś w aspekcie stylistycznym – rodzajem pastiszu, radosnego naśmiewania się z cudzych technik. Dotychczasowi komentatorzy opery wyliczyli kilkunastu kompozytorów, którzy złożyli jakoby swoje muzyczne podpisy w partyturze Krzysztofa Wielkiego. Usłyszano tam m.in. echa Mozarta, Rossiniego, Wagnera, Straussa, Musorgskiego, Strawińskiego, Szostakowicza, Berga, Weilla, a nawet Moniuszki. Jeśli nawet tak jest – to w większości owe sygnatury są dla odbiorcy nieczytelne. Nawiązania dotyczą bowiem głównie technik wokalnych i rozwiązań obsadowych, natomiast całość jest – mimo wszystko – wybitnie penderecka – przynajmniej w pierwszym akcie, bo należałoby wyjść od tego, że treść muzyczna obu aktów diametralnie się od siebie różni, tak jakby ich powstanie dzieliło dobre kilka dekad. W akcie pierwszym inwencja kompozytorska jest bardziej oryginalna i jednolita (choć pod koniec słychać rzeczywiście cytaty, ale z Bizeta), a jeśli już usiłujemy ją skojarzyć z jakąś tradycją – narzuca się nazwisko Wagnera, jako wzoru muzyki podniosłej i wykorzystującej olbrzymi diapazon ekspresji, nadto biorącej swoją specyfikę nie tyle z rozwiązań wokalnych, co z brzmień orkiestrowych. Dopiero w drugim akcie pojawia się więcej ostentacyjnych zapożyczeń. Nie licząc sceny „U Cara”, w której Penderecki zaproponował nam stylizację muzyki cerkiewnej bezpośrednio nawiązującą do wzorców XIX-wiecznych, słyszymy w nim liczne echa muzyki reprezentującej idiom militarny, w wersji wykształconej przez Carla Orffa i Kurta Weilla – świadomie tandetnej, skojarzonej z duchem muzyki popularnej. A więc przede wszystkim fanfary, a poza tym marsze i polonezy – te ostatnie występujące w wersji charakterystycznej dla XVIII-wiecznej Rosji, w której polonez funkcjonował jako gatunek ceremonialny.

Całość fantastycznie zinstrumentowana i tak też zagrana. Pod batutą Jurka Dybała orkiestra operowa i ustawiona na bal-



konie Orkiestra Wojskowa z Bytomia brzmiały precyzyjnie (brawa dla muzyków wykonujących solówki na instrumentach dętych). Gra obu zespołów charakteryzowała się odwagą, wręcz brawurą. Te same cechy można przypisać większości solistów, którzy pojawili się na scenie. Bardzo trudne partie tytułowe wykonali z wielkim powodzeniem Anna Lubańska i Paweł Wunder (którym te same role powierzyła poprzednio Opera Narodowa w Warszawie; Paweł Wunder śpiewał też *Ojca Ubu* w przedstawieniu krakowskim). Również śpiewacy mniej doświadczeni w Pendereckim stanęli na wysokości zadania: piękną i dobrą *Rozamundą* była Anna Wiśniewska-Schoppa, naiwnym *Królem Wacławem* – Zbigniew Wunsch. W roli synów Wacława obsadzono Leokadię Duży, Annę Noworzyn-Sławińską i Juliusza Ursyna-Niemcewicza. Spośród pozostałych wykonawców wyróżniła się dynamiką śpiewu oraz gry aktorskiej siódemka Chalmów. *Carowie* (Cezary Biesiadecki, Krzysztof Kotoński) byli należyście dostojni, *król Stanisław Leszczyński* (Włodzimierz Skalski) – zgodnie z zamysłem autora libretta dość nijaki, natomiast jakąjący

się *Posłaniec* (Janusz Wenz) niespodziewanie zabawny na tle ponurej akcji. Bardzo ważną rolę w spektaklu miały zespoły. Chór i balet powiększono, tak że w scenach zbiorowych na scenie pojawiał się wręcz tłum. Reżyser mistrzowsko grał tym „ciałem zbiorowym”, a całe przedstawienie toczyło się żwawo i dynamicznie.

Spektakl przygotowano w języku niemieckim, czyli w wersji, jak zabrzmiała na prapremierze monachijskiej. Wersję polską tekstu, autorstwa Jerzego Jarockiego, wyświetlono nad sceną. Pieczętowanie przygotowano program. Autorem zamieszczonych w nim tekstów, wartościowych pod względem informacyjnym, a przy tym komponujących się z wymową sztuki Jarry'ego, był Alan Misiewicz. Premierę zakończyła przemowa Pendereckiego, w której poruszył on problem aktualności treści dzieła Jarry'ego we współczesnej polskiej rzeczywistości. Publiczność nagrodziła owacją i tę przemowę, i kompozytora, i wykonawców. Penderecki zrewanżował się zapewnieniem, że obejrzane przez niego przedstawienie jest najlepszą z dotychczasowych realizacji *Ubu Króla*.

IX Metropolitalne Święto Rodziny

Fot. z arch. Biblioteki Śląskiej



W Bibliotece Śląskiej w Katowicach odbyła się konferencja poświęcona organizacji IX edycji Metropolitalnego Święta Rodziny.

Rodzina – wspólnotą miłosierdzia

Metropolitalne Święto Rodziny zagości w naszym regionie już po raz dziewiąty. Idea zrodziła się w 2007 roku podczas śląskiej pielgrzymki samorządowców i parlamentarzystów do Rzymu w 750-lecie śmierci św. Jacka, patrona Śląska, jej pomysłodawczyniami były ówczesna wicemarszałkini Senatu śp. Krystyna Bochenek i prezydent Zabrza Małgorzata Mańka-Szulik. Już pierwsze uroczyste spotkanie rodzin śląskich dowiodło potrzeby organizacji tego typu wydarzeń. Do kolejnych edycji dołączały nowe miasta, organizacje i stowarzyszenia, każdego roku przybywa także różnorodnych imprez a ich twórcy prześcigają się w coraz to atrakcyjniejszych pomysłach.

15 marca w Bibliotece Śląskiej w Katowicach odbyła się konferencja organizacyjna IX edycji Metropolitalnego Święta Rodziny. W spotkaniu pod przewodnictwem metropolity katowickiego arcybiskupa Wiktora Skworca, honorowego patrona MSR oraz prezydent Zabrza Małgorzaty Mańki-Szulik, przewodniczącej Górnośląskiego Związku Metropolitalnego, koordynatora MSR, uczestniczyli: marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa, wicewojewoda śląski Jan Chrzęszcz oraz samorządowcy z wielu miast, przedstawiciele duchowieństwa, instytucji kultury, stowarzyszeń organizacji pozarządowych oraz mediów.

Tegorocznej edycji poświęcać będzie hasło: *Rodzina – wspólnotą miłosierdzia*. W liście intencyjnym arcybiskupa Wiktora Skworca i prezydent Zabrza Małgorzaty Mańki-Szulik czytamy: „Przesłanie to zawiera w sobie zarówno aspekt społeczny, jak również religijny. W tym kontekście Rodzina staje się pierwszą przestrzenią budowania relacji międzyludzkich opartych na serdeczności, współczuciu, wzajemnym przebaczeniu i wrażliwości na potrzeby bliskich. Ponadto, nie sposób nie zauważyć, że tegoroczne hasło Metropolitalnego Święta

Rodziny koresponduje z ogłoszonym przez papieża Franciszka Nadzwyczajnym Jubileuszem Miłosierdzia i z przesłaniem Świątynnych Dni Młodzieży w Krakowie: *Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią* (Mt 5,7)”.

W programie MSR znajdują się sympozja naukowe, konferencje, wykłady, koncerty, spektakle teatralne, festyny, pikniki rodzinne, konkursy, kiermasze, imprezy sportowe i wydarzenia religijne. Oficjalna inauguracja nastąpi w sobotę 21 maja w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu, w niedzielę (22 maja) w archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach odbędzie się liturgiczna inauguracja MSR w formie dziękczynienia za jubileusze małżeńskie. Data zakończenia MSR jest symboliczna, wiele imprez już zaplanowano pod koniec czerwca a jak pokazuje dotychczasowa praktyka, podczas wakacji także nie zabraknie uroczystości, które wpisują się w formułę święta.

Nie sposób przedstawić cały program MSR, jest on niezwykle bogaty. Jednym z najważniejszych wydarzeń będzie pielgrzymka mężczyzn i młodzieńców do sanktuarium Matki Bożej Piekarskiej (29 maja), w której zapowiedział wizytę gość specjalny – metropolita gnieźnieński, prymas Polski arcybiskup Wojciech Polak. 4 czerwca w siedzibie Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach zabrzmiał Oratorium „Sanctus Adalbertus” Henryka Mikołaja Góreckiego. Będzie to uczta dla melomanów. W Piekarach Śląskich, w bazylice NMP i św. Bartłomieja odbędzie się V Festiwal Piosenki Maryjnej „Śpiewajmy naszej Pani”, Urząd Wojewódzki w Katowicach zapowiedział XXIII Uroczystą Sesję Sejmiku Śląskiego pod hasłem: „Rodzina – najważniejszym dobrem” (25 maja), w Zabrzu w łaźni łańcuskowej podczas dyskusyjnego panelu „Przy Śląskim stole” uczestnicy będą wspólnie czytali książki (23 maja). W Dąbrowie

Górnicej program przedstawia się imponująco, będą to m.in.: muzyczne pikniki rodzinne, konkursy plastyczne, imprezy integracyjne połączone z zabawami ruchowymi i tanecznymi, spotkania z rodzicami, wycieczki rodzinne, wykłady, prelekcje, indywidualne konsultacje rodziców ze specjalistami, imprezy sportowe...

Do programu MSR weszły już na stałe spotkania dzieci w ogrodach Kurii Metropolitalnej, także i w tym roku nie zabraknie atrakcji. 4 czerwca gości bawić będą mali artyści a pokazy jednostek specjalistycznych: Straży Pożarnej, Policji i WOPR dostarczą najmłodszym na pewno wielu niezapomnianych emocji. Muzeum Górnośląskie w Bytomiu przygotowało piknik archeologiczny oraz koncert „Rodzinne muzykowanie” (4 czerwca). Podczas V Chorzowskiej Nocy Kosciółów odbędzie się VII Zjazd Rycerstwa Chrześcijańskiego (4-5 czerwca). W Zabrzu (21 maja) festyn rodzinny będzie promował Europejski Tydzień Piłki Nożnej Olimpiad Specjalnych.

W Jaworznie zagości wystawa prac rysunku światłocieniowego zatytułowana „Jan Paweł II postać niezapomniana”. W Mysłowicach, w parku Słupna wszystkich pochłoniętych codzienna pracą, poszukujących odpoczynku sprzyjającego refleksji przyciągnie jak zwykle Ekumeniczny Koncert Rodzinny „Bądź jak Jezus!”. 29 maja Siemianowice Śląskie zapraszają do SCK Parku Tradycji na „IV Śląskie Rodzinne Muzykowanie”, czyli granie, śpiewanie i godanie po naszymu.

Społeczno-religijne dziedzictwo Śląska połączone z refleksjami nad współczesnymi problemami tej ziemi będzie przyświecało XXV Piekarskiemu Sympozjum Naukowemu „Miłosierdzie na peryferiach życia społecznego” (28 maja), któremu w tym roku towarzyszyć będzie wystawa malarstwa ks. Andrzeja Gruszki oraz wystawa filatelistyczna. 29 maja do programu MSR przyłączy się Śląski Teatr Lalki i Aktora „Ateneum” oferując dzieciom i ich rodzicom spektakl pt. „Miłość do trzech pomarańczy” w reżyserii Zbigniewa Głowackiego.

W Dzielnicowym Domu Kultury w Piekarach Śląskich (30 maja) największe przeboje poświęcone rodzinie oraz matczynej miłości będzie można usłyszeć podczas koncertu „Ro(c)k z rodziną” Irminy Barczewskiej-Garus i zaproszonych gości. W Siemianowicach Śląskich najmłodsi będą ubiegać się o tytuł mistrza pływania a w Piekarach Śląskich miłośnicy dwóch kółek podejmą zmagania w XI Piekarskiej Rowerowej Masie Krytycznej...

Będzie w czym wybierać, wszystkie imprezy adresowane są do rodzin, które pragną choć kilka godzin spędzić na wspólnej zabawie i refleksji, rozmowie o codzienności i sprawach trudnych. To jest także znakomita okazja, aby rozwiązać niejedną problem. Jak powiedział podczas konferencji organizacyjnej metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworc: „Właśnie w rodzinie powinno się uczyć właściwych postaw – miłości i miłosierdzia. Myślę, że jeśli człowiek od najmłodszych lat uczy się tych trzech pięknych, prostych słów: *proszę, dziękuję, przepraszam*, to w dorosłym życiu na pewno stanie się człowiekiem miłosierdzia, a to jest właśnie postawa tak bardzo pożądana w każdym społeczeństwie, w każdym państwie”.

Szczegółowe informacje dotyczące programu IX Metropolitalnego Święta Rodziny znajdują się na stronie internetowej www.swieto-rodziny.pl

MARIA SZUKA

Teatr jest azyłem, teatr jest śmiechem i łzami, teatr jest prawdą... Bez teatru życie traci smak. Współczuję tym, którzy tego nie rozumieją.

Obejrzałem ostatnio trzy znakomite spektakle. Wielka radość i ogromna satysfakcja. W sosenowieckim Teatrze Zagłębia Remigiusz Brzyko wyreżyserował w sposób mistrzowski „Siódemkę” Ziemowita Szczerka. Jest śmieszno i straszno, czyli Polska w pigułce. W Operze Śląskiej w Bytomiu także mistrzowska realizacja Waldemara Zawodzińskiego niezwyklej opery Krzysztofa Pendereckiego „Ubu Król” z genialnymi kreacjami aktorsko-wokalnym Anny Lubańskiej i Pawła Wundera. Siedemnastolatek Alfred Jarry sto lat temu napisał sceniczną kpinę „Ubu Król, czyli Polacy”. Sztuka uczniacka nic się nie zestarzała – po tylu latach stała się przerażająco aktualna! Zachwycająca realizacja pod każdym względem.

No i wreszcie spektakl kameralny, ale dający widzowi to, co w teatrze kocham najbardziej – kontakt z wielką sztuką aktorską. Na Scenie w Malarni Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach miała miejsce premiera „Antygony w Nowym Jorku”. Mistrz pióra Janusz Głowacki napisał tę tragikomedię na zamówienie teatru Arena Stage w Waszyngtonie. Premiera odbyła się w marcu 1993 roku.

*Każda epoka ma taką tragedię, na jaką zasługuje. Napisałem po prostu komedię o rozpacz – uważa Janusz Głowacki. Daj nam Boże jak najwięcej takich „komedijskich”. Od 23 lat „Antygonę...” grywana jest na całym świecie i wcale się nie starzeje, wręcz przeciwnie jej bohaterów możemy spotkać coraz częściej na ulicach naszych miast. W obecnych czasach, gdy tak łatwo zrywane są więzi rodzinne i w każdej chwili można stracić pracę, młodym ludziom jakby bliżej do sytuacji, w której znaleźli się bohaterowie sztuki z lat 90. Nieprzypadkowo ławeczka, wokół której toczy się ich życie jest nam znana z katowickich ulic Mielęckiego czy Mariackiej. Głowacki przestrzega przed utratą wolności i niezależności, opowiada o tęsknocie za powrotem do normalnego życia, ale przede wszystkim o zachowaniu resztek godności po stoczeniu się na dno egzystencji. Odbić się od niego nie da rady, ale człowieczeństwa utracić nie wolno, nigdy. Jest sztuka Głowackiego wspaniałym materiałem do pokazania aktorskiego kunsztu. Na katowickiej scenie toczy się fascynujący pojedynek aktorski pomiędzy Wiesławem Sławikiem (*Sasza*) a Jerzym Głębimem (*Pchelka*). Pierwszy z nich to rosyjski Żyd, zdegenerowany alkoholik, niegdyś wielki artysta, a drugi to Polak, też „łubi wypić”, jest bardziej cwany, ponoć inteligent (choć trudno w to uwierzyć). Z zapartym tchem śledzimy ich wzajemne relacje, niechęci podszyte hi-*



Fascynujący pojedynek aktorski pomiędzy Wiesławem Sławikiem (od lewej) a Jerzym Głębimem

Mistrzowski pojedynek

TEATR

starym zaszłością przy jednoczesnej potrzebie przyjaźni, nawet w karykaturalnym wydaniu. Oni się nie cierpią i żyć bez siebie nie mogą. Dokuczają sobie, kpią z siebie, ale wierzymy, że w chwili ostatecznej próby nie zawiodą. Wiesław Sławik gra „sercem”, Jerzy Głębim „rozumem”. Obaj perfekcyjni, ale jakże inni w budowaniu emocji. Sławik jest *Saszą*, Głębim – posługując się doskonałą aktorską techniką – kreuje postać. Ten koncert na dwóch aktorów winni obejrzeć wszyscy adepci teatralnego rzemiosła. Obaj artyści bronią zajadłe, nawet wbrew tekstowi, swoich postaci.

Towarzyszy im w tym ławkowo-parkowym zyciu *Antita*, owa tytułowa Antygonę, przywołująca ciągle zmarłego Johna... Czy w ogóle go znała? To nie jest ważne. Stworzyła sobie mit – wymarzoną miłość, która się skończyła... Jej „kochanek” nie żyje. Nie chce by pochowano go w zbiorowej mogile, musi mu sprawić godny pogrzeb w miejscu, które znał i na swój sposób pokochał. Ciągnąc za sobą marketowy wózek pełen „skarbów” raz jest kompletną wariatką, to znowu bardzo stanowczą i logiczną wykonawczynią wydumaną woli zmarłego. Krystyna Wiśniewska denerwuje i wzrusza, nie wiemy, kiedy świadomie wszystkich okłamuje a kiedy naprawdę wierzy w ten swój wydumany świat. Jak na prawdziwą tragedię, o greckim rodowodzie przystało, akcję komentuje chór w postaci *Policjantki* – w tej roli rewelacyjna Ewa Leśniak – to twardego słowa, co to niejako widziała i raczej nic jej nie wzrusza, niby gardzi swoimi „podopiecznymi”, ale czuwa nad ich i tak już okrutnym losem i przestrzega nas – widzów: *Według ostatnich danych liczba bezdomnych w Nowym Jorku zwiększa się. I w końcu tego roku na każdym trzystu nowojorczyków przypadają będzie jeden bezdomny. To by znaczyło, że dzisiaj*

Foto: Krzysztof Lisjak

w teatrze jest co najmniej jedna osoba, która niedługo znajdzie się na ulicy. I ta osoba dobrze wie, o kim mówię. Ciarki chodzą po plecach...

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że w roli *Ciała* wystąpiła Milena Staszuk – zbyt kobieca i zbyt ruchliwa jak na zwłoki Johna. Zresztą nieważne czyje to są zwłoki, byle godnie dopełnić rytuału...

Spokojnie i z ogromnym szacunkiem dla tekstu wyreżyserował „Antygonę w Nowym Jorku” w Teatrze Śląskim Filip Geldon – artysta o ciekawej biografii: urodzony w Sztokholmie, mając 26 lat wrócił do kraju rodziców i rozpoczął studia na Wydziale Reżyserii Łódzkiej PWSFTviT. Dyplom uzyskał w 2015 r. Ma w dorobku dwa filmy: dokumentalny – „Egzamin dojrzałości” i fabularny – „Luna” oraz spektakl „Oś” w Teatrze Powszechnym w Łodzi utkany z piosenek Agnieszki Osieckiej. W jednym z wywiadów twórca katowickiej „Antygony...”

powiedział: *Tekst sztuki jest śmieszny, można się pośmiać, ale nie zapominajmy, że oglądamy ludzi, jakich spotykamy codziennie, przechadzając się ulicami naszych miast. Może przychodząc na ten spektakl, któryś z widzów postanowi pochylić się nad tym problemem. Wierzę, że tak się może stać, bo siła sztuki jest ogromna. Dlatego ją tworzę. Te słowa to balsam dla duszy. Oby Filip Geldon nigdy o nich nie zapomniał! I jeszcze jedno zdanie reżysera warto zapamiętać: Tak jak Rzym kiedyś spłonął, amerykański ideał stoi dziś w płomieniach niezależnie od miejsca na świecie. Pozostaje pytanie, czy jesteśmy w stanie ten pożar ugasić?*

Niedawno mocno przeżyłem w Teatrze Śląskim porażkę, jaką było „Wesele” w reżyserii Radosława Rychcika i to wcale nie z powodu zwariowanych pomysłów głośnego twórcy, ale z powodu pogubienia się aktorów w tym teatralnym dziwadle. A przecież to aktorzy, jak słusznie zauważała niedawno Barbara Gruska-Zych są największym skarbem Teatru Śląskiego i krzywdzić ich nie wolno. Tym bardziej cieszy mistrzowski popis naszych ulubieńców w „Antygonie w Nowym Jorku”.

WITOLD KOCIŃSKI

Janusz Głowacki *Antygonę w Nowym Jorku*, reżyseria i opracowanie muzyczne: Filip Geldon, scenografia, kostiumy: Adrianna Gołębiowska, kompozycja światła: Maria Machowska, realizacja światła i wideo: Krzysztof Woźniak, Piotr Roszczenko.

Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Scena w Malarni. Premiera: 18 marca 2016.



Jonathan Posthuma – laureat II Międzynarodowego Konkursu Kompozytorskiego im. Karola Szymanowskiego.

Marzec z Szymanowskim

KAROL RAFAŁ BULA

29 marca przypada rocznica śmierci największego po Chopinie kompozytora polskiego – Karola Szymanowskiego. Europejskie Miasto Muzyki UNESCO, jakim stały się Katowice jest miejscem szczególnego kultu Szymanowskiego. To tu odbyło się pierwsze na Śląsku wykonanie w języku polskim czołowego jego dzieła „Stabat Mater” (1934), sam kompozytor nosił się z zamiarem profesorowania w tutejszym Konserwatorium Muzycznym, w czym przeszkodziła mu przedwczesna śmierć. Jego imię noszą katowickie instytucje muzyczne – w tym Akademia Muzyczna, tu mieści się Biuro Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego, stąd wywodzi się wielu artystów, którzy pielęgnują spuściznę po wielkim kompozytorze, tu mieszkają aktualni prezesi Towarzystwa, a w Akademii Muzycznej od 2012 r. odbywają się Międzynarodowe Konkursy Muzyczne im. Karola Szymanowskiego zainicjowane przez Towarzystwo.

W marcu byliśmy w Katowicach świadkami dwóch ważnych wydarzeń związanych z osobą tego wielkiego twórcy.

Prawykonanie. 1 i 2 marca odbyło się prawykonanie kompozycji nagrodzonej III miejscem na II Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim im. Karola Szymanowskiego, Katowice 2015. Przypominę, że I Międzynarodowy Konkurs Kompozytorski im. Karola Szymanowskiego Towarzystwo ogłosiło w 2012 r. dla uczczenia 130. rocznicy urodzin swego patrona. Przedmiotem organizowanego we współpracy z Akademią Muzyczną im. Karola Szymanowskiego konkursu był utwór na wielką orkiestrę symfoniczną o czasie trwania 10–16 minut. Na konkurs napłynęła z całego świata rekordowa liczba 176 prac kompozytorskich. Oceniało je jury złożone z renomowanych kompozytorów – członków Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego w składzie: Eugeniusz Knapiak – przewodniczący, Krzysztof Meyer, Rafał Augustyn, Sławomir Czarniecki. Laureatami zostali Oscar Prados Sillero (Hiszpania) – I nagroda, Paolo Boggio (Włochy) – II nagroda, Ryuji Kubota (Japonia) – III nagroda, Ralf Gawlick (USA) – wyróżnienie. Pra-

wykonń dzieł podjęły się Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia (I nagroda), Orkiestra Symfoniczna Filharmonii w Krakowie (II nagroda), Akademicka Orkiestra Symfoniczna Akademii Muzycznej w Katowicach (III nagroda). Kolejna edycja miała miejsce w 2015 r. Patronat honorowy nad konkursem objęli marszałek województwa śląskiego – Wojciech Saługa oraz prezydent Katowic – Marcin Krupa. Założenia regulaminowe pozostały bez zmian, podobnie jak skład jury konkursu. Przedłużono jedynie czas trwania kompozycji konkursowych do 20 minut. I tym razem liczba nadesłanych prac była imponująca – 139 prac z 35 krajów. Zwyciężył Daniele Gasparini z Włoch kompozycją *Snowise, Snowhere, Snoway. Snowsence*. II nagrodę otrzymał Hyunsuk Jun (Korea Płd.) za kompozycję pt. *Vistara*, trzecią – Jonathan Posthuma (Stany Zjednoczone) za *Strings of Pearls*. Wyróżnienie jury przyznało polskiemu kompozytorowi Andrzejowi Karalówowi za utwór *Multicolour Horizon*. Nagrodzone kompozycje przyjęte zostały do programu trzech orkiestr z Katowic i Krakowa w sezonie koncertowym 2016/2017.

Kompozycja *Strings of Pearls* („Sznury pereł”) Jonathan Posthuma’y, wykonana przez Akademicką Orkiestrę Symfoniczną odznacza się atrakcyjną szatą kolorystyczną i umiejętnym rozplanowaniem napięć dramatycznych. Nic zatem dziwnego, że ten awangardowy utwór młodego Amerykanina, absolwenta Wydziału Kompozycji Uniwersytetu w Wisconsin – Madison w stanie Minnesota, spotkał się z żywym oddźwiękiem. Publiczność oklaskiwała i dzieło, i samego kompozytora, który wziął udział w prawykonaniu swojego utworu. Aplauzem przyjęto również bardzo dobre wykonania *Koncertu fortepianowego d-moll KV 466* Wolfganga Amadeusa Mozarta (z solistką Aleksandrą Świgut) i *VI Symfonii* Antonina Dwořaka, które dopełniały program tego bardzo udanego koncertu pod dyrykcją Macieja Tomaszewicza.

Wieczory z muzyką Karola Szymanowskiego. W 19. edycji festiwalu *Wieczory z muzyką Karola Szymanowskiego* (14–16 III) muzyka polskiego twórcy zestawiona została tym razem z twórczością solistyczno-kameralną Bohuslava Martinů – o osiem lat młodszego czeskiego kompozytora (przeżył Szymanowskiego o 22 lata). Większość swego życia Martinů spędził poza granicami ojczyzny – we Francji, gdzie zetknął się z Strawińskim i kompozytorami Grupy Sześciu oraz w Stanach Zjednoczonych Ameryki, gdzie zainteresował się muzyką jazzową. W muzyce Martinů nietrudno zauważyć więc wpływy neoklasycyzmu i jazzu obok elementów rdzennej czeskiej muzyki ludowej. Czesi zaliczają Martinů do swoich najwybitniejszych przedstawicieli muzyki w XX wieku.

Trzy koncerty w Akademii Muzycznej pozwoliły melomanom nie tylko na ponowne obcowanie z muzyką naszego Mistrza, ale dały sposobność zetknięcia się z dorobkiem raczej mało znanego w Polsce czeskiego kompozytora. A warto podkreślić, że jest to dorobek nie blahy, obejmuje prawie 400 utworów – w tym opery, balety, symfonie, koncerty oraz sporą grupę utworów kameralnych. Do udziału w koncertach obok artystów polskich zaproszono wykonawców z Czech: Sedláčkovo Kvarteto – zespół nagradzany w międzynarodowych konkursach (m.in. laureat I nagrody I Międzynarodowego Konkursu Kwartetów Smyczkowych im. Karola Szymanowskiego, Katowice 2014) oraz pianistę Ivo Kahánka z Akademii Muzycznej w Pradze.

Zróżnicowany program koncertów mógł zaspokoić oczekiwania najbardziej wybrednych słuchaczy, obejmował bowiem utwory solowe: *Kołyśankę* op. 52, *Pieśń Kurpiowską* z 1931 r. – tu w wersji na flet i fortepian, fortepianową *Fantazję C-dur* op. 14, *Mity* na skrzypce i fortepian op. 30, *Mazurki* op. 50 Nr 1-4 Karola Szymanowskiego oraz *Sonatę na flet i fortepian* (1945), *Sonatę na klarnet i fortepian* (1945), *Sonatę fortepianową* (1954), 3 *Tańce* czeskie (1926) Bohuslava Martinů, a także zespołowe: I *Kwartet smyczkowy* op. 37 Szymanowskiego oraz VI *Kwartet Smyczkowy* (1946), II *Kwintet fortepianowy* (1944) i *Nonet* (1959) Martinů. Pokażna porcja muzyki! Bardzo dobrze zaprezentowana! Wykonawcy – cieszący się międzynarodową sławą znakomity flecista Łukasz Długosz, instrumentalisci zasiadający przy pierwszych pulpatach NOSPR (gros wykonawców Nonetu) i muzycy związane z katowicką Akademią Muzyczną (pianisci – Andrzej Jungiewicz, Tomasz Kamieniak, Sylwia Michalik, skrzypkowie – Krzysztof Lasoń, Małgorzata Wasilioneck, klarnecistka Katarzyna Pała) dali popis sprawności technicznej i dużej wrażliwości muzycznej.

Były to trzy znakomite koncerty godne Europejskiego Miasta Muzyki i pamięci wielkiego polskiego kompozytora.

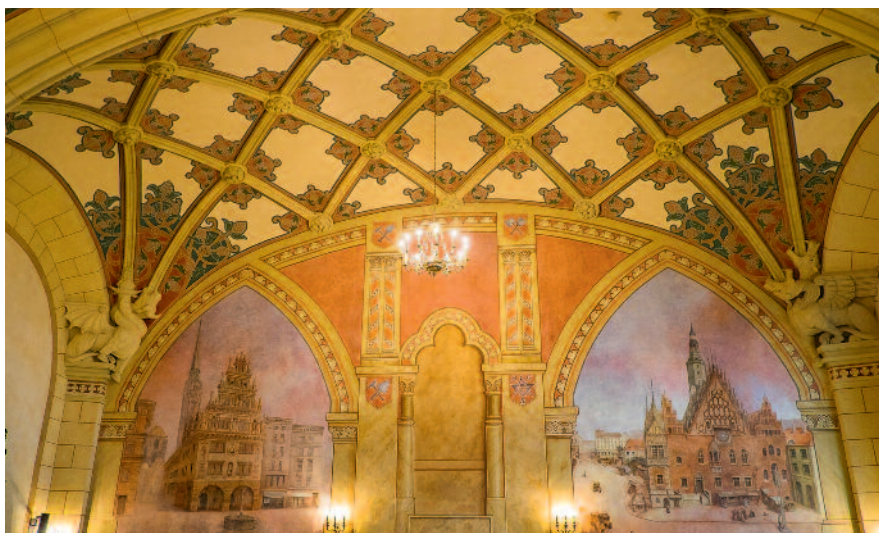
Brenna, 21 marca 2016



Zwiercierzeń przeszęł strzegą gryfy – śląskie smoki.



Ściana frontowa z zamontowanymi organami. Po obydwu stronach malowidła przedstawiające zamek w Oleśnicy (z lewej) i drewniany kościół w Mikulczycach.



Na przeciwległej ścianie malowidła przedstawiające Dom Wagi w Nysie (z lewej) i ratusz we Wrocławiu.



Odrestaurowane malowidło – wizerunek św. Jadwigi oraz budowniczego i architekta przykryta szafą z piszczałkami organowymi.

12 śląskich smoków

Uroczystym koncertem 4 kwietnia br. w Auli im. prof. Bolesława Szabelskiego zakończony został projekt „Rewitalizacja zabytkowego obiektu Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach”.

W odrestaurowanej auli można podziwiać odsłonięte polichromie autorstwa Emila Nöllnera a także nowe organy – wykonawcą koncertu inauguracyjnego ten niezwykle pięknie brzmiący instrument, był prof. Julian Gembalski. W dalszej części koncertu wystąpili również artyści norwescy z Instytutu Muzycznego Uniwersytetu w Bergen – Akademii im. Edwarda Griega współpracującej z katowicką Akademią. Wykład na temat odsłoniętego i zrekonstruowanego wystroju auli wygłosiła prof. dr hab. Ewa Chojecka, która przez zgromadzonymi odkryła różnorodne tajniki tego niezwykłego przedsięwzięcia.

Odwiedzając aulę warto zwrócić uwagę na sieciowo – żebrowe sklepienie, podtrzymywane przez 12 gryfów nazwanych przez prof. E. Chojecką śląskimi smokami. Ścianę auli zdobią przywrócone do życia malowidła przedstawiające zamek w Oleśnicy i drewniany kościół w Mikulczycach (już nieistniejący). Pomiedzy nimi, skryte za szafą organową, widnieje malowidło przedstawiające św. Jadwigę oraz wizerunek architekta i murarza, jako że najpierwszym przeznaczeniem tego niezwyklej urody gmachu zaprojektowanego w stylu neogotyckim była u początku XX wieku Szkoła Rzemiosł Budowlanych. Po przeciwległej stronie widnieją malowidła przedstawiające Dom Wagi w Nysie i ratusz we Wrocławiu.



Akademia Muzyczna po remoncie elewacji.

Dziś to jedyne takie wnętrze w Katowicach! Zabytkowy gmach był również pierwszym miejscem, gdzie urzędował Sejm Śląski, a od czasów powojennych mieści się tu Akademia Muzyczna.

Do niezwyklej historii gmachu, a także wystroju wnętrza auli i jego autorów powrócimy jeszcze na łamach „Śląska”. (wk)



Świadek historii – Wiktora Natanson, młodociany powstaniec warszawski, jeńiec Stalagu 344, wspomina pobyt w obozie



Dyrektor CMJW Violetta Rezler-Wasielewska pod Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych wita gości, którzy przybyli na uroczystość wyzwolenia Stalagu 344 Lamsdorf



Przedstawiciele pięciu wyznań modlą się za ofiary Stalagu 344 pod Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych



Dzieci i nauczyciele z Publicznego Przedszkola w Łambinowicach składają kwiaty pod Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych, za nimi oczekują w kolejce uczniowie z Gimnazjum w Cisku



Jarosław Furgała (rocznik 1919) – kombatant, jeńiec wojenny, najstarszy członek Związku Kombatantów Rzeczypospolitej i Byłych Więźniów Politycznych (koło w Brzegu) wraz z mężem swojej wnuczki składa kwiaty pod Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych w Łambinowicach



71. rocznica wyzwolenia Stalagu 344 Lamsdorf

Przed Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych w Miejscu Pamięci Narodowej w Łambinowicach odbyła się uroczystość upamiętniająca 71. rocznicę wyzwolenia Stalagu 344, za drutami tego obozu przebywało podczas II wojny światowej blisko 300 tysięcy jeńców wojennych, żołnierzy koalicji antyhitlerowskiej z niemal 50 narodów, największą grupę stanowili jeńcy radzieccy, około 40 tysięcy z nich zmarło w tragicznych warunkach, zostali pochowani w zbiorowych mogiłach na cmentarzu przed Pomnikiem. Jeńcy polscy, jako pierwsi trafili do Lamsdorf w 1939 roku, około 43 tysiące osób wywiezionych później w głąb III Rzeszy, następnymi byli powstańcy warszawscy, około 6 tysięcy jeńców, w tym 650 dzieci-żołnierzy, a wśród nich bodaj najmłodszy jeńiec wojenny – dziesięcioletni Jerzy Szulc pseudonim „Tygrys” oraz 1037 kobiet-żołnierzy na czele z mjr Wandą Gertz.

Po hymnie państwowym głos zabrał Wiktora Natanson, były jeńiec Stalagu 344 Lamsdorf, powstaniec warszawski, który w styczniu 1945 r. wyszedł z obozu wraz z innymi jeńcami w marszu ewakuacyjnym. Violetta Rezler-Wasielewska, dyrektorka CMJW, powitała licznych gości: kombatantów, w tym jeńców wojennych, przedstawicieli korpusu dyplomatycznego, władz rządowych i samorządowych, służb mundurowych, środowisk nauki, kultury i oświaty, oraz młodzież szkolną i mieszkańców Opolszczyzny. Wspólną modlitwę za ofiary obozu odmówili przedstawiciele pięciu wyznań: ks. Fryderyk Styła z parafii św. Marcina Biskupa w Jasienicy Dolnej, ks. Grzegorz Cebulski z prawosławnego ordynariatu WP we Wrocławiu, ks. Wojciech Pracni z parafii Ewangelicko-Augsburskiej w Opolu, Aleksander Gleichgewicht, przewodniczący Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu oraz Marek Moroń reprezentujący Muzułmański Związek Religijny w Polsce. W ceremonii wojskowej z Apelem Pamięci uczestniczyli żołnierze 91. Batalionu Logistycznego w Komprachcicach. Po złożeniu wiązanek i zapaleniu zniczy druga część uroczystości odbyła się w muzeum, gdzie goście uczestniczyli w projekcji unikatowego dokumentu filmowego, rejestrującego wyzwolenie Stalagu 344 Lamsdorf, odnalezionego w Rosyjskim Państwowym Archiwum Kino-Foto Dokumentów w Krasnogorsku. Uroczystości zorganizowało Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu i Urząd Gminy w Łambinowicach pod patronatem Marszałka Województwa i Wojewody Opolskiego. (jiw)

Działalność bibliotek już dawno przestała ograniczać się tylko do wypożyczania książek i codziennej prasy. Wraz z nowymi wyzwaniem XXI wieku biblioteka stała się centrum kultury, edukacji i informacji, miejscem spotkań ludzi ciekawych świata, skarbnicą wiedzy dostępną dla każdego, bezpłatnie, niemal codziennie.

Także Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu na co dzień wypełnia swą statutową misję, jaką jest: „gromadzenie, zachowanie i upowszechnianie wśród Czytelników zbiorów, które stanowią część regionalnego, narodowego i światowego dziedzictwa oraz jak najpełniejsze zaspokajanie potrzeb edukacyjnych, informacyjnych i kulturalnych lokalnej społeczności, w tym również potrzeby tożsamości kulturowej mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego”.

Bogata oferta biblioteki każdego roku opracowywana jest tak, aby odpowiadała osobom ze wszystkich grup wiekowych. Nie może więc zabraknąć propozycji dla starszych, choć młodych duchem. Ostatnie lata wykazały ogromne zapotrzebowanie na imprezy przeznaczone specjalnie dla grupy 60+, czyli seniorów, dysponujących często sporą ilością wolnego czasu, a pozbawionych, niestety, odpowiednich funduszy, by móc w pełni zaspokoić kulturalny i edukacyjny apetyt. Sosnowiecka biblioteka nie mogła pozostać na to obojętna. W efekcie może pochwalić się różnorodną ofertą dla seniorów. Oto kilka wybranych – spotykających się z najcieplejszym odzewem – propozycji:

„**Kino w Bibliotece**” – Wielu z nas kocha dobre kino. Niestety, nie każdego stać na cotygodniową wizytę w kinie. W MBP w Sosnowcu cena to nie problem. Funkcjonujące od 2011 roku „Kino w Bibliotece” jest projektem cieszącym się ogromnym zainteresowaniem wśród osób 60+. W każdą środę o godz. 18.00 Aula Biblioteki Głównej wypełnia się spragnionymi filmowych wrażeń widzami. W repertuarze można odnaleźć najciekawsze i najgłośniejsze adaptacje dzieł literackich. Nie brakuje również przeglądów tematycznych, poświęconych wybitnym reżyserom i aktorom.

Spotkania autorskie – Sosnowiecka biblioteka każdego miesiąca zaprasza na swe gościnne progi współczesnych twórców polskiej literatury, zarówno pisarzy reprezentujących region, jak i literackie gwiazdy – laureatów najważniejszych ogólnopolskich nagród, bywalców festiwalu, osoby kształtujące czytelnicze gusta Polaków. Dbając o sympatyczną atmosferę spotkań, organizatorzy dają czytelnikom – w tym seniorom – możliwość krótkiej rozmowy z gościem, zdobycia cennego autografu, zrobienia sobie pamiątkowej fotografii. Prawdziwym świętem dla osób ceniących sobie bezpośredni kontakt z autorami ulubionych książek są coroczne Sosnowieckie Dni Literatury (12. edycja startuje już 10 maja!).

Wernisaże – Biblioteka średnio co dwa miesiące przygotowuje niezwykle ciekawe wystawy, dotyczące tematów z obszaru kultury, historii, nauki i sztuki. Wernisaże połączone są z prezentacją multimedialną bądź wykładem.

B
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA
BIBLIOTEK



W filiach prężnie działają Kluby Seniora

Miejska Biblioteka Publiczna
im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu

Aktywny senior – aktywna biblioteka!

Odwiedziny w Domach Pomocy Społecznej – Podeszły wiek, choroby, niepełnosprawność – to problemy często uniemożliwiające seniorom dotarcie do bibliotecznych placówek. Chcąc zapobiegać wykluczeniu osób starszych, reprezentantki biblioteki regularnie odwiedzają podopiecznych Domów Pomocy Społecznej. Czasem tylko po to, by wymienić przeczytane książki na nowe, wyselekcjonowane w oparciu o indywidualne gusta seniorów. Znacznie częściej jednak bibliotekarze pojawiają się w instytucjach z prezentacjami multimedialnymi lub wykładami. Przy specjalnych okazjach towarzyszą im dzieci z sosnowieckich szkół i przedszkoli, które prezentują seniorom spektakle, montaż słowno-muzyczne, minikoncerty. To świetna międzypokoleniowa zabawa, szczególnie lubiana przez naszych seniorów.

„**Akcja: e-motywacja**” – Projekt realizowany przez Fundację Orange służy aktywizacji społecznej osób w wieku 60+ oraz wytyczeniu nowych trendów w działaniach kulturalno-społecznych. Uczestnicy „Akcji: e-motywacji” zostali zaproszeni do udziału w przygodzie odkrywania... siebie. Nad przebiegiem każdego spotkania online z zaproszonym gościem czuwa psycholog.

Kluby Seniora – Coraz więcej placówek MBP w Sosnowcu zakłada prężnie działające Kluby Seniora. O tym, czego dotyczyć mają spotkania, decydują ich członkowie. Niektóre kluby większy nacisk kładą na wiedzę historyczno-regionalną, organizując slajdowiska czy wycieczki po zapomnianych zakątkach Sosnowca („Klub Miłośników Dawnej Pogoni” w Filii nr 17 – Pogoń), inne – na turystykę, wybierając się na całonocne wyjazdy krajoznawcze (Kluby Filii nr 3 – Klimontów i Filii nr 10 – Kazimierz Górniczy, „Cappuccino z pianką” w Filii nr 19 – Miłowiec), a jeszcze kolejne – na rękodzieło, zgłębiając na zajęciach tajniki nowych technik plastycznych:

decoupage, kumihimo, quilling czy kanazashi („Klub Seniora z Pasją” w Filii nr 15 – Mec). Nie brakuje jednak grup skupiających się na literaturze i na wspólnych dyskusjach o przeczytanych książkach („Kawiarenka Srebrnego Włosa” w Filii nr 5 – Walcownia).

Wycieczki krajoznawcze – Filia nr 3 – Klimontów i Filia nr 10 – Kazimierz Górniczy stały się dla zakochanych w podróżach seniorów idealnym miejscem do planowania mniejszych i większych wypraw krajoznawczych. Dzięki wsparciu organizacyjnemu biblioteki, czytelnikom udało się wspólnie odwiedzić m.in.: Bochnię i Nowy Wiśnicz, siedzibę Sejmu RP w Warszawie, ziemię sandomierską, Kotlinę Kłodzką, Krzyżtopór, Pszczynę czy Kurozwęki.

Dyskusyjny Klub Książki – Już od dwóch lat MBP w Sosnowcu z zaangażowaniem organizuje comiesięczne spotkania DKK „Każdy Kocha Dyskusję”, podczas których miłośnicy sztuki słowa omawiają przeczytane książki oraz dyskutują o literaturze i kulturze. Ponadto członkostwo w Klubie daje możliwość wzięcia udziału w wspólnych wyjazdach do teatru czy spotkaniach autorskich odbywających się poza murami biblioteki.

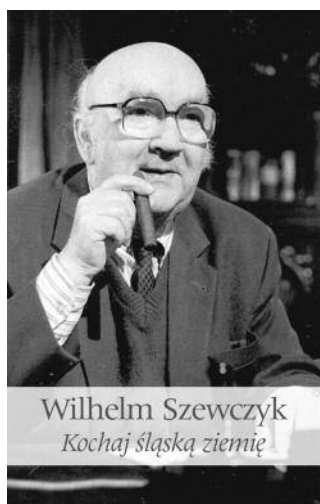
Warsztaty komputerowe

– Nauka korzystania z najnowszych technologii wcale nie musi być trudna. Najczęściej wystarczy odpowiedni sprzęt, troszkę wolnego czasu i kompetentny i cierpliwy instruktor. W większości sosnowieckich bibliotek każdy senior może indywidualnie umówić się na warsztaty komputerowe bądź wziąć udział w zajęciach grupowych. Uczestnicy tych bezpłatnych szkoleń uczeni są podstawowej obsługi komputera, a chwilę później korzystania z bibliotecznego e-katalogu, zakładania i używania poczty elektronicznej, bezpiecznego surfowania po Internecie oraz wykorzystywania popularnych narzędzi komunikacyjnych, umożliwiających np. skontaktowanie się z rodziną przebywającą za granicą.

„**Książka na telefon**” – Co zrobić, gdy nieszcześliwy wypadek lub przewlekła choroba uniemożliwiają przyjazd do biblioteki? By rozwiązać ten problem, kolejne placówki sosnowieckiej księżnicy uruchamiają specjalną ofertę – „Książka na telefon”, dzięki której seniorzy unieruchomieni w domu mogą zaprosić do siebie zaufanego bibliotekarza, oddać przeczytane książki, a wypożyczyć nowe.

Mówi się – dość okrutnie – że „Panu Bogu starość się nie udała”. Czy jest to jednak powód, by załamywać ręce i na emeryturze zrezygnować ze spotkań z ludźmi, pogłębiania zainteresowań, odkrywania nowych, nieoczekiwanych pasji? Zdecydowanie nie, tym bardziej że czasem jedynym wysiłkiem, na jaki trzeba się zdobyć, jest wizyta w pobliskiej bibliotece, gdzie nie tylko można wypożyczyć książkę, ale też poznać przyjaciół... A wtedy reszta pójdzie już gładko.

Więcej o ofercie MBP w Sosnowcu:
www.biblioteka.sosnowiec.pl



Książka „Śląska pełna”

KSIAŻKI

KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

Barwna postać Wilhelma Szewczyka, jednego z najbardziej znanych pisarzy i działaczy społeczno-kulturalnych Górnego Śląska XX wieku, jest ciągle żywa, nie chce się wierzyć, że to już 25 lat minęło od jego śmierci 8 czerwca 1991 roku, kiedy to redaktor naczelny katowickich „Poglądów” na zawsze odłożył pióro, którym tak sprawnie i z ogromnym talentem wyczarowywał przez długie dziesięciolecia powieści, opowiadania, dramaty, poezje i tysiące szkiców oraz felietonów.

Wprawdzie w minionych latach dzięki licznym instytucjom i urzędowi, jak Stowarzyszenie im. Wilhelma Szewczyka, Urząd Miasta i Gminy Czerwionka-Leszczyny, Górnośląskie Towarzystwo Literackie, czy miesięcznik „Śląsk”, a przede wszystkim dzięki staraniom Córki pisarza – prof. Grażyny B. Szewczyk, organizatorce licznych akcji upamiętniających życie i działalność Ojca, Wilhelm Szewczyk ciągle żyje w świadomości także i młodszego pokolenia Górnoślązaków, a zwłaszcza katowiczian, to przecież wydanie antologii utworów autora *Skarbu Donnersmarcków* jest ciekawym w zamierzeniu i potrzebną propozycją edytorską, która z pewnością spotka się z zainteresowaniem szerokiego grona czytelników, także z innych, nie tylko górnośląskiego, regionów kraju.

Książka *Kochaj śląską ziemię* ujrzała światło dzienne dzięki dotacji burmistrza Miasta i Gminy Czerwionka Leszczyny, a więc rodzinnej miejscowości autora (jak wiadomo, małutki Czuchów został z czasem wchłonięty przez nieco większą Czerwionkę, dokąd zresztą przenieśli się rodzice, a która w późniejszych latach połączyła się administracyjnie z Leszczynami), zaś opublikowana została staraniem wydawnictwa Vectra.

W przygotowaniu merytorycznym antologii wzięła udział czwórka szczególnie do tego predestynowanych badaczy, pracowników naukowych Uniwersytetu Śląskiego: prof. Marian Kisiel, znawca poezji XX wieku; prof. Grażyna B. Szewczyk, córka pisarza, opiekunka literackiej spuścizny Ojca, edytorka jego dzieł i autorka licznych o nim publikacji; dr hab. Maciej Fic, autor m. in. ważnej książki *Wilhelm Szewczyk 1916-1991. Śląski polityk i działacz społeczny* 2007; dr Michał Skop, autor – będących w druku – rozprawy habilitacyjnej i bibliografii związanych z postacią śląskiego pisarza.

Książka składa się z trzech głównych części, każda z nich, poprzedzona niewielkim, ale instryktywnie napisanym wstępem, przynosi wybór szczególnie charakterystycznych dla Wilhelma Szewczyka gatunków literackich, uprawianych przez niego przez ponad 60 lat trwającej działalności.

I tak część I poświęcona jest poezji śląskiego autora. Wybór i wprowadzenie przygotował Marian Kisiel, i – jak stwierdza – wiersze przynależą do pierwszego etapu twórczości W. Szewczyka, tj. do ok. końca lat 50. Są to utwory często o ambicjach społecznych,

rozpięte między tematyką śląską a obszarem prywatności. Niektóre robią na czytelniku do dzisiaj wrażenie, jak np. *Pogrzeb Korfantego* z 1939 roku. Nierzadko autor zastanawia się nad ludzkim losem, zaś „metafizyka lub egzystencja świadoma własnej eschatologii staną się bodaj najważniejszym tematem tej poezji”.

Trafnie zauważa Marian Kisiel, że W. Szewczyka „dorobek poetycki przysłoniły proza i eseistyka”. Właśnie tym dwóm kolejnym gatunkom literatury poświęcone są dalsze bloki tematyczne antologii.

Cześć II to proza, a mówiąc dokładniej fragmenty 10 powieści, ew. powieści biograficznych, jak np. wyjątek z *Marmotawstwa serca*, świetnie napisanej historii o życiu niecodziennej kobiety Lou Andreas Salomé.

Także i w powieściach autor często nawiązuje do niełatwej historii górnośląskiej ziemi, m. in. w *Kleszczach*, ukazuje złożone meandry niemiecko-polskiej historii, także okresu powojennego. Grażyna B. Szewczyk, redaktor tej części książki, proponuje też wgląd w literackie reportaże, jak np. *Sampo czyli młynek szczęścia czy Anioły z lodu*, będące rezultatem skandynawskich podróży śląskiego pisarza. Powieści Wilhelma Szewczyka to zarówno powieści społeczno-polityczne, jak i obyczajowe czy psychologiczne. Często są one „dokumentem powikłanych losów Ślązaków.”

I wreszcie część III, na którą składają się teksty publicystyczne. Ich wyboru, z ogromnej liczby ok. 7000 (!) dokonał Maciej Fic. Skala czasowa jest szeroka, pierwsze z nich powstały u progu lat 50., ostatnie zaś tuż przed śmiercią pisarza w 1991 roku. Maciej Fic miał niełatwe zadanie, jako że W. Szewczyk pisał nie tylko dużo, ale i na bardzo różne tematy. Był przy tym „ważnym obserwatorem górnośląskiej (a także ogólnopolskiej i niemieckiej – KAK) rzeczywistości”. Teksty zaproponowane przez redaktora tego bloku są dobrze dobrane, nawiązują do wielu szczególnie często przez W. Szewczyka poruszanych tematów, pozwalają także raz jeszcze zobaczyć niezwykle wysoką orientację autora w trudnych zagadnieniach krajowych i międzynarodowych, jak np. autonomia Śląska. Pokazano także nieco lżejszą, ale dla W. Szewczyka również charakterystyczną tematykę, jak np. szkic o Sherlocku Holmesie.

Tom zamyka krótki szkic autorstwa Michała Skopa, informujący o założeniach programowych i działalności powołanego do życia w 2006 roku Stowarzyszenia im. Wilhelma Szewczyka, które od 10 lat bardzo owocnie (sympozyja naukowe, biesiady literackie, inicjatywy edytorskie) dba o zachowanie pamięci o życiu i twórczej działalności autora *Syndromu śląskiego*. Jednym z najłośniejszych, dorocznych, wydarzeń jest międzynarodowy konkurs poetycki „O Złote Cygaro Wilhelma”.

Antologia jest bardzo udanym przedsięwzięciem edytorskim, w kompetentny i – patrząc od strony czytelnika – interesujący sposób przypomina literacki dorobek Wilhelma Szewczyka.

Grażyna B. Szewczyk, która była także konsultantem całości, pisze w swoim wprowadzeniu do części III o prozie: „Ponieważ większość powieści W. Szewczyka jest dzisiaj niedostępna [...] warto zastanowić się nad ich całościowym, krytycznym wydaniem”. Niewątpliwie autorka tej refleksji ma rację, jako że wiele utworów katowickiego pisarza reprezentuje wysoki poziom literacki i omawia treści, które zwłaszcza na terenie śląskim wciąż są żywe i ważne.

O ile teksty publicystyczne Wilhelma Szewczyka, jego felietony i szkice, niegdyś drukowane na łamach wielu gazet, jak np. „Życie Literackie”, „Poglądy”, „Odra”, „Dziennik Zachodni”, (M. Fic oblicza ilość tych gazet i czasopism na ok. 150), bądź emitowane w TV w popularnej audycji „Z dymkiem cygara”, były w sporym stopniu wydane następnie w postaci książkowej, to poezja, a zwłaszcza proza (powieści, opowiadania) powoli znikają ze świadomości odbiorców. Znikają z tego prostego powodu, że w ostatnich latach nie były – o dziwo! – wznawiane (z małymi wyjątkami, jak niezwykle popularny *Skarb Donnersmarcków*, który w 2009 roku miał VI. wydanie).

A przecież jest to literatura nie tylko o dużym potencjale artystycznym, ale i podnosząca ważne treści tematyczne. Antologię *Kochaj śląską ziemię* warto więc potraktować jako sygnał do wzmoczonego zainteresowania edytorskiego dziełem Wilhelma Szewczyka.

Sama antologia prezentuje się bardzo okazale, dużym wartościom merytorycznym i artystycznym idzie w parze staranność w wydaniu: opracowanie graficzne, ciekawie dobrane zdjęcia, a także karykatura WISZA autorstwa Tadeusza Dyniewskiego. Może jedynie zabrakło wstępu wprowadzającego w założenia metodologiczne książki, a także przypominającego sylwetkę Wilhelma Szewczyka (co byłoby ważne szczególnie dla młodzieży gimnazjalnej i licealnej, interesującej się dziejami regionu).

Jest to pozycja, która z pewnością znajdzie miejsce na półce z najciekawszymi propozycjami wydawniczymi ze Śląska nie tylko w bieżącym roku.

Wilhelm Szewczyk, *Kochaj śląską ziemię*, Agencja Reklamowo-Wydawnicza Vectra, Czerwionka – Leszczyny 2016, ss. 239



Uważne czytanie

KSIAŻKI

EWA BARTOS

Swoją książkę Katarzyna Niesporek zaczyna od wyznania: „Twórczość Marcina Świetlickiego stała mi się bliższa na chwilę przedtem, zanim w 2011 roku poeta połączył jedną okładką wszystkie dotąd napisane przez siebie tomy poetyckie”. Bliskość twórczości może zapowiadać niebezpieczeństwo zatracenia się w przyjemności, co często prowadzi do sądów nieobiektywnych i na wyrost. Marcin Świetlicki – przedstawiciel pokolenia „bruLionu” – poeta, prozaik, a także muzyk od lat konsekwentnie tworzy swój medialny obraz artysty zbuntowanego. Występuje przeciwko doktrynom i polityce, mocno osadza się w czasie historycznym. Niebezpieczeństwo sięgnięcia po interpretacyjny stereotyp przy opisie jego twórczości wydaje się wyjątkowo duże. Krytyczka – pomimo deklarowanej bliskości – nie poddaje się jednak pokusie biografizmu. Nie tworzy wizerunku poezji autora *Pieśni profana* poprzez nasuwające się od razu skojarzenia z kontekstami społeczno-historycznymi.

Niesporek wydobywa sensy z samej tkanki poetyckiej i bierze w nawias projektowany przez pisarza autoportret. „Ja” Świetlickiego nie koncentruje się zatem na obrazie poety-buntownika czy autsajdera, lecz na jego poezji. Z niej wyprowadza wizerunek twórcy. Praca nad wydobyciem z tekstów poetyckich ich autora odbywa się tutaj w wyważony i mądry sposób. Krytyczka wielokrotnie podkreśla, że bohater wierszy autora *Trzeciej połowy* to jednostka wykreowana. Gdzie zatem poszukuje „ja” Świetlickiego?

Niesporek zaznaczyła, że „autor *Niskich pobudek* w zawartość swoich wierszy włącza (...) z premedytacją elementy prywatności”. Nie kłóci się to z deklarowanym odejściem autorki od biografizmu. Przeciwnie, pisząc o podmiotowości w wierszach Świetlickiego, pokazuje ona ich rozbudowany i wielowątkowy kształt. Sięga po całość poetyckiej twórczości i na konkretnych wierszach ujawnia, jakie przeobrażenia zachodzą w podmiocie lirycznym i czynnościach twórczych. „W mojej książce pochylałam się nie tylko nad ostateczną wersją utworów Świetlickiego, ale także nad osobnymi tomami w ich pierwotnej redakcji” – pisze Niesporek, podkreślając niegotowość i wieloaspektowość podmiotowości zapisanej w poezji.

Śledzenie zmian, jakich w kolejnych wydaniach wierszy dokonuje poeta, nie ma tu charakteru edytorskiego, lecz odnosi się do poszukiwania przeobrażeń, zachodzących w samym podmiocie twórczym. Przeczytamy więc o „bohaterze (lirycznym), który stale jest w drodze, niezatrzymującym się i tym samym niepozwalającym albo też niepotrafiącym się

bie określić, uchwycić w jedno, konkretne i stałe „ja”... Zmiany i przeobrażenia podmiotu wierszy dokonują się – pisze krytyczka – „wokół trzech kręgów tematycznych: autentyczność, romantyczność, (nie) religijność”.

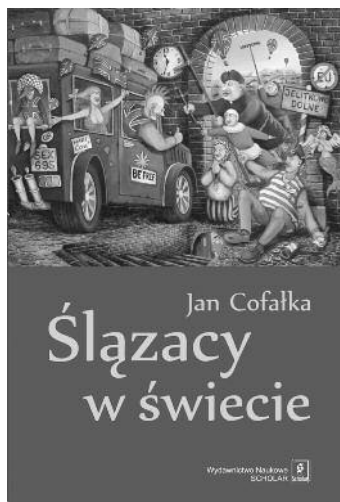
Interesujące Niesporek zagadnienia wpisują się w nurt badań nad tematami egzystencji. Książka została podzielona na cztery rozdziały: 1. Świetlicki autentyczny, 2. Świetlicki romantyczny, 3. Świetlicki (nie) religijny, 4. Bóg Świetlickiego. Skupiają się one na śledzeniu zmian w sposobie myślenia i reagowania poety na rzeczywistość. Niesporek wydobywa z wierszy zagadnienia i problemy, jakie poruszają ich autora i jednocześnie umieszcza je w uniwersalnym kulturowym kontekście. Czytelnik ma okazję przyglądać się utworom Świetlickiego, interpretowanym zgodnie z porządkiem ich powstawania. Odwołanie do chronologii sprawia, że książkę czyta się jak opowieść o rozwoju jednostki ludzkiej.

Autorka wydobywa bohatera lirycznego z pokolenia historycznego. Analizując i interpretując *Zimne kraje*, Niesporek pokazuje „narodziny” i „dojrzewanie” podmiotu od momentu wyodrębnienia się z „nieokreśloności”. Jesteśmy w drodze – obserwujemy różnorodność poszukiwań, bunt, doświadczenie i doświadczanie świata, aż do zaprzeczenia siebie i dopisywanie do już istniejących – nowych przeżyć.

Pierwszy rozdział traktuje o tym, jak „rodzi się” i „dojrzewa” bohater literacki. Czytelnik ma okazję śledzić jego rozwój, a także poznawać czynniki zewnętrzne, które go ukształtowały. Kolejne części książki są uzupełnieniem tych rozpoznań. Niesporek przekonuje, że kultura, historia, polityka i religia, z jakimi styka się jednostka ludzka w swym życiu, zostają każdorazowo przeobrażone. W rozdziale drugim – o wpływie na podmiot wierszy Świetlickiego tradycji romantycznej – czytelnik obserwuje dalszy rozwój bohatera. Doświadczenie miłości erotycznej i duchowej przeksztalca bohatera, poszerza jego horyzonty poznawcze. Rozdział trzeci i czwarty poświęcone zostały zmaganiom podmiotu z Bogiem. Interpretacja uwyrażnia tu ewolucję bohatera, odkrywającego w sobie „resztkę doświadczenia duchowego”. Tak pokazany Świetlicki jawi się czytelnikowi jako jednostka krytyczna, posiadająca szczególną wrażliwość, współodczuwająca i gotowa na podejmowanie prób przeobrażania świata i samego siebie.

Niesporek nie zastrzega sobie prawa do tworzenia jednego i słusznego obrazu poety. We wstępie skrupulatnie odnotowuje inne prace naukowe i krytyczne, powstałe na temat Świetlickiego. Mając świadomość, że przed nią byli inni, wskazuje jednocześnie na swoją książkę jako pierwszą pozycję autorską w pełni poświęconą twórczości poetyckiej autora *Schizmy*. Czyniąc tak, bierze pełną odpowiedzialność za własną lekturę. Nie kryje się za ustaleniami innych. Za każdym razem skrupulatnie odnotowuje stan badań nad twórczością Świetlickiego, by w zakończeniu każdego z rozdziałów przedstawić w jasny i precyzyjny sposób swoją interpretacyjną wykładnię. Tych kilka puent z kolejnych części, gdyby je zebrać w całość, oddałoby w pełni założenia autorki.

Lektura książki Niesporek daje wiele satysfakcji. Poznamy nie tylko rozmaite wizerunki podmiotu – „ja” Świetlickiego. Krytyczka napisała, że „przez interpretację – kataloguje i porządkuje (ona) wyłaniające się z wierszy autora *Zimnych krajów* różne oblicza i tożsamości bohatera lirycznego, często zwielokrotnionego, rozdartego, pogrążonego (...) w byciu jedynie połowicznym”. O tym jest książka. Ale my mamy także okazję przyjrzeć się dobrej sztuce interpretacji, uważnemu czytaniu wierszy, budowaniu portretu z ułotnych słów. Doświadczyć przyjemności lektury.



Być u siebie, to być sobą

KSIAŻKI

KATARZYNA KUROCZKA (BERETA)

Ślązacy w świecie Jana Cofalka to przede wszystkim świadectwo żmudnej pracy autora, który musiał czytać, osłuchać i naoglądać się różnorodnych rodzajowo i gatunkowo dzieł oraz zapoznać się z bogatymi zbiorami archiwalnymi, by wysnuć wielobarwną historię o życiu Piotra Beczały, Ewy Demarczyk, Juliusza Grządziela, o Leopolda Moczygemby, ks. Franciszka Kurzaja, Adama Makowicza, o Edmunda Szeligi, prof. Floriana Śmieji, Ernesta Wilimowskiego „Ezigo”, Krystiana Zimermana, Gerarda Bieńka, Gerarda Cieślika, Heleny Lehr, Edmunda Jana Osmańczyka, Antoniego Słupika, prof. Jana Szczepańskiego, prof. Waldemara Świerzego, rodu Lipowczanów: Pawła burmistrza Ustronia, Pawła inżyniera i pilota, Wiktora architekta i Jacka malarza, a także rodu Olszaków: dra Wacława burmistrza Karwiny, jego dwóch synów Wacława i Feliksa oraz wnuków – prof. Wacława Zuberka i prof. Włodzimierza Zuberka. Trzeba dodać, że ten okazały poczet postaci został jeszcze uzupełniony pięćdziesięcioma krótkimi notkami biograficznymi o Ślązakach znanych na świecie. By przygotować tak rozpiętą tematycznie książkę, Cofalka musiał zapoznać się z różnorodną działalnością swoich bohaterów, od artystycznej (literackiej, muzycznej i malarskiej) poczynając, przez sportową przechodząc, a na naukowej, społecznej, religijnej i politycznej kończąc.

Ktoś mógłby uznać, że dokonany przez pisarza wybór jest niepełny, krzywdzący dla osób pominiętych czy nawet obarczony jakimiś ideologicznymi przesłankami. List z podobnymi pretensjami trafił do redakcyjnej skrzynki pocztowej. Jego autor zarzucił Cofalce brak w publikacji życiorysu ks. Józefa Londzina oraz ukazanie Zaolzia przez pryzmat polskiej propagandy. Po lekturze *Ślązaków na świecie* uznaję obie uwagi za bezpodstawne. Czy dzieło ks. Londzina – składną wielkie i godne pamięci jako takiej, a także na trwałe wpisane w dzieje Śląska – wymaga, by uwzględniono je w tym właśnie miejscu? Lub jeszcze inaczej: czy jego brak naprawdę poważnie zuboża tę i tak długą i – podkreślmy – niezwykle bogatą listę nazwisk, które swoją różnorodną działalnością przyczyniły się do rozślawienia Polski, a często konkretnie Śląska poza granicami nie tylko kraju, ale nawet kontynentu?

Gdyby zabrakło w publikacji Cofalki np. Zimermana lub o. Szeligi, wtedy głos krytyczny byłby rzeczywiście słuszny i konieczny. Można oczywiście zadać autorowi pytanie, dla

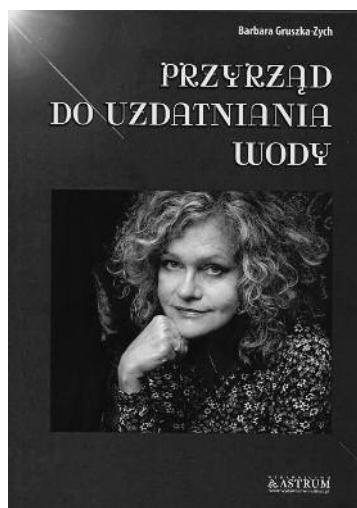
czego więcej miejsca nie poświęcił chociażby Henrykowi Mikołajowi Góreckiemu, zamieszczając jedynie jego krótki biogram na końcu książki, ale odpowiedź trochę sama ciśnie się pod pióro. Nie sposób bowiem w jednym tomie ogarnąć wszystkiego, całego arcybogatego dorobku Ślązaków, których los rozrzucił po całej kuli ziemskiej.

Zatrzymując się dłużej przy zarzucie niepełności listy, można by dorzucić jeszcze jeden kamyk do ogródka żalów i stwierdzić, że ze Śląskiem związani byli przecież inni wybitni artyści, naukowcy, społecznicy i politycy, którzy może nie czuli się i nie byli Ślązakami, ale sporą część życia tutaj przeżyli i wnieśli duży wkład w rozwój lokalnej kultury czy nauki, a ich działalność znana jest poza granicami Polski. Wspomnieć można by chociażby Wojciecha Kilara, prof. Zbigniewa Religę czy Tadeusza Różewicza. Jednak ten głos zapisuję z pewną ironią, bo mam świadomość, że tego rodzaju dywagacje niechybnie prowadziłyby po pierwsze, do obstrukcji uniemożliwiającej wydanie jakiegokolwiek publikacji pod tytułem *Ślązacy w świecie*, gdyż lista byłaby stale wydłużana, aż w końcu zaczęłyby przypominać książkę teledoresową, w której niejako z urzędu muszą znaleźć się wszyscy mający kiedykolwiek jakikolwiek śląski adres zamieszkania; po drugie, takie rozważania byłyby chyba wyłącznie podstawą do podsycaenia różnego rodzaju nieporozumień na tle narodowościowym, politycznym czy ideologicznym. Zawsze ktoś w tej grupie byłby przez kogoś postrzegany jako niepoprawny politycznie.

Wracając zatem do zarzutu autora listu jakoby Cofalka podsycał antyczeskie animozje na Zaolziu, wspominając o Olszakach jako żarliwych patriotach polskich, należy stwierdzić, że piszący do redakcji chyba nie przeczytał książki do końca albo czytał ją bez zrozumienia. Wystarczy bowiem zapoznać się z rozdziałami poświęconymi Zimermanowi oraz Osmańczykowi, by zorientować się, że Cofalka jest zdecydowanym przeciwnikiem patriotyzmu martyrologicznego i o zabarwieniu nacjonalistycznym, preferuje natomiast „patriotyzm łopatowy”, jak nazwał go Zimerman, czyli poczucie odpowiedzialności za miejsce, w którym się żyje, za panujący w nim ład społeczny i porządek. Taka zaś postawa wymaga odwołania się nie do martyrologii, wojaczki, przelanej krwi czy jakichś interesów narodowych, ale do kultu pracy i praworządności, jak pisał Osmańczyk. „Zródłem siły społeczności ludzkich jest praca” – podkreślił w *Sprawach Polaków*, dlatego Cofalka opisując życie wybranych Ślązaków, snuł nade wszystko opowieść o ich mozolnej i wytrwałej pracy nad udoskonalaniem siebie, uprawianych dyscyplin oraz wykonywanej działalności artystycznej, sportowej, społecznej oraz naukowej. To historia ilustrująca prawdziwie śląski patriotyzm, który polega na kulcie porządku, roboty, wykonywanej z poczucia odpowiedzialności za powierzone przez innych lub wyznaczone sobie samemu zadania, a wszystko po to, by w ten sposób stworzyć miejsce, w którym będzie się dobrze żyło; by zbudować „małą ojczyznę”, czyli kawałek ziemi, na którym przyszło nam żyć, a nie jakąś abstrakcyjną ideologiczną wspólnotę.

Bohaterowie książki Cofalki po prostu wykonują dobrze swoją pracę, czymkolwiek ona jest – śpiewaniem, graniem, pisanem, malowaniem, wykonywaniem obowiązków urzędnika czy naukowca, bo właśnie ta praca jest ich światem, ich miejscem na ziemi, w którym czują się wszędzie u siebie. Chyba najlepszym dowodem są życiorysy Piotra Beczały, Krystiana Zimermana i Adama Makowicza, dla których granicami ich własnej „małej ojczyzny” są granice muzyki; można wręcz powiedzieć, że mieszkają na stałe w muzyce, choć geograficznie są w nieustannym ruchu. Myślę, że właśnie to chciał pokazać Cofalka, pisząc *Ślązaków w świecie*. Jedyne, co mogę i muszę mu zarzucić, to nadużywanie dużych kwantyfikatorów. Wszystko jest najlepsze, pierwsze, jedyne, najważniejsze. Chyba nigdy i w niczyjej biografii taki idealizm się nie sprawdza, nawet w żywotach świętych.

Jan Cofalka: *Ślązacy w świecie*. Warszawa 2015, ss. 403.



Szeptem

KSIAŻKI

MAREK RAPNICKI

Powie ktoś, że można czekać aż wierszy nabiera się kopa albo dwie. I wszystko się uleży i ułoży. Można z czekania i destylacji uczynić metodę. Ale wtedy poetycki tomik straci to, co dla Barbary Gruszki-Zych bardzo cenne: temperaturę chwili, rolę intymnego dziennika, w którym sama autorka przegląda się jak w czułym (i czujnym), sprawiedliwym zwierciadle.

Najnowsza książka *Przyrząd do uzdatniania wody* daje odpowiedź na ten literacki dylemat. Wybór poetki jest jasny i czytelny – pisać, osaczać moment, w którym nasza uważność staje na wysokości zadania, nie czekać, poskramiać rozpacz i zdumienie, że „dzieci są chwilę dziećmi | i maliny podnoszone do ust | po chwili rozpyłują się | w krwisty słodki sok (...)”. Ten zamykający tomik wiersz jest ostentacyjnie bez tytułu, podobnie jak wszystkie inne, z trzema wyjątkami. Przypadek? Bynajmniej. Te wiersze naśladują notatki na kartkach wyrwanych z brulionu, które zostały zapisane, kiedy zapisańc były miały i nie potrzebują nagłówka. Tak jak tytułu nie potrzebują godziny i minuty, nie potrzebują dni, które przeciekają nam przez palce, które są tkanką naszego w gruncie rzeczy niepojętego żywota. Ale potrzebują zapisu! One wszystkie – te wiersze – mogłyby skryć się pod jednym natrętnie pulsującym w skroniach poety i czytelnika neonem z napisem *Odchodzenie*. I tam by szczyły, gdyby nie unosiła ich jakaś poetycka i ludzka po prostu siła współczucia, ocalenia. Poetka śladem swego niezrównanego tomu *Szara jak wróbel* staje w szranki z nieubłaganym czasem, przeciwstawiając mu miłość i pamięć. „Wierzę że jesteśmy hymnem | wyśpiewanym przez Boga | na cześć swojego stworzenia (...)” – wyznaje poetka. „Jesteśmy hymnem” – o ile się Kochamy!

Rwana, pełna epizodów opowieść prowadzi do wniosku, iż aby pojąć swój los, poczuć się kamyczkiem w wielkiej mozaice pokoleń, trzeba wyjść poza swoje szczęście i nieszczęście, cienką kreską Kulisiewicza wpisać je w powtarzalność zdarzeń, uczuć i refleksji. Trzeba współ-czuającym, niezazdrośnym okiem ogarnąć nadmorską promenadę, salę kinową, znajomą ulicę... Wtedy następuje poetycki cud znalezienia wspólnego mianownika dla naszego-tu-pielgrzymowania. Jak w wierszu *** (*mężczyźni i kobiety*), *ciężar* albo *** (*starsi mężczyźni*). To ich właśnie, cichych świadków złego i dobrego, obdarza czułością poetka, a naprawdę obdarza ich głosem: „(...) kocha ich każdy jej kamyk i listek drzew | co roku tracących wszystko oni już tyle stracili | dlatego tak pilnują ulicy uciekającej jak życie”. Najważniejszy w książce wiersz? Być może *linia frontu*, która rozpoczyna się zapierającą dech

czystą frazą, która przerzuca luk paraboli pomiędzy światami, tak jak to może zrobić jedynie i wyłącznie poeta! „trawa uczy się deszczu | za każdym razem na nowo | jak usta słów które przecierają je wodą (...)”. A może zupełnie inny, gdzie z pozoru banalny, „życiowy” epizod prowadzi do niezwyklej pointy: „(...) teraz te pola chodzą z nami na inne spacery | przypominając ledwie zdmuchnięte dzieciństwo”.

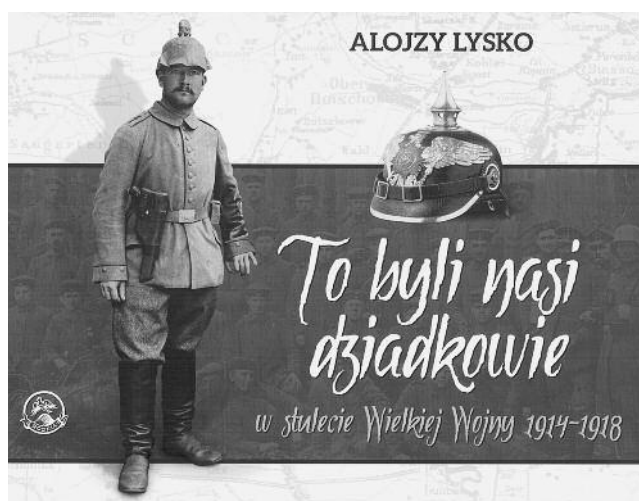
Powiedzieć o poezji, że jest mądra to niewiele powiedzieć, ale jednak! To całkiem rzadka cecha w krainie reklam, w babilonie pozornych znaczeń i kokieterijnych uników. Barbara mądrze gospodaruje słowem, potrafi bezszelestnie przenosić się w czasie i przestrzeni, spinać je kłamrą metafory. Jeśli sensualizm to przefiltrowany pełną zalotności dyskrecją, jeśli ochota do krzyku – to poskromiona nadzieja, że prowadzi nas „wielki Pan”.

I przyznam jeszcze, ośmielony lekturą, że „lubię, kiedy” poetka wie, że jest kobietą i rozpuszcza włosy przed ciekawym czytelnikiem. Kiedy idzie na przebój, znając czas i miejsce! O, niechby tak: „(...) że te dziewczyny idą | za mnie w strojach kąpielowych nadmorską promenadą | że prowadzi je słońce i oczy mężczyźni że to one | prowadzą nas przez najgładsze plaże swoich pleców”. I lubię, kiedy w wierszu robi się pięknie i uroczyście, jak w jednym z najbardziej uroczych utworów, w mowie do róży, opiekunki nocy, która „jasna jak nasze ciała | zmienione przez blask księżyca | jesteś wargami | szepczącymi wonią | to czego nie usłyszysz ptak”. Ujmujący jest także wiersz *** (*za oknem zielone jezioro*), który wprowadza nas do matecznika poetki, gabinetu, gdzie „klawiatura | komputera” jest świadkiem jak rodzi się wiersz; to „(...) najczęściej | dotykane miejsce światła – oznajmia autorka – pieszczę się na niej | ze słowami jak z żadnym kochankiem”.

Drobne kontury wiersza Gruszka-Zych wypełnia słowami normalnej polskiej mowy – jest w końcu przecież znakomitą dziennikarką – i jak to się dzieje, że wśród tych „zwykłych” słów czai się tajemnica, serce poezji?! Oto jest pytanie, na które odpowiada sobie już sam czytelnik, znajdując w wierszach z *Przyrządu do uzdatniania wody* pocieszenie, a w każdym razie lekcję nadziei. Poetka nie kryje, że jej źródłem pocieszenia jest Ten, który kiedyś wreszcie „przetrze nas szmatką do czysta”, sam Bóg. Ale najpierw wypada odrobić lekcje. Życia i poezji. Wiedząc, że „trzeba było pozwolić | Mu czynić cuda trzeba było | pozostać jego cudem a nie | przez chwilę życia Wiecznemu | pokazywać na co nas stać”.

Na antypodach siły wiary, w której „stałości mojej moc”, pulsuje to, co nietrwale: ziemską miłość, zdrowie, w końcu życie nasze! Poeta to ten, co kocha, przeżywa, wspomina, odprawia egzekwie nad chwilą, która zwalcza naszą pewność siebie, bo – odchodzi. Jak przejmująca elegia brzmi wiersz *ciężar*. Nielatwo unieść w *mojej małej głowie* brzemień tyłu ostatecznych pożegnań – mówi autorka – „w czasie długich spacerów | ulicami bez powiek bo przecież one nie śpią | jak ci co nimi chodzili | a teraz się pokładli na dłużej niż żyli (...)”. Nielatwo, ale trzeba! I oto jedno niewinne słowo „pokładli” odsyła każdego Polaka-Europejczyka między Odrą a Dniestrem do wielkiego hymnu Franciszka Karpińskiego. I w okamgnieniu razem mieszkamy, w wierze i języku! I lżej nam na duszy, patrzącym na „łabędzie” z Regent’s Parku, „kiedy jesteśmy osobno | wyciągając do siebie rękę z telefonem”.

Poezja Gruszki-Zych to poezja szeptu. Wysokiej próby kameralistyka. Ostatni tomik jest tego kolejnym dowodem „moje wiersze nie zmieniają świata | ale zmieniają | twoje oczy”. No właśnie!



To byli nasi dziadkowie

KSIĄŻKI

GRZEGORZ SZTOLER

Książka ta stanowi wspaniałe dopełnienie wystawy prezentowanej w bojszowskim gimnazjum w 2014 roku. Dobrze, że zebrany pieczołowicie materiał dokumentacyjny znalazł się teraz w albumie. Dzięki temu nasza wędrówka staje się bardziej intymna, wymowniejsza.

Z czego składa się publikacja? We wstępie są wyrysowane plany poszczególnych bojszowskich wsi i wymienieni kolejno ci, którzy z nich zostali wzięci do kajzerowskiej armii. Znajdziemy także opisy, jak sto lat temu wyglądały Bojszowy, Nowe Bojszowy, Świerczyniec, Jedlina i Międzyrzecze oraz informacje kto w nich mieszkał. Cytowana jest kronika prowadzona przez bojszowskiego proboszcza Aleksandra Spendla. Poruszamy się między wspomnieniami mieszkających w Bojszowach ludzi. Preludium do części dokumentacyjnej stanowi spis ważniejszych bitew stoczonych przez górnośląskie pułki, w których uczestniczyli nie tylko bojszowscy przodkowie. Wreszcie mamy listę poległych: z Bojszów 59 nazwisk, z Nowych Bojszów – 26, z Jedliny – 16, z Międzyrzecza – 27, Świerczyńca – 35. Do tego trzeba doliczyć kilkunastu zaginionych. W połowie albumu natrafiamy na żołnierskie życiorysy odtworzone albo na podstawie relacji rodzinnych albo opowieści naocznych świadków. Są oczywiście krótsze, o wiele skromniejsze niż życiorysy Ślązaków walczących w drugiej wojnie.

Na Śląsku nigdy nie było odpowiedniej pory na zbieranie takich relacji, bo dążenie Ślązaków do dbałości o własne losy zawsze komuś przeszkadzało. Toczyły się więc te opowieści o dziadkach z Wielkiej Wojny po cichu, w kręgach rodzin. I gdzieś udało się ocalić kilka zdjęć, przykłady korespondencji polowej, właściwie frontowej (Feldpostkarten). Nawet propagandowe zdjęcia tworzą tu odpowiedni klimat – by wspomnieć zatroskanego nad żołnierską mogiłą kajzera Wilusia. A nie brakuje w książce perełek dokumentacyjnych, czyli zdjęć Ślązaków z frontowych oddziałów, lazaretów, w towarzystwie rodzin bądź też pięknych dziewczyn. Tak samo jak reprodukcji wojennych plakatów czy ówczesnych gazet.

Dzięki publikacji docieramy na powojenne cmentarze, gdzie spoczywają śląscy chłopcy w mundurach kajzerowskiej armii. Ślązacy dzielili też upokorzenia, jakich doznawali niemieccy żołnierze po przegranej wojnie. Wspominał Tomasz Lysko, rocznik 1894, że kiedy dostał się do francuskiej niewoli, na powitanie – jak każdego kajzerowskiego wojaka – „skopali mie, spluli, zbili po gymbie – musiołech to wszystko wroz z innymi wojokami zniys”. Ślązacy pokaleczeni, ale szczęśliwi – że sie już tyn pieroński wojenny piekielec skończył – wracali do śląskich domów. Nie wszyscy.

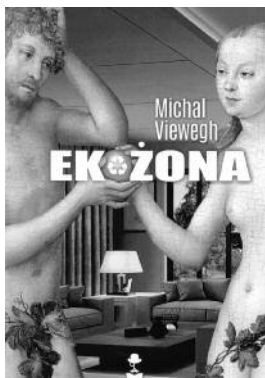
„W sumie przez wszystkie lata wojny życie utraciło ok. 15 mln żołnierzy. Nic przeto dziwnego, że wojna ta zwana była Rzezią Narodów – opisuje Lysko. – Niemcy i Austria (w tych państwach służyli Górnoślązacy) zmobilizowali 23 mln żołnierzy. Co siódmy obywatel przywdziewał mundur. Liczbę zabitych i rannych w tych armiach oszacowano na 35 mln”.

Cały ten dokumentacyjny trud, jaki pod wodzą Lyski przeprowadził sztab współpracowników, ma głęboki sens, bo stanowi hołd pamięci. Znak spóźnionego pokłonu – od nas, pokoleń następnych.

Alojzy Lysko: *To byli nasi dziadkowie. W stulecie Wielkiej Wojny 1914-1918*. Bojszowy 2015, ss. 87.

KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



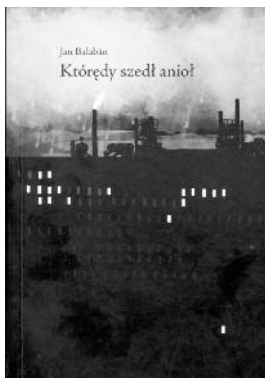
Michal Vievegh:
Ekożona.
[Przeł. Mirosław Śmigieński]
Wyd. „Stara Szkoła” Sp. z o.o.,
Rudno 2016, s. 240.

Wskromnej, chociaż ładnej bibliotekarce znany i popularny (to znaczy bogaty) pisarz zakochuje się. Ważny jest ten zaimek zwrotny „SIE”. Ona go uwielbia, słucha wszystkiego, co mówi, maluje się i stroi dla niego. On z satysfakcją widzi jej podziw dla siebie, przekonany jest ponadto, że znalazł „kobietę tradycyjną”. Pobierają się, po czym on spełnia jej, ale też swoje marzenia o domku (tak naprawdę to willa) z ogródkiem i dwojgu zdrowych dzieciach. Jednak wraz z dziećmi w gniazdku Hedviki i Mojmira pojawia się doula, czyli niewiasta wspierająca kobiety podczas ciąży, porodu i położu. O istnieniu takiej profesji, czy misji dowiedziałem się dopiero niedawno. Doula nie jest położną ani pielęgniarką. To osoba towarzysząca ciężarnej, wspierająca ją, bardziej powiernica, czy przyjaciółka niż ekspertka od ciąż, czy porodów. Doula staje się dla Hedviki kimś w rodzaju matki zastępczej, która mieszka z całą rodziną wspierając swoją podopieczną i wchodzić nieustannie w konflikt z jej mężem. Vievegh tę „wojnę płci” opisuje z humorem, chociaż jego bohaterowi nie jest bynajmniej do śmiechu. Pisarz nie oszczędza też Hedviki – ekożony, po czesku biomanželki, która nie jest wcale „tradycyjna”, ale należy do kobiet wyzwolonych i nowoczesnych, angażujących się czasem w dość komiczne przedsięwzięcia i aktywności, które jednak dla Mojmira są przerażające, szokujące albo stresujące. Czyta się to z ogromną przyjemnością, bo napisane jest bardzo sprawnie, cieszny czeski humor, zupełnie zaskakuje zakończenie. Wydawnictwo „Stara Szkoła” na okładce zapowiada wydanie jakby kontynuacji *Ekożony*, powieści pt. *Ekomąż*. Na pewno ją przeczytam, ciekawy niespodzianek, jakie tym razem szykuje czytelnikom Vievegh.



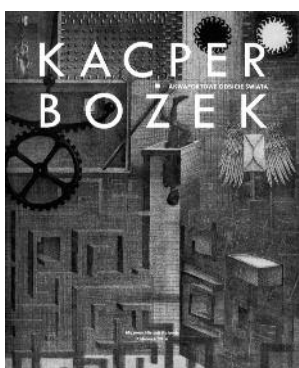
Ginter Pierończyk:
Synek z familoka.
Wyd. Narodowa Oficyna Śląska,
Zabrze 2016, s. 156.

Tego autora czytelnicy tej rubryki mieli już okazję poznać, bo omawiałem jego pierwszą książkę *Asty kasztana*. To emerytowany inżynier górnik związany przez wiele lat z kopalnią Kleofas, przede wszystkim zaś z Załężem, katowicką dzielnicą. Pierończyk to „frechowny gizd”. Tak nazwała go matka, kiedy zamiast iść „robić na gruba” wybrał się na studia do Gliwic. Obelga, którą usłyszał, stała się dla niego powodem do dumy, bo wyrwał się z robotniczego środowiska łamiąc śląską tradycję. „Frechownym gizdem” pozostał. Na emeryturze zajął się pisarstwem. *Synek z familoka* to właściwie podręcznik historii Górnego Śląska XX wieku. Ale niezwykły, bo dzieje się tylko w jednej dzielnicy. I wojna światowa, powstania, plebiscyt, II wojna itd. to tylko hasła których treścią stają się losy rodziny autora, jego sąsiadów, kolegów, innych mieszkańców Załęża, których poznał podczas zbierania materiałów do książki. Gorąco polecam.



Jan Balaban:
Którędy szedł anioł.
[Przeł. Olga Czernikow]
Wyd. „Afera”,
Wrocław 2015, s. 240.

Drugi dziś czeski autor, który jednak pisał jak nie-Czech. Nie ma w tej powieści surrealistycznego humoru, atmosfery hrabalowskich piwiarń, ciepłego traktowania bohaterów, zwykłych ludzi z ich słabościami, ale przecież w gruncie rzeczy dobrych. Może dlatego, że akcja książki toczy się w Ostrawie. Byłem tam kiedyś jako dziecko i doznałem szoku (choć wtedy nie znałem nawet tego słowa). Zobaczyłem mianowicie miasto brudniejsze, czarniejsze od sadzy, bardziej zadymione i ponure niż moje Katowice, w którym w dodatku nie było widać żadnych resztek dawnej świetności. Dla Martina, bohatera powieści symbolem „nowej swobody” (komunizmu) są czarno-żółte taśmy. Zgodnie z jakimiś przepisami wytyczają przejścia, oznakowują niskie wejścia, progi, schodki itd. Ale są jednocześnie terenem, w którym rządzi partia, to jej terytoria. Poza nimi są tylko hałdy, jakieś rachityczne resztki zieleni, coś tam jeszcze. W mieście żyją ludzie, którzy się w „nową swobodę” zaangażowali, zwyczajni górnicy i hutnicy, którzy tu zostali przysłani ze wsi do roboty, oraz ci „którym się coś zesrało” – to znaczy chłopcy, którzy zastali kryminalistami i dziewczyny, które stały się dziwkami. Ale są też nieprzystosowani (Martin należy do nich). Mają jakieś marzenia, ambicje, cele, ale nierealne, muszą żyć w codziennym kołowrocie. Czas mija, zmienia się ustrój, pada przemysł, rodzi się demokracja, kapitalizm, jednak dla tych wrażliwych nic to nie znaczy. Nadal „pospolitość skrzeszy”, chociaż już inna i inny jej skrzek. Przez moment wydaje się, że ci „naznaczeni” to takie „bratnie dusze”. Ale ich związki są nietrwałe, rozpadają się, jak wszystko wokół. Ciekawa też jest forma tej prozy. Początkowo wydaje się, że to krótkie opowiadania, takie „obrazki z Ostrawy”, później okazuje się, że zmieniają się bohaterowie, a ich losy zaczynają się przecinać. Ponure, ale warte przeczytania.



Kacper Bożek.
Akwafortowe odbicie świata.
Wyd. Muzeum Historii Katowic,
Katowice 2016, s. 52.

Już od jakiegoś czasu wychwalam wydawnictwa muzealne, w tym Jkatalogi, które teraz „towarzyszą wystawom”, co oznacza, że stały się publikacjami a nie tylko rejestrem pokazywanych eksponatów. To mogę odnieść w całej rozciągłości do tytułowej pozycji. Kacper Bożek należy na pewno do artystów, którzy już zaznaczyli swoją obecność we współczesnej sztuce polskiej. Można powiedzieć, że dołącza do grona mistrzów grafiki warsztatowej, o czym można się przekonać w MHK, w Oddziale Grafiki im. Pawła Stelera. Podoba mi się „barokowość” jego prac, ich nasycenie szczegółami, pewne stłoczenie poszczególnych fragmentów kompozycji. Ale jest jeszcze coś. Sztuka Bożka jest nie tylko „literaturą”, ona wręcz się do literatury odwołuje i z niej czerpie. Możemy oglądać jego wizje *Mistrza i Małgorzaty* oraz *Rękopisu znalezionej w Saragossie*. Polecam.

NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Wójcik

Maria Szuka

Jacek Sikora



Józef Brandt, *Niebezpieczna przeprawa*

70-lecie Muzeum Zamkowego

PSZCZYNA. 70-lecie Muzeum Zamkowe uczci konferencją naukową „Za wytworną fasadą. Kulisy funkcjonowania rezydencji arystokratycznych”, która odbywać się będzie 12 i 13 maja w Stajniach Książęcych w Pszczynie. W programie konferencji znajdują się wystąpienia m.in. pracowników naukowych uniwersytetów i politechnik, Polskiej Akademii Nauk, Muzeum Narodowego w Kielcach, muzeów w Bielsku-Białej, Łańcucie, Nieborowie, Żywcu, Cieszynie, Wilanowie, Pszczynie, Łodzi, a także gości z zaproszonych muzeów z zagranicy. Druga część obchodów odbędzie się 13 maja w Sali Lustrzanej pszczyńskiego zamku.

Pod patronatem „Śląska”

Mikołowskie Dni Muzyki

MIKOŁÓW. XXVI Mikołowskie Dni Muzyki odbywać się będą od 21 maja do 11 czerwca. Ich niestrudzonym kierownikiem artystycznym jest wirtuoz organów Władysław Szymański. W ramach festiwalu zaplanowanych zostało dziewięć zróżnicowanych koncertów w wykonaniu solistów i zespołów z Polski, Czech, Holandii, Niemiec i Ukrainy. Mikołowskie Dni Muzyki zainauguruje 21 maja o godz. 19.30 w bazylice św. Wojciecha koncert „Lwowscy wirtuozi”, którzy wykonają *Koncert klarnetowy A-dur* W. A. Mozarta i *Symfonię F-dur* L. Mozarta. Również w bazylice 22 maja odbędzie się recital organowy Stefana de Wijgert (Amsterdam). Z kolei w kościele ewangelickim wystąpi Royal String Quartet (25.05). Z recitalem organowym wystąpi Karel Martinek (Czechy) – koncert odbędzie się w bazylice św. Wojciecha. Również sala Domu Kultury gościć będzie wykonawców, 29 maja wystąpi NSI Quartet z koncertem jazzowym. 2 czerwca – ponownie w kościele ewangelickim – będzie można uczestniczyć w koncercie kameralnym Trombone Unit Hannover (Niemcy), którzy zaprezentują muzykę współczesną K. Serockiego, A. Brucknera, T. Susato, D. Bourgeois, F. Rabe. Kolejny koncert odbędzie się 5 maja w bazylice św. Wojciecha – będzie to koncert organowy Władysława Szymańskiego z udziałem Stanisława Dziewiora (trąbka), a wykonane zostaną utwory J. S. Bacha, A. G. Rittera, A. Hollinsa, A. Guilman-ta. 8 czerwca w Mikołowie zaśpiewa Stanisław Soyka & Cracow Singer, którzy wykonają „Shakespeare a capella”. Tegoroczne Mikołowskie Dni Muzyki zakończy koncert 11 czerwca – również w bazylice św. Wojciecha. Wystąpi Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej pod dyktando Kai Bumann, a solistą wieczoru będzie Vadim Brodski (skrzypce). W programie znajdują się: *I Koncert skrzypcowy D-dur* N. Paganiniego i *IV Symfonia d-moll* R. Schumanna. Szczegółowych informacji na temat Dni udziału biuro organizacyjne festiwalu: tel. 32/2262147, 608 398 400.

Pod patronatem „Śląska”

Śląsk oczyma Paula Rothera

BYTOM. Ułamek sekundy, sekunda, może dwie... Charakterystyczny dźwięk migawki aparatu fotograficznego... Czas zatrzymuje się w miejscu. Co decyduje o wyborze ujęcia, w tym konkretnym momencie, w którym dochodzi do spotkania czasu z miejscem?

Niepowtarzalność tego, co stanowi temat fotografii, pozwala odbiorcy na refleksyjny dialog z przeszłością, chroniąc ją w ten sposób od zapomnienia. Fotografia stanowi odbicie rzeczywistości utrwalone na kliszy fotograficznej – odcisk autora i chwili, ciągu zdarzeń, historii osobistych, historii obiektów czy piękna otaczającej przyrody. Jest subiektywnym materiałem – nośnikiem pamięci, który pozwala na poruszanie się balansując na granicy między dokumentem a formą ekspresji – czasem rzeczywistym i nierzeczywistym jednocześnie. W niezwykłą podróż z aparatem w rękę, utrzymaną w klimacie lat 20. i 30. XX w., zabierze zwiedzających Paul Rother (1898–1986). Urodził się w Orzegowie, zaś dorosłe życie spędził w Szombierkach. Z zawodu kowal, pracował przez wiele lat w kuźni kopalni „Hohenzollern” (później: „Szombierki”). Był człowiekiem o różnorodnych zainteresowaniach. Pasjonował się historią, astronomią, geologią, uprawiał turystykę pieszą. Paul Rother w sposób skrupulatny rejestrował, studiował i dokumentował świat. Wykorzystywał w tym celu jako narzędzie aparat fotograficzny. Zachowany zbiór fotografii liczy około 400 zdjęć znajdujących się w prywatnych zbiorach rodziny. Ukazują one piękno śląskich krajobrazów i architektury oraz postaci, z intuicyjnym wręcz wyczuciem kompozycji i zmysłem artystycznym. Ujmująca jest niezwykła estetyka światła, zatrzymana w odcieniach czerni i bieli. Powstałe zdjęcia są świadectwem pasji fotograficznej Paula Rothera – pasji poznawania ludzi i otaczającej ich rzeczywistości. Kuratorzy wystawy: Maciej Droń, dr Joanna Lusek, Waldemar Żyła. Wystawa czynna od 14 maja do 31 września 2016 r.

Galerie sztuki polskiej w nowej odsłonie

KATOWICE. Galerie sztuki polskiej Muzeum Śląskiego znowu będzie można oglądać w pełnej krasie. Od 15 marca przestrzeń została wzbogacona o prezentację dzieł Józefa Brandta, jednego z czołowych polskich malarzy-batalistów. Aby zwiększyć komfort oglądania dzieł w Galeriach sztuki polskiej, poprawiono m.in. system informacji wizualnej, zmieniono miejsca zawieszenia niektórych obrazów w obrębie każdej sekwencji tematycznej, co pozwoliło jeszcze lepiej oświetlić eksponaty i zobaczyć je z dogodnej perspektywy z każdego miejsca galerii. Wybrane obrazy Leona Wyczółkowskiego, Piotra Michałowskiego czy Józefa Chełmońskiego będą eksponowane wymiennie, w cyklu półrocznym, dzięki czemu wystawy będą bardziej różnorodne. Galeria sztuki polskiej po 1945 roku zostanie wzbogacona o nieeksponowane dotychczas w muzeum dzieła Tadeusza Kantora, a w części prezentującej street art o prace grupy Montsfur z Częstochowy, której dzieła znajdują się zarówno w prestiżowych galeriach, jak i w ulicznych zakamarkach oraz opuszczonych fabrykach. Pasjonatów sztuki wideo na pewno zainteresują spotkania z artystami i krytykami sztuki w inaugurującej swą działalność w kwietniu „Akademii wideoartu”. Inspiracją do spotkań będą zaprezentowane po raz pierwszy w Muzeum Śląskim produkcje autorstwa Natalii LL, Józefa Robakowskiego, Zbigniewa Libery i innych znanych twórców. Do 17 lipca w Galerii sztuki polskiej 1800–1945 można będzie oglądać dzieła Józefa Brandta, artysty, który miał niezwykłą pamięć wzrokową oraz wyobraźnię filmowca. Unikalną cechą jego twórczości jest sposób patrzenia na zdarzenia jak na dynamiczne, kolorowe widowiska, co można zaobserwować na jednym z najbardziej znanych obrazów artysty *Niebezpieczna przeprawa*. Drugim prezentowanym dziełem jest pochodzący z prywatnej kolekcji portret konny Zbigniewa Horodyńskiego. Obraz powstał na zamówienie, w szczytowym okresie twórczości Brandta, który – jak mówiono – „wkładał więcej pasji w konia niż w człowieka”.



Paul Rother z przyjaciółmi na wędrowce. Pokój na Opolszczyźnie (1931)

Nagroda Juliusz ma logo

RYBNIK. Rozstrzygnięty został konkurs na wykonanie projektu graficznego logo Górnośląskiej Nagrody Literackiej JULIUSZ. Do konkursu zgłoszono 45 projektów logo, które spłynęły z całej Polski. Komisja konkursowa, najwyżej oceniła projekt **Macieja Kwaśniewskiego ze Szczecina**. Wybrane logo stanie się oficjalnym elementem identyfikacji graficznej Górnośląskiej Nagrody Literackiej Juliusz. Komisja zgodnie uznała, że projekt ten jest oryginalny, pomysłowy, funkcjonalny oraz nawiązuje do postaci Juliusza Rogera niemieckiego lekarza i przyrodnika, z zamiłowania etnologa oraz działacza społecznego. Górnośląska Nagroda Literacka to nagroda, która przyznawana będzie corocznie za najlepszą książkę napisaną i wydaną po polsku w roku poprzednim. Pierwsza edycja podsumowana zostanie podczas tegorocznych Rybnickich Dni Literatury. Laureat nagrody otrzyma ufundowane przez miasto 40 tys. zł. Książki oceniać będzie sympatyków z różnych stron kraju.

Pod patronatem „Śląska”

Naukowo i przyrodniczo w Muzeum Górnośląskim

BYTOM. W Muzeum Górnośląskim w Bytomiu czynna jest wystawa *Omne vivum ex ovo*, której zadaniem jest odpowiedzieć na filozoficzne pytanie „co było pierwsze: kura czy jajo?”. Zdecydowanie jajo! Już przecież w XVII wieku dowodzono, że wszystko, co żyje, z niego pochodzi. Ale wątpliwości pozostały. Może więc jednak kura? W roku 1651 William Harvey opublikował pracę zaprzeczającą istnieniu samoródtwa: *Omne vivum ex ovo*. Samoródtwo organizmów wyższych odrzucono także wskutek doświadczeń przeprowadzonych w XVII wieku przez Francesca Rediego oraz w XVIII wieku przez Lazzara Spallanzanego. Problematiczna pozostawała kwestia bakterii – nie potrafiono wytłumaczyć ich szczególnie intensywnego rozmnażania się i występowania niemal w każdym miejscu. Tezę o samoródtwie mikroorganizmów obalili dopiero w XIX wieku Louis Pasteur. Jajo stanowi u wielu gatunków zwierząt fazę rozwoju nowego osobnika. Składają je różne bezkręgowce, w tym owady. Spośród kręgowców czynią to ryby, płazy, gady, ptaki, a z ssaków przedstawiciele stekowców – dziobak i kolczatka australijska. Zoologiczny zbiór naukowy Działu Przyrody Muzeum Górnośląskiego to prawie 4000 jaj ponad 200 gatunków ptaków. Na wystawie przedstawione są jaja 60 gatunków ptaków (w tym największe na świecie jajo strusia madagaskarskiego i najmniejsze – jajo kolibra), jaja gadów oraz rekinów, a także filigranowe jaja owadów. Zwiedzający mają okazję zobaczyć ponadto zróżnicowane pod względem wielkości i kunsztu budowy gniazda ponad 30 gatunków ptaków (to tylko część kolekcji Muzeum Górnośląskiego liczącej ponad 250 gniazd około 90 gatunków ptaków!). A ponieważ „pierwsza” mogła być jednak kura, to i jej nie zabraknie na tej wyjątkowej ekspozycji. Kuratorami wystawy są dr Piotr Cempulik i Roland Dobosz. Wystawę można oglądać do 19 czerwca 2016 r.

Górnośląskie kroszonki 2016

BYTOM. O niezwykłych możliwościach dekorowania jaj można było przekonać się, zwiedzając wystawę *Górnośląskie kroszonki 2016*

Wystawa *Omne vivum ex ovo* w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu

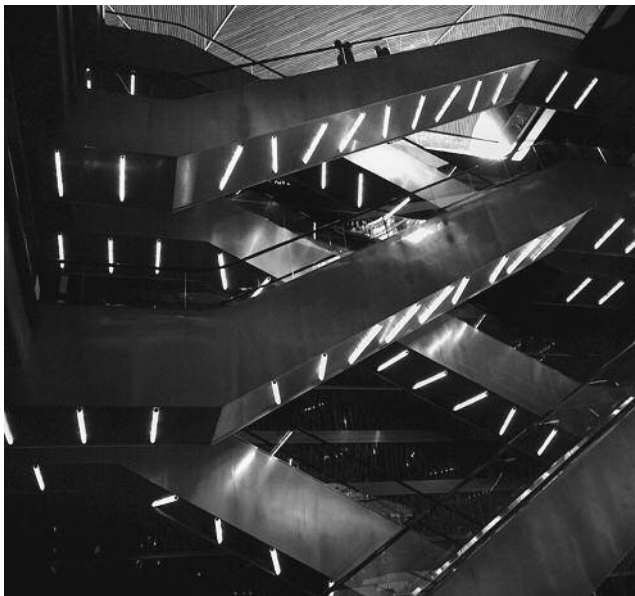
w Muzeum Górnośląskim. Prezentowane na niej filigranowe dzieła to prace zgłoszone w tegorocznej, 27 edycji konkursu na najciekawsze kroszonki wykonane tradycyjnymi i nowymi technikami. Ocenione były one w czterech kategoriach ze względu na zastosowaną technikę. Zdumiewająca jest nie tylko precyzja wykonania kroszonek, ale i różnorodność pojawiających się na nich deseni i motywów – od geometryczno-kwiatowych czy solarnych po abstrakcyjne. Są pisanki wielobarwne, są i te pozbawione koloru na rzecz oryginalnej formy. Wystawa *Górnośląskie kroszonki 2016* dowodzi, że polski folklor jest żywy i że może być źródłem inspiracji. Towarzyszy jej ekspozycja *Omne vivum ex ovo*, prezentująca jajka w zupełnie innym – przyrodniczym – kontekście. Pisanki w poszczególnych regionach otrzymały odmienne nazwy (wydmuszki, kraszanki, a na Śląsku kroszonki), utrwaliły się też różne tradycje ich zdobienia. Najstarszą na Słowiańszczyźnie jest technika batikowa, polegająca na nanoszeniu na jajko wzoru za pomocą gorącego wosku. Na Śląsku największą popularnością cieszy się zaś technika rytownicza – zabarwione jajko zdobi się, wydrapując na nim dekoracje. Pisanki okleja się rdzeniem sitowia, płatkami bzu, słomką bądź trawą kwasem. Coraz częściej pojawiają się techniki nowatorskie – decoupage albo ażury. Gala finałowa konkursu odbyła się 12 marca w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu. Swoją nagrodę wręczył również miesięcznik „Śląsk”, o czym informowaliśmy w marcowym wydaniu. Kuratorem konkursu i wystawy była Małgorzata Kłyćh.

Where are you, Andy?

ŚWIĘTOCHŁOWICE. Centrum Kultury Śląskiej w Świętochłowicach 10 marca zaprasza na otwarcie wystawy Antoniego Kreisa pt. „Where are you, Andy?”, która usytuowana została w wieży KWK Polska w Świętochłowicach. Antoni Kreis jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików, jest autorem licznych wystaw indywidualnych. Na ekspozycji prezentuje zdjęcia pokazujące lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku i obraz świata zapamiętany z tamtych lat: odkrywanie świata, szaleństwo muzyki Beatlesów, dekadencja w sztuce i w życiu, Andy Warhol i Jego Fabryka, pop art. I nowa filozofia sztuki. *To początek mojego świadomego życia, więc zostaje w pamięci na zawsze. Dancing In The Street, Blowin' In The Wind, Dziwny jest ten świat i Na drugim brzegu tęczy. Później Wietnam, o którym wszędzie głośno, pierwsze w PRL-owskiej rzeczywistości komiksy, niespokojne, kolorowe lata siedemdziesiąte. A w Polsce szaro, ponuro. W centrum tego wszystkiego Kobieta, dzięki której świat toczy się coraz szybciej do przodu, wszak poeci piszą dla Kobiet, muzycy grają i śpiewają dla Kobiet, artyści tworzą dla Kobiet, w zamian oczekując Jej uśmiechów i względów. Polska sztuka fotograficzna nie „zalała się” na pop art – chciałbym to nadrobić....*

„nie-miejsca” Marcina Górskiego

KATOWICE. Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zaprasza do odwiedzenia wystawy fotografii Marcina Górskiego „nie-miejsca”. W myśl francuskiego antropologa Marca Augé, „nie-miejsca” to przestrzenie niegodne nazwy „miejsca”. Są to przestrzenie, z których wszyscy korzystamy, lecz tylko na chwilę – w drodze do „miejsc” prawdziwych – naszych domów. Marcin Górski (1972) studiował na Wydziałach Budownictwa i Architektury Politechniki Śląskiej, dziś jest pracownikiem naukowym tej uczelni. Fotograf, kurator i popularyzator fotografii. Współzałożyciel i prezes Gliwickie-



Wystawa fotografii Marcina Górskiego „nie-miejsca”



Danuta Baska

Fot. z arch. STLiA „Ateneum”

go Domu Fotografii, współautor The F Blog i blogu Miejsce Fotografii, członek portugalskiego stowarzyszenia Fotoalternativa i Kolektywu KGF, członek redakcji Fotoindexu, współpracownik portugalskich magazynów Dilema i Camera. doc. Współpracownik Workshop X. Kurator i współkurator wystaw m.in. Ami Vitale, Jeanne Wells, Mariusza Foreckiego i Michała Łuczaka. Jego prace były pokazywane na ponad 40 wystawach indywidualnych i zbiorowych we Francji, Portugalii, Szwecji, Polsce, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Japonii, Czarnogórze i Macedonii. Autor i współautor kilku książek fotograficznych w Polsce, Portugalii i Iranie, publikowany w czasopiśmie fotograficznym w Portugalii, Stanach Zjednoczonych, Serbii i Rosji. Autor lub współautor projektów foto-dokumentacyjnych i foto-socjologicznych poświęconych ginącym lokalnym społecznościom – Madeiro, Quaresma, Fado i Balcerk. Zajmuje się fotografią tradycyjną średnio- i wielkoformatową, interesując go zagadnienia na granicy dokumentu i zapisu socjologicznego oraz architektury. Wystawę można oglądać do 30 kwietnia 2016 roku.

O Wełence, Kłębuszku, miłości i przeznaczeniu

KATOWICE. 2 kwietnia odbyła się premiera prasowa najnowsze go spektaklu Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum” *O królowie Welence* Marii Joterki. Sztuka inspirowana tekstem *Apolejka i jej osiołek* Marii Krüger, adresowana do młodszych dzieci, to pełna wdzięku, zabawna i pogodna historia o miłości. Inscenizacja zrealizowana z dystansem i dużym poczuciem humoru, łączy konwencję żywego planu z lalkami. Dodajmy, że lekko swingujące piosenki, których w spektaklu jest sporo, na pewno zapadną w pamięć. Przedstawienie przygotowali twórcy znani już widzom „Ateneum” z interesującego *Szczurolapa* – Janusz Ryl-Krystianowski (reżyseria), Julia Skuratova (scenografia), Robert Łuczak (muzyka) i Ewelina Ciszewska (ruch sceniczny). W rolach głównych występują Katarzyna Prudło i Grzegorz Eckert. Premiera łączyła się z obchodami Międzynarodowego Dnia Teatru i VII edycją ogólnopolskiej akcji *Dotknij Teatru*.

Odeszła Danuta Baska

KATOWICE. 3 kwietnia po długiej i ciężkiej chorobie zmarła w Katowicach Danuta Baska, aktorka Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”. Spędziła na tej scenie większość swego artystycznego życia. Grała niemal do końca – jeszcze w lutym widzowie oklaskiwali ją w „Krawcu Niteczce” ... Zanim związała się na ponad 20 lat z katowickim Teatrem Ateneum występowała na scenach lalkowych w Zielonej Górze, Słupsku, Szczecinie i Wałbrzychu. Widzowie katowickiej sceny pamiętają ją z bardzo charakterystycznych ról w blisko 30 przedstawieniach. Wcieliła się m.in. w: egzaltowaną *Ochmistrzynię* w „Dzielnym szewczyku” Marii Kownackiej, sympatycznego *Modraczka* w „Entliczku-pentliczku” Jana Brzechwy, *Pajaca* i *Diabla* w lalkowej „Aksamitce, córce diabła” Pierre’a Gripariego, *Wodę* w oryginalnym autorskim projekcie Karela Brožka pt. „Żywioly”, groteskową *Babę-Jagę* w „Klonowych braciach” Eugeniusza Szwarca, *św. Michała* i *żonę Karola* (żywy plan) oraz *Osla* (w konwencji ma-

ski) – w „Joannie d’Arc” w adaptacji Karela Brožka, dowcipną *Gęsią Skórkę* i *Królową Malusię* w „Najmniejszym balu świata” Maliny Prześlugi a także w charakterystyczną diabolicę *Kruszynkę* w „Krawcu Niteczce” Zbigniewa Głowackiego (spektakl otrzymał nagrodę za najlepsze przedstawienie Olsztyńskiego Tygodnia Teatrów Lalkowych ANIMA 2015). Danuta Baska bardzo aktywnie działała społecznie, pełniąc funkcje przewodniczącej Komisji Zakładowej Związku Aktorów Śląska oraz sekretarza Zarządu Okręgu Śląskiego ZASP.

Słoneczny order

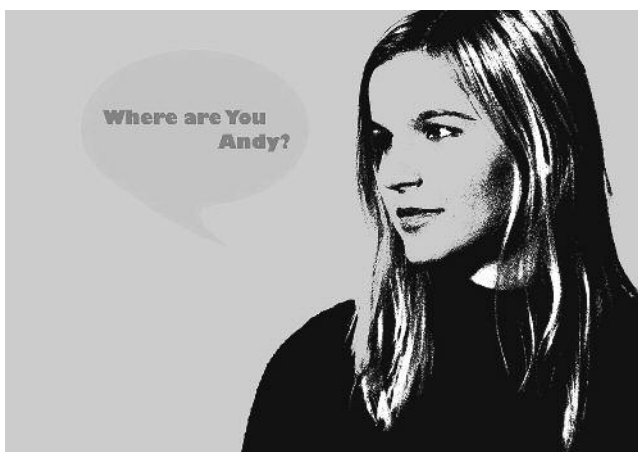
BIELSKO-BIAŁA. O Orderze Uśmiechu mówi się, że jest najbardziej słonecznym odznaczeniem na świecie. 21 marca br. w sali koncertowej Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. St. Moniuszki w Bielsku-Białej wręczono go znakomitej bielskiej pisarce Renacie Piątkowskiej. Uroczystość celebrował kanclerz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu Marek Michałak w towarzystwie odznaczonego już wcześniej Orderem Uśmiechu ks. Piotra Sadkiewicza z Żywca i grupy dzieci, na wniosek których autorka „Dziadka na huśtawce” została uhonorowana słoneczną nagrodą. Renata Piątkowska jest absolwentką socjologii UJ, autorką około 20 książek dla dzieci i młodzieży oraz laureatką wielu nagród, m.in. im. Astrid Lindgren i Kornela Makuszyńskiego.

Dojrzała zadymka

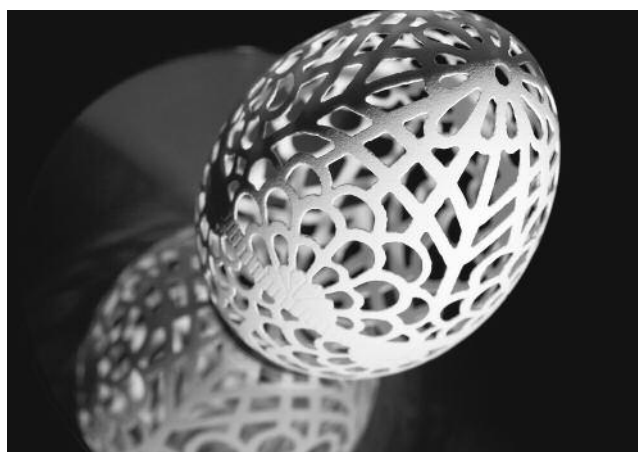
BIELSKO-BIAŁA, KATOWICE. Po raz osiemnasty w salach koncertowych Bielska-Białej i Katowic można było podziwiać muzyków Bielskiej Zadymki Jazzowej – Lotos Jazz Festiwalu. Od 1 do 6 marca wystąpili m.in. brytyjski kontrabasista Dave Holland z gitarzystą Kevinem Eubanksem i perkusistą Obedem Calvirem, cygański gitarzysta francuski Bireli Lagrene z zespołem, amerykański saksofonista Maceo Parker, Paweł Kaczmarczyk Trio, Maciej Obara Quartet, Atom String Quartet oraz duet Wojciech Myrczek i Paweł Tomaszewski. Koncert pt. „Z lotu Ptaka” dał – obchodzący jubileusz 80-lecia – Jan Ptaszyn Wróblewski. Imprezę zamknął koncert w sali katowickiej NOSPR pn. „The Movie Music of Spike Lee & Terence Blanchard” z udziałem kwintetu Terence’a Blancharda, NOSPR pod dyr. Aleksandra Humali oraz solistek – Dee Dee Bridgewater, Chiny Moses i Becki Stevens. T. Blanchard i D. Holland otrzymali statuetkę autorstwa Lidii Sztwiertni – Anioł Jazzowy 2016.

Tylko esperanto

BIELSKO-BIAŁA. 1 marca w siedzibie bielskiego oddziału Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce właściciel Radia Bielsko Jerzy Handzlik przedstawił spektakl pt. „Ludwik (Eliezer) Zamenhof – twórca esperanta i gramatyki jidysz”. Jerzy Handzlik nauczył się języka esperanto w szkole średniej i już w tym języku zdał maturę. Ma on własną scenę teatralną i występuje ze swoimi spektaklami i recitalami w siedzibach esperantystów na całym świecie – od Meksyku i Bra-



Wystawa Antoniego Kreisa w Centrum Kultury Śląskiej w Świętochłowicach



Górnośląskie kroszonki 2016

Fot. ze zbiorów Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu

zylii po Islandię, Hiszpanię, Serbię, Syberię i Wietnam. Twórca Radia Bielsko twierdzi, że – dzięki esperantomom ze Szwecji i Włoch – o prywatnych rozgłoszeniach regionalnych i lokalnych wiedział już więcej niż ktokolwiek w Polsce, zanim założył swoje regionalne radio.

Przyroda w BWA

BIELSKO-BIAŁA. Od 11 marca do 5 kwietnia w Galerii Bielskiej BWA gościła wystawa prac corocznego konkursu fotograficznego „Wildlife Photographer of the Year 2015”, organizowanego onegdaj przez BBC Worldwide, a obecnie już tylko Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Na najnowszą, 51. edycję zgłoszono ponad 42 tys. zdjęć wykonanych przez ponad 4 tys. fotografów z 96 krajów. Jak powiada dyr. galerii Agata Smalcerz, wystawa ma ogromny walor edukacyjny, ukazując dramatyzm i różnorodność życia na Ziemi, a przez to pobudzając w nas chęć dbałości o jej przyszłą jakość. Na wystawę składało się sto fotografii 76 fotografów z 23 krajów nagrodzonych i wyróżnionych w 16 kategoriach oraz cztery nagrody specjalne. Wystawę, która swoją prapremierę ma zawsze jesienią w Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, oglądają następnie miliony widzów na całym świecie. W Polsce wystawa prezentowana jest już po raz 14., a w Galerii Bielskiej BWA po raz trzynasty z rzędu. Organizatorem ekspozycji w Polsce jest Agencja Zegart.

Familiada Bobów

BIELSKO-BIAŁA. 3 marca w Galerii PPP bielskiego okręgu Związku Artystów Plastyków odbył się wernisaż pn. „Pięć pokoleń”. Na wystawie zaprezentowało się kilkunastu artystów bielsko-krakowskiej rodziny Bobów. Prace przedstawiła m.in. Bożena Boba-Dyga – znana z konserwacji bielskich obiektów publicznych (ratusza, katedry czy Teatru Polskiego) – krakowska śpiewaczka, kompozytorka, malarka i poetka (członkini SPP). Najbardziej znanym twórcą bielskiego odłamu rodziny jest natomiast Bogusław M. Boba (Colin), który obchodzi właśnie 45-lecie pracy twórczej. Zobaczylimy także prace – zamieszkałych we Włoszech – jego córki Noemi oraz wnuka Michała Boby. Podczas wernisażu Bożena Boba-Dyga wystąpiła z mini recitalem w duecie z akordeonistą Maciejem Zimką.

Makbet w Teatrze Polskim

BIELSKO-BIAŁA. 18 marca na deskach bielskiej sceny dramatycznej odbyła się premiera spektaklu Williama Szekspira „Makbet”. Tekst przetłumaczył Stanisław Barańczak, a wyreżyserował Grzegorz Suski we współpracy z dyrektorem Witoldem Mazurkiewiczem. Choreografią zajęł się również Grzegorz Suski, a kostiumy zaprojektowała Anna Czyż. W rolę *Makbeta* wcielił się Michał Czaderna, a *Lady Makbet* – Marta Gzowska-Sawicka.

Pożegnanie kolekcji...

CZĘSTOCHOWA. I stało się. Obrazy Zdzisława Beksińskiego z kolekcji Anny i Piotra Dmochowskich, które od 10 lat mogliśmy oglądać w zaadaptowanej w tym celu przestrzeni Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, zostały przewiezione do Nowohuckiego Centrum Kultury w Krakowie. Na pożegnanie MGS zorganizował *De-*

cennium. Stałą wystawę obrazów artysty z lat 1983–1995 w Muzeum Zdzisława Beksińskiego uzupełniała ekspozycja w Sali Poplenerowej (rysunki z lat 1956–2000) oraz kreatywne fotografie w Antresoli. Wcześniej rysunki objeżdżały inne miasta, m.in. Warszawę, Zakopane czy Lublin. Prezentację twórczości Zdzisława Beksińskiego uzupełniały imprezy – spotkanie z redaktorem Piotrem Metzem o Tomaszu Beksińskim, będące również promocją wydawnictwa *Tomasz Beksiński – In Memoriam*, czy rozmowa *Beksińscy inaczej* z Magdaleną Grzebałkowską, autorką biografii *Portret podwójny*, wydanej w 2014 roku. Obecnie Częstochowa czeka na 25 nowych obrazów artysty, 20 rysunków i 100 zdjęć, dotąd niepokazywanych w Polsce, a także obrazy trzech naśladowców mistrza. Według zapowiedzi Piotra Dmochowskiego, możemy spodziewać się ich w maju.

Jedyna taka dziewczyna

CZĘSTOCHOWA. Od dwudziestu lat Iwona Chołuj występuje na scenie częstochowskiego teatru. Z tej okazji 18 marca odbył się koncert *Nie tylko dziewczyna*. Jak przystało na absolwentkę Państwowego Studium Wokalno-Aktorskiego im. Danuty Baduszkowej w Gdyni, aktorka świętowała jubileusz śpiewając. Na program złożyły się fragmenty spektakli: *Hemar w chmurach*, *Ballady morderców*, *Kochankowie dnia – historia jednej fotografii*. Iwona Chołuj wykonała piosenki m.in. Mariana Hemara, Nicka Cave’a i Edith Piaff. W koncercie wzięli udział: Marta Honzatkó, Małgorzata Marciniak (zespół teatralny akurat był na objeździe z *Hamletem*), Arkadiusz Głogowski (z którym przed laty Chołuj przygotowała *Ballady morderców* na Scenie Inicjatyw, powołanej przez Marka Perepeczkę), tancerze z Częstochowskiego Teatru Tańca Włodzimierza Kucy, Wojtek Kowalski, założyciel Teatru from Poland, pełniący tego wieczoru rolę konferansjera, oraz częstochowscy muzycy: Olek Klepacz, zespół AmperA, a także: Michał Rorat, Michał Walczak, Andrzej Wardęga, Janusz Frączak, Andrzej Młodkowski, Mieczysław Hłond, Eugeniusz Marszałek. Śpiewali niemal wszyscy goście, nawet Wojtek Kowalski wykonał pieśń bez słów (do muzyki zespołu Habakuk). Były kwiaty i życzenia – od Prezydenta Miasta, dyrektora Roberta Dorosławskiego, Henryka Talara, który przyjmował jubilatkę, poznaną na planie *Bożej podszewki*. Współpracę z częstochowskim teatrem Iwona Chołuj rozpoczęła 16 lutego 1996 roku zastępstwem za Agatę Ochotę-Hutykę w *Ustach przewrotnych*. Potem był *Pamiętnik narkomanki* (1996) i *Antygona* według Helmuta Kajzara (reż. Tadeusz Kijański, tu śpiewała piosenki O.N.A.). Przez dwadzieścia lat aktorka wystąpiła w 51 spektaklach. W tym czasie współpracowała z Adamem Hanuszkiewiczem (*Wesele*, 1999; *Romanse i ballady*, 2001), Krystyną Jandą (*Na szkle malowane*, 2000) czy Ignacym Gogolewskim (*Moralność pani Dulskiej*, 1997) i wielokrotnie Gabrielem Gietzkym. Była nominowana do Złotej Maski za *Pamiętnik narkomanki* (1996, reż. Joanna Orzeszkowa) oraz *Katję w Walentynkach* (2006, reż. Szczeban Szczykno).

Gwiazdy w Filharmonii

CZĘSTOCHOWA. Ostatni miesiąc w filharmonii był szczególnie udany, a repertuar różnorodny. Przede wszystkim odbyła się kolejna odsłona Multimedia Symfonia Gwiazd, w której wystąpił Jan Mrąček (zdobywca I nagrody na Międzynarodowym Konkursie Wioliniścieżnym im. Fritza Kreislera w Wiedniu). Zagrał koncert skrzypcowy *D-dur op. 61* Ludwika van Beethovena.



Renata Piątkowska tuż po wypiciu kielicha z wyciśniętym przez dzieci sokiem z cytryny



„Wildlife Photographer of the Year 2015”
– fragment wystawy

Na początku marca do Częstochowy przyjechał natomiast Charles Richard Hamelin z Kanady, zdobywca II miejsca na XVII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina. Zagrał jeden z rzadziej wykonywanych utworów – Koncert fortepianowy *f-moll op. 21* Fryderyka Chopina. Orkiestra Symfoniczna pod dyrekcją Adama Klocka wykonała *Koncert na orkiestrę smyczkową* Grażyny Bacewicz oraz II symfonię *D-dur op. 73* Johannesa Brahmsa. Oprócz nich wystąpili również Michał Bajor, Artur Andrus oraz balet i soliści Opery Lwowskiej.

Wyklęci niezapomniani

CZĘSTOCHOWA. Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” uczczono w Częstochowie rozstrzygnięciem konkursów dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Na wojewódzki konkurs „Żołnierze wyklęci” zorganizowany przez posłankę do Parlamentu Europejskiego Jadwigę Wiśniewską wpłynęło 205 prac (w tym 110 ze szkół ponadgimnazjalnych). Wśród licealistów zwyciężył Adam Chałuda z Zespołu Szkół Technicznych, a wśród gimnazjalistów Michał Borkowski z Publicznego Gimnazjum Stowarzyszenia Przyjaciół Szkół Katolickich im. św. Józefa w Częstochowie. Podczas wręczania nagród zaprezentowano film uczniów VII LO im. M. Kopernika *Kapitan*, o Stanisławie Sojczyńskim „Warszycu”, straconym 19 lutego 1947 roku w Łodzi. Natomiast na II Multimedialny Konkurs Żołnierze Wyklęci – Żołnierze Niezłomni pod patronatem Prezydenta Miasta Częstochowy Krzysztofa Matyjaszczyka nadesłano 66 prac, głównie z częstochowskich szkół. W kategorii szkół ponadgimnazjalnych zwyciężył Piotr Podlewski z II LO im. R. Traugutta, a w kategorii szkół gimnazjalnych Adrian Król z Zespołu Gimnazjów im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Czar Kaliny

CZĘSTOCHOWA. OPK Gaude Mater upamiętniło 25 rocznicę śmierci i 85 rocznicę urodzin częstochowianki Kaliny Jędrusik wystawą przygotowaną przez 15 artystów *Bo we mnie jest seks*: Jolanę Jastrzęb, Piotra Kanieckiego, Magdalenę Limbach, Jacka Lydzbę, Małgorzatę Mizere, Tomasza Musiała, Jacka Pałuchę, Marianę Pankę, Justynę Rybak, Tadeusza Rzeźnika, Małgorzatę Sętowską, Dariusza Słotę, Małgorzatę Stępiak, Krystynę Szwajkowską, Arkadiusza Zajęca. Kuratorem wystawy był Robert Sękiewicz. Znalazły się na niej prace inspirowane postacią i legendą częstochowianki. Uwagę zwracały ciekawe, często metaforycznie tytuły prac definiujące miejsce Kaliny Jędrusik w socjalistycznej kulturze – *Gra z ciagnikiem* (M. Mizery), *Kuszenie św. Antoniego* (T. Musiał) czy *Trele na ukulele* (J. Pałucha). Były też portrety aktorki wykonane przez Małgorzatę Sętowską, Krystynę Szwajkowską, Jolanę Jastrzęb. Prace można było oglądać do 7 marca, co przygotowywało mieszkańców do świętowania Dnia Kobiet.

Nie traćmy pamięci

ŁAMBINOWICE. W Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach 70 recytatorów niemal z całej Opolszczyzny przystąpiło do finału XXIV edycji Konkursu Poezji Jenieckiej „Nie traćmy pamięci”. Ideą tego konkursu jest kształtowanie postaw patriotycznych i rozwijanie wiedzy historycznej wśród uczniów opolskich

szkół (podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych) w oparciu o poezję jeniecką i Miejsce Pamięci Narodowej w Łambinowicach. Barbara Grzegorzczak przewodnicząca jury podczas uroczystości ogłoszenia werdyktu i wręczenia nagród podkreśliła bardzo wysoki poziom prezentacji konkursowych uczestników. W kategorii szkół podstawowych pierwsze miejsce zdobyła Matylda Gawel ze Szkoły Podstawowej TAK w Opolu, kolejne zaś Kamil Kilian ze SP w Graczech i Dagmara Soja ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Niemodlinie. Wśród gimnazjalistów najlepsze były uczennice z Brzegu: zwyciężyła Aleksandra Skowronek z Publicznego Gimnazjum nr 4, druga była Karolina Trubiewska z Zespołu Szkół nr 2, a trzecia Natalia Urbanowicz, reprezentująca Bibliotekę przy PG nr 4. W kategorii szkół ponadgimnazjalnych pierwsze miejsce zajęła Anđzelika Gulczewska, uczennica Zespołu Szkół Ekonomicznych w Opolu, druga była Magdalena Kania z ZSO w Opolu, a trzecie miejsce zajął Adrian Szczepny z Zespołu Szkół w Kędzierzynie-Koźlu. W gronie jurorów zasiadali m.in.: Edmund Borzemski – poeta, Iwona Ratajczak – polonista, Beata Wnęk-Malec – aktorka, Barbara Grzegorzczak – polonistka, Cecylia Jacewska-Caban – aktorka, Elżbieta Lisak-Duda – poetka, Leszek Malec – aktor, prof. Barbara Olszewska – filolog UO. Patronat honorowy nad konkursem objęli: marszałek województwa opolskiego – Andrzej Buła, starosta opolski – Henryk Lakwa i opolski kurator oświaty – Michał Sieka. Patronat medialny nad wydarzeniem sprawowało Radio Opole, TVP Opole i „Nowa Trybuna Opolska”.

Zabytki przemawiają do nas z Kresów

NYSA. Muzeum Powiatowe w Nysie w Pałacu Biskupim udostępniło publiczności wystawę *Zabytki, które przemawiają do nas z Kresów Wschodnich*, na której zaprezentowano m.in. prace autorstwa Napoleona Ordy, XIX-wiecznego rysownika i malarza, który pozostawił potomnym w swoim dorobku artystycznym około 1000 prac dokumentujących wygląd współczesnych autorowi: rezydencji, pałaców i dworów kresowych. Muzeum posiada 80 litografii artysty z dwóch pierwszych serii *Albumu widoków historycznych Polski* Napoleona Ordy, wydanego w latach 1873–1883 w Zakładzie Litograficznym Maksymiliana Fajansa w Warszawie. Wspomniane prace nie są jedynymi eksponatami prezentowanymi na kresowej wystawie, zostały one bowiem uzupełnione o wystawę fotografii stanowiących owoc współpracy Muzeum Powiatowego w Nysie ze Stowarzyszeniem Odbudowy Kościoła w Łopatynie (Ukraina). Do Łopatyna podróżowała kierownik muzealnej pracowni konserwacji Jolanta Dudała, która sporządziła dokumentację fotograficzną zabytkowego kościoła pw. Niepokalanego Poczęcia NMP z czasów jego odbudowy i renowacji. Z tego kościoła pochodzi słynny obraz Matki Boskiej Łopatynskiej, znajdujący się obecnie w kościele parafialnym w Wójcicach k. Nysy, gdzie co roku odbywają się Wojewódzkie Dni Madonn Kresowych. Prezentację wystawy zakończy uroczysty finał zaplanowany w maju podczas muzealnej nocy skarbow.

Opolskie Konfrontacje Teatralne

OPOLE. W Teatrze im. Jana Kochanowskiego zakończyły się 41. Opolskie Konfrontacje Teatralne „Klasyka Polska”, podczas których zaprezentowano sześć przedstawień konkursowych, trzy spektakle towarzyszące i wiele imprez towarzyszących, spotkań teatralnych i koncertów. Spektakle oceniało w tym roku jury społeczne, złożone z osób zainteresowanych teatrem, ale wywodzących się spo-



Obrazy Zdzisława Beksińskiego
z kolekcji Anny i Piotra Dmochowskich

za środowiska teatralnego, które postanowiło przede wszystkim nagrodzić dokonania indywidualne. Werdykt przedstawił w imieniu jury Wojciech Bimek. Pierwsza nagroda (3000 zł) za najciekawszą, złożoną kreację aktorską trafiła do Grzegorza Artmana, aktora Teatru Polskiego w Bydgoszczy, który wyróżnił się w spektaklu „Samuel Zborowski”. Drugą nagrodę (2000 zł) za najlepszą, inspirującą i wymakowaną scenografię w spektaklu „Faraon” Teatru Wybrzeże z Gdańska przyznano Maciejowi Chojnackiemu. Jurorzy postanowili również wyróżnić Tarnowski Chór GOS. PL za oprawę przedstawienia „Grażyna” Adama Mickiewicza z Teatru im. Ludwika Solskiego w Tarnowie. Jednocześnie z jury społecznym obradowało jury dziennikarskie, które również zdecydowało się przyznać nagrody indywidualne, werdykt ogłosiła dziennikarka Radia Opole Justyna Przyborowicz, nagrody otrzymali: Karolina Bacía za rolę *Diany* w spektaklu „Fantazy” w reżyserii Michała Zadary, Grzegorz Artman za rolę *Lucyfera* w spektaklu „Samuel Zborowski” w reżyserii Pawła Wodzińskiego oraz Robert Urbański za adaptację „Cara Samozwańca” w reżyserii Jacka Głomba. W programie Konfrontacji zaprezentowano przedstawienia nagrodzone w ministerialnym konkursie „Klasyka Żywa” ogłoszonym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Pod patronatem „Śląska”

XVII Festiwal AVE MARIA

CZELADŹ. 19–22 maja w Czeladzi odbywać się będzie 17. edycja festiwalu Ave Maria. Tradycyjny, najbardziej popularny wśród melomanów Turniej Tenorów, który zabrzmi drugiego dnia w kościele św. Stanisława B. M., poprzedzi koncert Anny Kutkowskiej-Kass (sopran koloraturowy) w Muzeum Saturn. Wieczór z tenorami dedykowany będzie pamięci Bogusława Kaczyńskiego, który kilkakrotnie był gościem festiwalu. Tego dnia będzie można usłyszeć arie operowe i pieśni w wykonaniu Macieja Komandery, Adama Zdunikowskiego, Aleksandra Kruczka i Pawła Skaluby. Towarzyszyć im będzie Filharmonia Zabrzeńska pod batutą Sławomira Chrzanowskiego – dyrektora artystycznego festiwalu. Trzeci dzień będzie miał charakter plenerowy. Na rynku Starego Miasta odbędzie się koncert z okazji Dnia Matki, a jego wykonawcą będzie zespół wokalny z Liceum Ogólnokształcącego im. St. Wyspiańskiego w Będzinie, gwiazdą wieczoru będzie Grzegorz Turnau. Festiwal zakończy się w Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia”, koncertem zatytułowanym „Cztery Damy”, w którym wystąpią: Ewelina Szybilska, Ewa Visin, Magdalena Idzik, a przy fortepianie zasiądzie znakomita pianistka Mirella Malony. Zarówno podczas Turnieju Tenorów jak i podczas koncertu w „Elektrowni” słowo o muzyce wygłosi ks. Paweł Sobierajski. Ponieważ jednym ze współorganizatorów festiwalu, obok parafii św. Stanisława B.M. od jego zarania jest Śląska Izba Lekarska, w kościele św. Stanisława B.M. w niedzielę 22 maja, po mszy św. o godz. 10.00 odbędzie się koncert w wykonaniu chórów lekarskich. Niespodzianką dla melomanów będzie też wspomniany koncert Anny Kutkowskiej-Kass, śpiewającej „pani doktor”. Organizatorem festiwalu jest Miasto Czeladź.

Złote Maski rozdane

Tradycyjnie z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru aktorzy z województw śląskiego i opolskiego zostali uhonorowani Złotymi Ma-



„Dziady” w reż. P. Passiniego – „Przedstawienie roku”
w województwie opolskim

skami. Uroczystość odbyła się 4 kwietnia w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki. „Nagrody teatralne Złote Maski to, obok nagród im. Karola Miarki jedna z inicjatyw od lat łączących województwa śląskie i opolskie. Nic nie łączy bardziej niż sztuka i teatr jest tu elementem odgrywającym znaczącą rolę. Z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru wszystkim artystom życzyć wielu sukcesów, by mieli satysfakcję ze swojej pracy oraz gratuluję tym, którzy Złotą Maskę otrzymają” – powiedział członek Zarządu województwa śląskiego Henryk Mercik.

Laureaci 48. edycji:

■ WOJEWÓDZTWO OPOLSKIE

Tytuł „Przedstawienie roku” uzyskały „Dziady”, spektakl wyreżyserowany przez Pawła Passiniego w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki.

W kategorii: rola kobieca Złotą Maskę otrzymała **Judyta Paradzińska** za rolę Alicji w spektaklu „Alicja po drugiej stronie lustra” w reżyserii Aleksandry Koniecznej w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu.

Kolejnych **6 Złotych Masek** trafiło do twórców spektaklu „Dziady”, otrzymali je:

Paweł Passini za reżyserię,

Zuzanna Srebrna za scenografię,

Sambor Dudziński i Paweł Passini za muzykę,

Aleksandra Mikołajczyk (kategoria: rola kobieca) za rolę Guślarza,

Bogusław Kiere (kategoria: rola męska) za rolę Poety.

■ WOJEWÓDZTWO ŚLĄSKIE

Tytuł „Przedstawienie roku” otrzymał spektakl „Sześć wcieleń **Jana Piszczyka**” Jerzego Stefana Stawińskiego w reżyserii Wojciecha Kościelniaka w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej.

Najlepszym spektaklem dla młodych widzów uznano „**Narysuj mi baranka**” wg „Małego księcia” Antoine de Saint-Exupéry’ego w reżyserii Pietro Fenatiego w Śląskim Teatrze Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach.

Elżbieta Okupska (kategoria: rola wokalna-aktorska) za rolę w spektaklu „Byłam wróbelkiem – sekrety Edith Piaf” w reżyserii Waldemara Patlewicza w Bytomskim Teatrze Tańca i Ruchu Rozbark w Bytomiu oraz za rolę Pani Wilkinson w spektaklu „Billy Elliot” Lee Halla i Eltona Johna w reżyserii Michała Znanieckiego w Teatrze Rozrywki w Chorzowie.

Violetta Smolińska (kategoria: rola kobieca) za rolę w spektaklu „Chłopiec z łabędziem” Ingmara Villqista w reżyserii autora w Teatrze Śląskim im. S. Wyspiańskiego w Katowicach.

Kazimierz Czaplą (kategoria: rola męska) za rolę Wokulskiego w spektaklu „Lalka” wg powieści Bolesława Prusa w reżyserii Anety Groszyńskiej w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej.

Jacek Mikołajczyk (kategoria: reżyseria) za reżyserię spektaklu „Rodzina Addamsów” Marshalla Brickmana, Ricka Elice i Andrew Lippy w Gliwickim Teatrze Muzycznym w Gliwicach.

Damian Styra (kategoria: scenografia) za scenografię do spektaklu „Sześć wcieleń Jana Piszczyka” Jerzego Stefana Stawińskiego w reżyserii Wojciecha Kościelniaka w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej. Nagrody specjalne otrzymali: **Włodzimierz Kuca** za reżyserię, choreografię i scenografię spektaklu teatralno-tanecznego pt. „Orfeusz” Częstochowskiego Teatru Tańca w Częstochowie oraz za autorską koncepcję tego teatru oraz **Anna Piotrowska** za reżyserię i choreografię do spektakli Bytomskiego Teatru Tańca i Ruchu Rozbark w Bytomiu.

Laureatami Nagrody im. Leny Starke zostali:

Grzegorz Cinkowski – Teatr Nowy w Zabrze – za rolę Adasia Miauczynskiego w spektaklu „Kocham” Marka Koterskiego w reż. Krzysztofa Prusa.

Marcin Szaforz – Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach – za rolę Koczkariowa w spektaklu „Ożenek” Nikolaja Gogola w reż. Nikolaja Kolady i Akwizytora II w spektaklu „Sztuka mięsa” Weroniki Murek w reż. Roberta Talarczyka.

Piotr Szolka – Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. St. Hadyny w Koszęcinie za całokształt pracy artystycznej.

Nagrodę Dziennika Teatralnego im. Zbigniewa Grucy dla najlepszego aktora teatralnego w województwie śląskim otrzymał **Bartłomiej Błaszczyński** z Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego w Katowicach.

W SKRÓCIE...

■ W Galerii Szyb Wilson w Katowicach prezentowana była wystawa malarstwa pedagogów i doktorantów Instytutu Sztuki Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego „Obraz-sztuka ognia i koloru”. W gronie pedagogów znaleźli się: Ireneusz Botor, Krzysztof Dadak, Maria Kisiel-Jarek, Lech Kołodziejczyk, Elżbieta Kuraj, Roman Maciszewicz, Adam Molenda i Tadeusz Rus, natomiast doktorantów reprezentowali: Aleksandra Firlńska-Pilorz, Artur Janasił, Marta Javorska, Joanna Knappek, Jolanta Knappek, Gabriela Pienias, Maria Posłuszna, Magdalena Szadkowska i Krzysztof Wilde.

■ Wystawę grafiki „Alchemia pamięci” autorstwa Jakuba Zdejszego – absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach pokazano w Galerii ArtNova ZPAP w Katowicach.

■ Film w reżyserii Dariusza Zalegi pt. „Zbuntowany Śląsk. Gawęda z dziejów walk społecznych na Górnym Śląsku” miał swoją premierę podczas pokazu w Muzeum Śląskim.

■ Również w Muzeum Śląskim odbył się premierowy pokaz filmu „Tragedia Górnosłaska 1945”, którego autorami są Aleksandra Fudala i Adam Turula (scenariusz i reżyseria). Film poświęcony jest wydarzeniom na Górnym Śląsku, które rozegrały się w marcu 1945 roku, tuż po wkroczeniu Armii Czerwonej.

■ W Muzeum w Chorzowie wykład nt. „Dziewięć słów o kulturze. Krajobraz z krzyżem” wygłosił dr Jacek Kurek.

■ Wystawę rysunku i malarstwa Janusza Karbowniczka pt. „Rozmowa” można oglądać w Galerii Sztuki Współczesnej w Katowicach. Jest ona ukoronowaniem 40-lecia pracy twórczej tego artysty, a zarazem ostatnią w cyklu prezentacji tej wystawy w różnorodnych galeriach.

■ Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich zapraszało do zwiedzenia wystawy fotografii Kariny Ciepeli (1975-2014) pt. „Amellia”.

■ W ramach obchodów 85. urodzin Janoscha, w Zabytkowej Kopalni Guido w Zabrzu odbyło się spotkanie z laureatami „Cegły z Gazety – nagrody im. Janoscha”.

■ W Galerii „Na Żywo” Polskiego Radia Katowice wystawę papierów ręcznie czerpanych prezentowała Ewa Rosiek-Buszek.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym pokazano wystawę rzeźby Andrzeja Borgiely zatytułowaną „Miłosierdzie”.

■ Wystawę „Inny teatr. Tadeusz Kantor” pokazało Muzeum Historii Katowic. Była to kontynuacja cyklu wystaw „Inny teatr”, którego przesłaniem jest prezentacja twórców form teatrowych innych niż konwencjonalne. Do tego grona należy Tadeusz Kantor – artysta totalny, Demiurg, Wielki Awangardzista. Wystawie towarzyszyły inne wydarzenia: wykład o Marianie Kantorze-Mirskim – ojcu Tadeusza Kantora, oprowadzanie kuratorskie, pokaz zapisu prób do spektaklu „Niech szczeną artyści”, wykład z ostatnich prób spektaklu „Dziś są moje urodziny” Teatru Cricot 2.

■ Fotografie dzikiej przyrody pokazało Muzeum Górnosłaskie w Bytomiu.

■ W Instytucie Mikołowskim odbywała się wystawa fotografii Adama Sikory pt. „I’m happy”. Autor jest operatorem filmowym, scenarzystą, reżyserem filmowym, malarzem i fotografikiem.

■ Spotkanie promujące album „Moje Katowice II” autorstwa Lecha Szarańca odbyło się na Scenie w Malarni Teatru Śląskiego, a zaprasza na nie: dyrektor Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego Robert Talarczyk, prezes zarządu Polska Press Śląsk Zenon Nowak i prezes zarządu Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” Tadeusz Sierny.

■ Rysunki satyryczne Małgorzaty Lazarek można było zobaczyć w galerii Biblioteki Śląskiej.

■ Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski oraz EPSON zaprasza na otwarcie zbiorowej wystawy fotografii *Epson Digigraphie*, której autorami byli: Jacek Bonecki, Marek Czarniecki, Andrzej Dragan, Krzysztof Gierałowski, Marcin Ryczek, Tomasz Tomaszewski, Waclaw Wantuch i Janusz Wojcieszak.

■ Muzeum Historii Katowic zapraszało na wykład prof. Ewy Chojackiej pt. „Dzisiejsza kultura postindustrialna – i co dalej?” w ramach cyklu „Pamięć kulturowa Katowic”.

■ W Muzeum Górnosłaskim odbyła się promocja książki prof. Jana Drabiny Bytom i okolice. Zapiski z lat 1848–1863.

■ W Muzeum w Gliwicach odbyło się spotkanie z Piotrem Bonionem, autorem książki *Dawne Gliwice. Studia z dziejów miasta i jego mieszkańców do końca XIX wieku*.

■ Na pierwszy wykład z cyklu *Wokół Chorzowa: „Róg Rolanda ery maszynowej”* – chorzowski dziennik „Der oberschlesische Kurier”, który wygłosił Sebastian Rosenbaum (IPN Oddział w Katowicach) zapraszało Muzeum w Chorzowie.

■ Galeria Engram Katowice Miasto Ogrodów – Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek zapraszała na otwarcie wystawy Antoniego Kreisa „Białe-czarne-białe”.

■ Z okazji Dnia Teatru Brązowy Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” otrzymał Aleksander Pestyk. Uehonorowano też inne osoby z bielskiej sceny dramatycznej – Sabinę Muras *Złotym*, Kazimierza Talara *Srebrnym*, Beatę Król *Brązowym Krzyżem Zasługi*, a Ireneusza Jeziaka Medalem za Długoletnią Służbę. Odznaki „Zasłużony dla Kultury Polskiej” otrzymali: Jerzy Dziedzic, Bożena Germańska, Barbara Guzińska, Maria Suprun, Jagoda Krzywicka, Roman Byrdy, Piotr Uniwersał i Jerzy Golenia. Laur Dembowskiego zdobył Rafał Sawicki.

■ W tym roku mija ćwierć wieku od chwili, gdy działalność artystyczną rozpoczął Dziecięcy Teatr Ptak Krystyny Popławskiej. Z tej okazji bielska aktorka zaprezentowała na deskach Domu Kultury w Olszówce swój nowy spektakl pt. „Jaś i Małgosia”.

■ W marcu w klubokawiarni BWA Aquarium prace wystawiał 80-letni bielski artysta i prozaik Julian Jacek Leszczyński oraz młoda chybiana Krystyna Nikiel. W Galerii Bielskiej BWA swój projekt pn. „Płynna tożsamość. Przeszłość i przyszłość w rysunkach dzieci reprezentujących zanikające kultury” przedstawiał Sławomir Brzoska.

■ 13 marca w Krakowskim Salonie Poezji w Galerii Bielskiej BWA prezentowano tom wierszy pt. „Madame Siszi” Patrycji Cichy-Szept. Aktorka recytowała teksty wraz z Konradem Ignatowskim z TL Baniałuka.

■ „Cynamonowe dziewczyny” to najnowsza powieść kryminalno-obyczajowa bielszczanki Hanny Greń, która urodziła się w Wiśle. Akcja powieści rozgrywa się w Bielsku-Białej, Cieszynie, Katowicach i Wiśle.

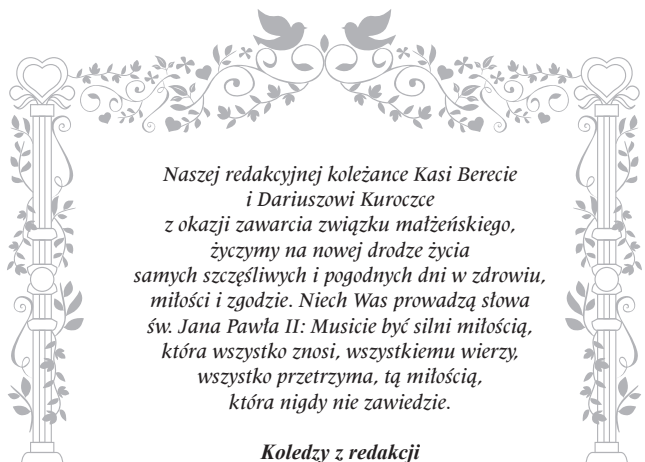
■ 1 kwietnia Jacek Łaszczok znany pod pseudonimem Stachurski został nagrodzony tytułem honorowym „Czechosława 2016”. Tytuł przyznała kapituła z rodzinnego miasta piosenkarza pod przewodnictwem burmistrza Czechowic-Dziedzic Mariana Błachuta.

■ „Album – cieszyńskie” to tytuł kwietniowej wystawy różnorodnych albumów fotograficznych i ich opraw od połowy XIX w. aż po czasy współczesne, które prezentuje Muzeum Śląska Cieszyńskiego. W zbiorach działu fotografii cieszyńskiej placówki muzealnej znajduje się ponad 100 albumów na fotografię oprawionych w wyszukane okładki ze skóry, płótna czy akramitu.

■ Od 4 marca do 10 kwietnia trwała w GOK w Istebnej wystawa malarstwa Pawła Wałacha – ostatniego zaolziańskiego malarza, który podejmuje problematykę folkloru. Jest on m.in. laureatem nagrody „Tacy Jesteśmy” Kongresu Polaków w Republice Czeskiej. Wystawie towarzyszyła ekspozycja „największej koronki koniakowskiej świata”.

■ Częstochofskie wystawy: Wystawa Interdyscyplinarna Związku Polskich Artystów Plastyków Oddziału Częstochofskiego; Wejściówka – komiksowe kadry Marcina Kozierkiewicza; Odwach – fotografie Krzysztofa i Filipa Świerzków *Oczywistość*;

■ W częstochofskim OKF Iluzja odbył się pokaz filmu Phila Grabsky’ego *In Search of Chopin (W poszukiwaniu Chopina)*.



Naszej redakcyjnej koleżance Kasi Berecie i Dariuszowi Kuroczce z okazji zawarcia związku małżeńskiego, życzymy na nowej drodze życia samych szczęśliwych i pogodnych dni w zdrowiu, miłości i zgodzie. Niech Was prowadzą słowa św. Jana Pawła II: *Musicie być silni miłością, która wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystko przetrzyma, tą miłością, która nigdy nie zawiedzie.*

Koleżdy z redakcji

KONTROLA w trzech spółkach węglowych, jaka rozpoczęła się w lutym, zakończyła się w połowie marca. W JSW, KHW oraz KW wykonywano audyt, który zlecił minister ds. energii Krzysztof Tchórzewski. Kontrola miała na celu przedstawienie aktualnej kondycji poszczególnych kopalń oraz zakładów a także samych spółek. Jak się można domyśleć, ich sytuacja do pomyślnych nie należy.

DWIE ważne katowickie imprezy kulturalne OFF Festival i Tauron Nowa Muzyka będą musiały w tym roku poradzić sobie bez dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Mimo niepomyślnych decyzji organizatorzy obu imprez uspokajają – oba festiwale się odbędą.

W ubiegłym roku festiwal Tauron Nowa Muzyka otrzymał 232 tysiące złotych ministerialnej dotacji, natomiast OFF Festival otrzymał z tego samego źródła 400 tys. zł.

WYŚCIG o miejsce w przedszkolach zdominował w marcu życie tysięcy śląskich (i nie tylko) rodzin. Niemal w całym województwie rozpoczęła się wtedy rekrutacja do przedszkoli miejskich. W tym roku sytuacja jest wyjątkowo stresująca. Cofnięcie reformy obniżającej wiek szkolny spowodowało, że nie dla wszystkich 3-latków wystarczy miejsc. Spory problem mieli też rodzice, którzy do tej pory zapisywali dzieci do przedszkoli w innych miastach. Dlaczego? Bo samorządy w pierwszej kolejności musiały zapewnić miejsca swoim małym obywatelom.

MIMO negatywnej odpowiedzi MSW, władze Częstochowy nie ustają w walce o utworzenie województwa częstochowskiego. I dlatego prezydent Częstochowy Andrzej Matyjaszczyk wystosował w tej sprawie list otwarty do prezydenta RP Andrzeja Dudy. Powołał się w nim na obietnicę poparcia dla utworzenia województwa częstochowskiego złożoną częstochowiakom 19 lutego ubiegłego roku w czasie kampanii wyborczej. „Dlatego w imieniu mieszkańców proszę o realizację >umowy<, którą zawarł Pan z nimi, gwarantując, że głosy oddane w kampanii przełożą się na odbudowanie pozycji Częstochowy jako lidera regionalnego” – zaapelował prezydent Matyjaszczyk do prezydenta Dudy.

ZABRZAŃCY naukowcy postawili kolejny milowy krok w kardiologii dziecięcej. Ich protezy serca Religa Heart PED, przeznaczone dla najmłodszych, pozytywnie przeszły badania na zwierzętach i mogą trafić do testów klinicznych. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to już w 2017 roku pompy otrzymają pierwsi mali pacjenci.

ZDANIEM ministra ds. energii Krzysztofa Tchórzewskiego i jego zastępcy, Grzegorza

Tobiszewskiego, którzy 4 marca spotkali się z zarządem i związkami w Kompani Węglowej, optymalnym terminem, kiedy Polska Grupa Górnicza miałyby powstać jest 1 maja. Późniejsze terminy mogłyby zagrozić dalszej płynności finansowej spółki. Ministerstwo liczy, że wynik finansowy PPG będzie na koniec 2017 roku dodatni.

FINAŁY Intel Extreme Masters odbyły się po raz trzeci w Katowicach. Przez Spodek i MCK przewinęło się znów grubo ponad 100 tys. miłośników gier komputerowych.

BOMBA ekologiczna tyka w Tarnowskich Górach, bo tamtejsze składowisko odpadów niebezpiecznych po byłych Zakładach Chemicznych zagraża podwodnym zbiornikom wody pitnej. Tymczasem z zasobów tych korzystają setki tysiące osób, a firma likwidowana jest od 22 lat. Na wyeliminowanie zagrożenia związanego z odpadami potrzeba ok. 100 mln zł. Brak środków chyba jest głównym powodem tego, że w sprawie nie robi się nic konkretnego, choć słów zapewnających o dobrej woli i rozwiązaniu problemu padło już z ust polityków i samorządowców całkiem sporo.

ZALEW rybnicki słynie nie tylko z krwiożerczych piranii, ale także z ryb gigantów. Karp wyłowiony przez Dawida Muchę ważył 34,5 kilograma.

GLIWICKI 5,6-kilometrowy odcinek Drogowej Trasy Średnicowej otwarto 20 marca dla kierowców. Był to najtrudniejszy technicznie i najbardziej kosztowny odcinek DTS-ki. Przeznaczono na niego w sumie 943 mln zł. Oficjalne przekazania miastu inwestycji przez marszałka województwa Wojciecha Saługę odbyło się w 493-metrowym tunelu prowadzącym przez Gliwice. Jedni są zachwyceni trasą, uporządkowaniem miejskiej przestrzeni, inni są przerażeni podwyższeniem poziomu zanieczyszczeń powietrza. A sąsiedzi DTS-ki chcieliby likwidacji nieprzezroczystych ekranów akustycznych, przez które czują się „uwięzieni, jak w klatce”. Coraz częściej słychać też głosy samorządowców, by przedłużyć DTS-kę do Zagłębia.

KOŚCIÓŁ otwiera się na nowe metody duszpasterskie, co szczególnie widoczne było w czasie tegorocznego Wielkiego Tygodnia (od 21 do 27 marca) i Triduum Paschalnego, kiedy to każdy z wiernych mógł – jeśli chciał – otrzymać darmowego sms-a albo mejla z duchowym przesłaniem św. Faustyny. Wyboru cytatów dokonały siostry ze Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach, do którego należała św. siostra Faustyna. Organizowane były także całodobowe dyżury spowiedników m.in. Noc Konfesjonałów odbyła się w nocy z 23 na 24 marca w kaplicy św. Barbary w Centrum Handlowym Silesia City Center. Ci, którzy chcieli się wyciszyć i zerwać z rutyną mogli wziąć udział w ekstremalnych drogach krzyżowych, których trasy liczyły z reguły po kilkadziesiąt kilometrów.

WIZYTA papieża Franciszka w Polsce z okazji Światowych Dni Młodzieży potrwa od 27 do 31 lipca. W czwartek, 28 lipca, papież odwiedzi Częstochowę. Na Jasnej Górze odbędą się uroczystości z okazji 1050 rocznicy chrztu Polski.

OPINIĘ publiczną niepokoi jednak stan przygotowań do tej wizyty, przede wszystkim stopień zapewniania bezpieczeństwa pielgrzymom przybywającym do Krakowa.

Spodziewanych jest tu ok. 2,5 mln osób, przede wszystkim młodzieży z całego świata. Do Częstochowy ma przybyć pół miliona pielgrzymów. W kontekście niedawnych zamachów w Brukseli i Paryżu pojawiają się żądania większych kwot na zapewnienie bezpieczeństwa. Kraków ma dostać w sumie od rządu 180 mln zł, Częstochowa domaga się 20-milionowej kwoty na wydatki organizacyjne miasta i częstochowskich służb medycznych i ratunkowych. Wiadomo przecież, że potrzebne są dodatkowe patrole straży miejskiej, lepszy monitoring, więcej karettek z obsługą, więcej radiowozów etc.

SYLWETKA albo popiersie, a może bardziej symbolicznie – serce jako dar dla Zabrza i medycyny. To jedna z kilku wersji pomnika prof. Zbigniewa Religii, autorstwa prof. Krzysztofa Nitscha, jakie zaprezentowane zostały mieszkańcom Zabrza. Pomysł postawienia w Zabrzu pomnika wybitnemu kardiologowi pojawił się w 2010 roku, ale żadna z przedstawionych 18 prac nie spotkała się z uznaniem jury. Miasto odstąpiło więc od formuły konkursowej i zleciło przygotowanie projektu pomnika prof. Nitschowi. Monument ma stanąć przy ratuszu.

METROPOLIA spóźniła się o całe lata i spóźni się jeszcze o rok. Powód jest prosty. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji nie zdąży z wydaniem odpowiednich rozporządzeń do ustawy metropolitalnej. Roczne opóźnienie w inauguracji metropolii w naszej aglomeracji oznacza przepadek ponad 200 mln zł, które miano dostać z budżetu centralnego na integrację.

POLSKA Grupa Górnicza, której powstanie zapowiada się na 1 maja, ma uratować polski węgiel. W nową spółkę chcą zainwestować Energa, PGE, PGNiG i Termika. Firmy te miałyby wnieść do spółki kapitał w wysokości 1,5 mld zł. Czwartym udziałowcem byłaby Kompania Węgłowa z udziałem 700 mln zł, które to pieniądze pochodzą z obligacji. Ta nowa struktura ma uratować 11 kopalń i 4 zakłady należące do górniczego giganta. Wszystkie trzy spółki (Energa, PGE, PGNiG), które wejdą do PPG łączy nie tylko branża energetyczna, ale i wspólny, większościowy udziałowiec: Skarb Państwa.

RADNI Sejmiku Śląskiego przyjęli 21 marca wspólne stanowisko popierające utworzenie Śląskiego Instytutu Onkologii w Gliwicach. „Tylko w latach 2012-2015 ponad 70 mln zł wypracowanych w Oddziale w Gliwicach, pochodzących ze Śląskiego Oddziału Narodowego Funduszu Zdrowia, zostało przekazanych do placówek działających na terenie innych oddziałów NFZ” – zauważyli radni Sejmiku.

UCHYLONA została przez radnych Sejmiku Śląskiego ubiegłoroczna uchwała intencyjna w sprawie połączenia Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu z Muzeum Śląskim w Katowicach, która wzbudziła obawy i protesty pracowników bytomskiej placówki.

ZSZOKOWAŁY nas wszystkie informacje o terrorystycznych zamachach na lotnisko i metro w Brukseli. Przyniosły 34 ofiary śmiertelne i ponad dwustu rannych. Stało się to w sercu Unii Europejskiej, Brukseli – mieście symbolu europejskiej jedności, otwartości i demokracji.

Dwie strony ulicy

JAROSŁAW STARZYK

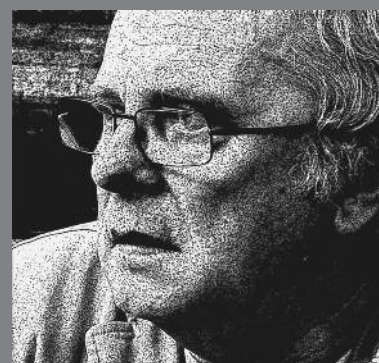
Działo się to w latach pięćdziesiątych. Mama zabierała mnie (chłopczyka w wieku przedszkolnym) na zakupy, z czego byłem dumny. Minister Hilary Minc wtedy jeszcze do końca nie wygrał „bitwy o handel”, która polegała na zlikwidowaniu tzw. „prywatnej inicjatywy” przy pomocy domiarów, to jest arbitralnych podatków, których celem było zniszczenie prywatnych kupców, ale też rzemieślników i innych usługodawców. Dlatego na początku ulicy Kościuszki w Katowicach, po prawej stronie, zaraz za mostem kolejowym, istniały w tym czasie sklepiki – takie parterowe pawiloniki. Z nimi wiąże się moje wspomnienie. Otóż zakupy zaczynaliśmy od tej właśnie prawej strony. I pamiętam zapachy z tamtych lat. W trafice, w której mama nabywała papierosy, pachniało egipskim i tureckim tytoniem, na ladzie stały drewniane skrzyneczki z cygarami, leżały też blaszane pudełka z papierosami a ich wieczka zdobiły piękne obrazki z jakimiś statkami, z wielbłędami itd. Fantastyczny był jeszcze drugi sklepik, ze słodyczami. Do dziś mam w pamięci zapach wafelków z cytrynowym nadzieniem, woń holenderskiego kakao, aromaty wysyłane przez różne pralinki i rozmaite inne łakocie. Rozumiem więc Prousta z tą jego magdalenką, aczkolwiek nie podzielam jego zachwyty, skosztowałem w Paryżu – takie sobie ciastko. Nie wchodziłem tylko do rzeźnika, bo nie znosiłem widoku surowego mięsa, pozostawałem na zewnątrz (bez opieki – na co wówczas nikt nie zwracał uwagi). Zdarzały się jednak dni, że wędrowaliśmy na zakupy lewą stroną ulicy, wtedy wiedziałem (skąd? jak?), że do pierwszego zostało mamie niewiele pieniędzy, więc będziemy kupować jedynie rzeczy niezbędne unikając zaprzyjaźnionych sprzedawczyń.

Po kilkudziesięciu latach olśniło mnie. Historia kołem się toczy. Chodzę teraz reprezentacyjną ulicą Katowic, z tym że stroną lewą. Tam w bramie jest mój ulubiony sklepik z papierosami a kawałek dalej, nie, nie sklep z cukierkami, tylko księgarnia. Wchodzę do niej z wielką przyjemnością, bo zdążyłem się zaprzyjaźnić z pracownikami, którzy dokładnie wiedzą czym handlują, są ocyztani, potrafią fachowo doradzić, czasem skusić. Są świetni. Nadchodzi jednak czas, kiedy zdaję sobie sprawę z faktu, że w danym miesiącu przekroczyłem już limit wydatków „dla ducha” a emerytura wpływa na moje konto dopiero za ileś tam dni. Zaczynam wówczas chodzić prawą stroną reprezentacyjnej ulicy. Niestety wola moja jest słaba, a nałóg czytania silny. Ostatnio usłyszałem wiadomość, że nie ma już powieści Agaty Christie *Dziesięciu małych murzynków*, jest „kryminał” *I nie było już nikogo* a piosenka nie jest o murzynkach, tylko o żołnierzach. Mimo postanowienia poprawy musiałem wejść do mojej księgarni. Miła pani od razu podeszła do półki i rzeczoną pozycję przyniosła. I teraz mam w domu dwie te same książki pod różnymi tytułami. Różnią się dzieciinną piosenką. Jedna zaczyna się od słów „Dziesięciu małych murzynków dostało po kurczęciu...”, druga – „Dziesięciu małych żołnierzów pyszny obiad zajadało...” Tłumaczka mogła napisać „wojaków”, przynajmniej by się sylaby zgadzały. Pozostaje wątpliwość: czy wolno klasyka poprawiać, a raczej poprawnościować politycznie?

ŚLĄSK

Kolekcja „Śląska”

Przez cały jubileuszowy Rok „Śląska”, z okazji 20-lecia istnienia pisma, prezentowaliśmy co miesiąc dzieła artystów związanych ze Śląskiem. Okazało się, że ten malarsko-graficzny cykl bardzo przypadł do gustu naszym Czytelnikom. Dlatego redakcja postanowiła nie rezygnować z tego cyklu, z dwóch powodów: po pierwsze, skoro podoba się Czytelnikom, to będziemy go kontynuować, ale pod nazwą Kolekcja „Śląska”, po drugie – jest jeszcze tylu wspaniałych artystów do pokazania, że zapewne braknie kolejnych dwunastu miesięcy.



Henryk Bzdok

Ur. 15 czerwca 1937 r. w Rozwadzy na Górnym Śląsku. Absolwent Wydziału Grafiki w Katowicach Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zajmuje się grafiką artystyczną i użytkową, malarstwem, rysunkiem prasowym i mail art'em (tj. sztuki przez pocztę), fotografią i video.

Prasowe rysunki satyryczne i humorystyczne publikował na łamach pism takich jak: *Kocynder*, *Kaktus*, *Panorama*, *Jazz*, *Trybuna Robotnicza*, *Polska*, *Magazyn Polski*, *Szpilki*, *Poglądy*, *Pardon* (RFN), *Punch* (Anglia), *OCTEH* (Jugosławia), *Dikobraz* (Czechosłowacja). W roku 1971 został laureatem Srebrnej Szpilki. Od roku 2005 związany z miesięcznikiem społeczno kulturalnym „Śląsk”. Rysunki prezentował na wystawach w wielu krajach Europy, ale też w Kanadzie i Iranie.

Od roku 1964, przez ponad 20 lat, współpracował z wydawnictwem „Śląsk”. W latach 1969-72 współpracował z TVP w Katowicach. Malarstwo i grafikę prezentował na licznych wystawach w kraju i za granicą. Autor licznych mozaik i malarstwa monumentalnego.

Prace w zbiorach m.in.: Casa di Risparmio di Padova e Rovigo (Italia), Ministerstwo Kultury w Warszawie, Bayer AG Leverkusen (Niemcy), Prefettura di Padova (Italia), Stadt Galerie „Sohle 1”- Bergkamen (Niemcy), „Artothek” – Bergkamen (Niemcy), Comune di Pievepelago (Italia), Polskie Radio Katowice, Muzeum Historii Katowic, Pszczyńskie Centrum Kultury, Ośrodek Kultury w Będzinie, Muzeum w Siemianowicach Śl.



Henryk Bzdok, Czekaając na DEDE....., 50x70 technika cyfrowa

Jubileuszowa Majówka z Muzeum Zamkowym w Pszczynie



Obchody Jubileuszu 70-lecia Muzeum Zamkowego w Pszczynie
pod Honorowym Patronatem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



SOBOTA
14.05.2016 r.

NIEDZIELA
15.05.2016 r.

13.00-15.00 Stajnie Książęce, Sala Audiowizualna
Warsztaty tańca dawnego

15.00-17.00 Stajnie Książęce, Sala Audiowizualna
Warsztaty tańca dawnego

13.00-17.00 Tarasy zamkowe, Działka Stajni
Park Pszczyński
„Piknik z historią w tle”
Gry i zabawy nawiązujące do rozrywek dawnej arystokracji
skierowane do dzieci i dorosłych

13.00-17.00 Zamek, Sala Lustrzana
**Popołudnie z grami
i zabawami towarzyskimi**

13.00-15.00 Stajnie Książęce, Sala Konferencyjna
Pokój szkolny dla dzieci

15.00 Stajnie Książęce, Sala Audiowizualna
**Pokaz filmu
„Pamiętnik Pani Hanki”**

Na wybrane wydarzenia obowiązuje rezerwacja: www.zamek-pszczyna.pl, tel. (32) 210 30 37
szczegółowe informacje na stronie www.zamek-pszczyna.pl

Sponsor jubileuszu

Współfinansowanie

